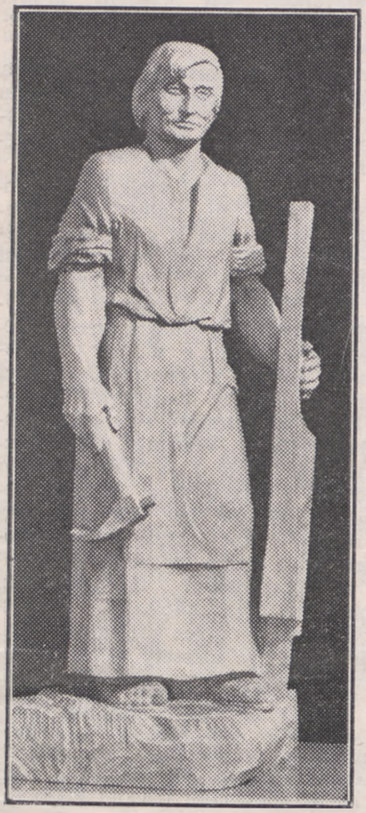
ŻYCIE

ROK XII Nr. 5 (554) LONDYN, MAJ 1958 R. CENA 3/-



ŚWIĘTY JÓZEF ROBOTNIK

„... Praca jest miłością, zarówno ku ludziom, jak i ku Bogu Każda miłosna praca jest modlitwą...“

„... Trzeba zwrócić uwagę na motyw Pawłowy pracy ludzkiej — zdobycie środków, by moc udzielać potrzebującym. To leży u podstaw katolickiego pojmowania własności tak odrębnego przecież od myślenia kapitalistycznego...

... Duch chrześcijański wymaga przełamania samolubstwa posiadania i użytkowania dóbr, wymaga myśli szerszej, wrażliwości na potrzeby społeczeństwa...

... O ile posiadanie prywatne jest strzeżone przez cnotę sprawiedliwości, to użytkowanie dóbr jest rządzone cnotą miłości... jest wspólne, jest kierowane miłością społeczną...“

„... Nie brak (ludzi), którzy głosząc wyniesienie pracy patrzą na nią przez szkła nienawiści, jak na smutną konieczność... A przecież praca ma swe normalne uwieńczenie w miłości ludzi i świata... I dlatego praca nie może być dokonywana z zaciśniętą pięścią, ze skurczonym sercem. Jak dłoń, tak i serce musi się rozwinąć!... Wtedy tylko, bez nienawiści klasowej, zdolna będzie podjąć najcięższe ofiary i dać z siebie te wszystkie cnoty, bez których nie masz owocnej pracy...“

„... Pod wpływem trudności w pracy ulegamy zmiennym nastrojom, chcemy wyzwolenia z gniotącego obowiązku. Obowiązkowość narażona jest na doświadczenie: pragnienie nowej pracy, zmiany, niewierność wobec pracy podjętej czy powierzonej... Łączy się z tym uczuciem zawsze duch jakiejś zdrady. — Jest to jedna z naszych wad narodowych, widoczna w pracy codziennej... Życie nasze narodowe, w tym przekroju duchowym, wygląda jak wielkie pole, na którym wznoszą się niedokończone gmachy... Zapał... rozbił się o pierwszą trudność, której nie opanowały cnoty wytrwałości i stałości...“

(Prymas Polski — „Duch pracy ludzkiej“)

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XII NR 5 (554)

Maj 1958 r.

W NUMERZE:

(ciąg dalszy)

Ś. † P.

STEFAN WYRZYKOWSKI (KARBOWSKI)

literat i dziennikarz,

współpracownik Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", zmarł dnia 27 kwietnia br., opatrzony Św. Sakramentami, przeżywszy lat 59.

R. I. P.

1 maja — święto pracy

O pracy mówi i pisze się dziś wiele. Nierzadko demagogia prowadzi do zniekształcenia pojęcia pracy, a co gorsze, do przeciwstawienia godności twórczej pracy człowieka „złudnym" pojęciom jego godności jako istoty nieśmiertelnej i dziecka Bożego.

Święto Pracy, tak często wyzyskiwane dla celów zwykłej propagandy politycznej, powinno być przede wszystkim okazją zastanowienia się nad istotą pracy. Zastanowić się warto nie tylko nad jednym z jej licznych i przebogatych aspektów, ale nad samą jej wartością. Bo praca, umysłowa czy fizyczna, ale zawsze nosząca na sobie piętno wysiłku, nieraz udręki, jest nie tylko czymś bardzo ważnym w materialnym i moralnym życiu człowieka, ale jest może najistotniejszą i najpiękniejszą wartością doczesną ludzkości. W tej pozornej sprzeczności jej cech leży właśnie całe jej bogactwo.

Praca jest konieczna do normalnego rozwoju osobowości ludzkiej. Człowiek, który świadomie i dobrowolnie nie chce pracować, staje się egoistycznym nieużytkiem w społeczeństwie. Staje się dla społeczeństwa ciężarem, lub wpada w skrajną nędzę i żebractwo. Z tym aspektem materialnym łączy się ściśle aspekt moralny i psychiczny. Człowiek czuje się źle w bezczynności. Świadomie lub podświadomie odczuwa swą nieużyteczność i cierpi nie mogąc użytkować swej energii, siły i zdolności. Łatwo to zrozumieć tym, którzy w pewnych okolicznościach życia zmuszeni zostali do bezczynności.

Przez pracę człowiek staje się użytecznym dla innych, bierze czynny udział w życiu społecznym, niezależnie od szczebla hierarchii społecznej, na jakim się znajduje. Praca jest dla kadżego, kto jest do niej zdolny, obowiązkiem wobec siebie samego, wobec rodziny, wobec społeczeństwa, w którym żyje. Nie trzeba sięgać do historii, ale wystarczy spojrzeć na dzisiejszą Francję, żeby stwierdzić, do jakiej klęski społecznej i ogólnopaństwowej może doprowadzić zanik energii i pracowitości wśród obywateli. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że praca jest dla człowieka obowiązkiem wobec całego społeczeństwa, niezależnie od kraju, w którym żyje i sytuacji rodzinnej. Praca jest u podstaw rozwoju przemysłu i wymian handlowych, dzięki którym ręce polskiego lub brytyjskiego robotnika żywią nieraz ludzi w najdalszych zakątkach Azji, Afryki czy Ameryki.

To ostatnie twierdzenie wyraźnie wskazuje na obowiązek solidarności, jaki na nas wszystkich ciąży. Produkcja najrozmaitszych przetworów, w wypadku pracy w przemyśle — ale przykład ten dotyczy każdego rodzaju pracy — nie tylko służy, jak niektórzy jednostronnie to podkreślają, do wzbogacenia właściciela surowców czy zakładów przetwórczych, ale także do utrzymania przy życiu i przy zdrowiu setek i tysięcy ludzi na całym świecie. Dzięki kapitałom, nagromadzonym wysiłkiem pracy umysłowej i fizycznej, powstają instytucje społeczne, szpitale, szkoły. Praca każdego z nas, bezpośrednio lub pośrednio wspomaga tych, których starość lub choroba odtrąciła od warsztatu, lub który dotknięci są straszną plagą społeczną bezrobocia. Z owoców pracy innych korzystamy na każdym kroku. Wszystko co nas otacza i dzięki czemu żyjemy, to owoce pracy.

Praca, wreszcie, dla katolików, to służba Bogu, to jeden z wielu sposobów oddawania Mu chwały. Powiedzenie, że praca jest modlitwą, to nie jakaś czcza formułka, ale głęboka i bardzo istotna prawda.

Oddając cześć pracy i jej wielkim, wszechstronnym wartościom, nie należy jej idealizować. Każda praca sama w sobie jest ciężka, jest wysiłkiem „w pocie czoła". Odnosi się to zwłaszcza do pracy fizycznej, a w pierwszym rzędzie może do pracy w przemyśle Tu jednak dochodzi jeszcze szereg okoliczności wypływających z ducha i atmosfery, w jakiej została zorganizowana praca w przemyśle w okresie liberalizmu ekonomicznego, który był niestety ewangelią pionierów industrializacji. Warunki ekonomiczno-społeczne pracy były i są jeszcze często niesprawiedliwe i krzywdzące. Wyzysk robotnika, aczkolwiek nie jest już dziś tym, czym był dawniej, jest jeszcze rzeczywistością, o której zbyt często i zbyt łatwo zapomina się w środowiskach inteligenckich. Wyzysk robotnika przez kapitalizm prywatny i, gorszy jeszcze — przez kapitalizm państwowy, nie może być niestety zaliczony jedynie do wspomnień dawno minionej epoki.

Dzień 1 maja — Święto Pracy nie powinien być, zwłaszcza dla katolików, li-tylko dniem bezmyślnego wypoczynku, czy rozrywki. Nie jest to również, jak chcieliby tego marksiści, dzień nienawiści i walki klasowej. Jest to, w głębokiej swej treści, dzień solidarności, dzień tych wszystkich, którzy na całym świecie pracują w kopalniach, fabrykach, warsztatach, biurach czy laboratoriach. Jest to dzień tych — uczonych radiologów o organizmie zniszczonym śmiercionośnym promieniowaniem, czy zasypanych w kopalniach górników — którzy często giną na posterunku pracy. Jest to wreszcie dzień poświęcony uczczeniu pracy i uświadomieniu sobie, że jest ona ostatecznym źródłem wszelkich dóbr materialnych i przebogatych wartości moralnych. Warto wziąć do ręki, w tym dniu, małą i niepozorną książeczkę — „Duch pracy ludzkiej" ks. kardynała Wyszyńskiego. Po przeczytaniu jej trudno nie odkryć, wraz z autorem, tego ducha, dzięki któremu „smutek w radość się zamienia".

Jan Kulakowski

„...Prawdziwego spoczynku nie zazna nigdy człowiek, który nie zna umęczenia pracy. Nawet w zabawie pełną radość może mieć tylko człowiek pracujący..."

„...Przez uświęcenie dnia siódmego prawo człowieka do wypoczynku otoczone zostało murem nienaruszalności. Wszędzie gdzie zanika przykazanie Boże: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił", wszędzie gdzie wypowiada się walkę religii — jednocześnie wzrasta ciężar pracy ludzkiej, nieustannej od kolebki aż do grobu... Ileż wysiłku musiał Kościół na to poświęcić, by przełamać ludzkie opory, zanim świat uznał prawo o odpoczynku od pracy za zdobycz społeczną i kulturalną..."

„...Poczucie wolności zdobytej przez pracę jest najwyższą radością. Spojrzenie w oblicze Boże rozwesela w pośrodku trudu i umęczenia..."

(„Duch pracy ludzkiej")

JAN TOKARSKI

MYŚLI O KOŚCIELE

Powiada św. Augustyn, że w dzień Pięćdziesiątnicy przybywa Duch Święty „tamquam natalem sibi apud nos faciens": „jakby dokonując Swoich narodzin wśród nas".

Z radością co roku obchodzimy każdego 25 grudnia narodziny Syna Bożego w ciele. Z taką samą, a nawet głębszą, radością winniśmy święcić święto "narodzin" Ducha wśród nas. Te "narodziny" są ważniejsze co do idei, znaczenia i także liturgicznej rangi. Bo przyjście Ducha Świętego koronuje i wieńczy dzieło Odkupienia. Przypomina nam teolog i liturgista, że z tym dniem słońce Odkupienia osiąga swój zenit i roztacza największy, najbardziej życiodajny blask.

W starożytnym Kościele widzimy z razu nawet opór przeciw wprowadzeniu święta narodzin Chrystusa Pana. Niektórym Ojcom wydawało się niewłaściwością, aby obchodzić uroczystość narodzin Jezusa „jakby faraona jakiego" — jak się wyraził Origenes. A jednak ten Kościół — oprócz Wielkanocy — obchodzi wśród wielkich uroczystości święto Pięćdziesiątnicy i przygotowuje się na to święto w nastroju najgłębszej radości (por. 81 kazanie św. Leona Wielkiego). Bo w pierwszych wiekach w świadomości Ojców naczelne miejsce zajmowała ekonomia Odkupienia, a jej ośrodkiem był Kościół: „jeden, jedno ciało, jedna i ta sama osoba, jeden Chrystus, Chrystus cały": „unum, unum corpus, una eadem persona, unus Christus, totus Christus" (św. Augustyn).

Ścisła jedność Chrystusa i Kościoła stanowiła centrum nauczania Ojców; wielkością i tajemnicą tego mistycznego zjednoczenia żyli wierni. Ojcowie nie ustają w wynajdywaniu coraz to nowych obrazów i porównań ilustrujących tę tajemnicę i jej znaczenie dla życia indywidualnego i dla całej ludzkości, bo dzięki niej Chrystus Pan nie zakończył Swojej działalności z Wniebowstąpieniem, ale od pięćdziesiątego dnia po Zmartwychwstaniu dalej żyje na ziemi poprzez Kościół Swój, z którym sam się utożsamił powiedziawszy do Szawla Kościół prześladującego: „dlaczego M n i e prześladujesz"?

✱

Jak przypomina Pius XII w encyklice „Mystici corporis", Chrystus Pan mógł był udzielić łaski zbawienia bezpośrednio ludzkiemu rodzajowi. Wolał to jednak uczynić za pośrednictwem Kościoła widzialnego, skupiającego ludzi tak, „iżby mogli z Nim współpracować w rozdawnictwie owoców Odkupienia". Dzięki więc Kościołowi wierny nie tylko korzysta indywidualnie z owoców Odkupienia, ale jest niejako wezwany do niepojętej godności współpośrednika i współodkupiciela razem z Jezusem Chrystusem.

Nauka o jedności Chrystusa i Kościoła, o Kościele jako Jego ciele mistycznym, którego Chrystus jest Głową, a wszyscy ochrzczeni członkami, o małżeństwie Chrystusa i Kościoła, należy do największych tajemnic wiary. Tajemnica to tak wielka, że nigdy tu na ziemi nie zostanie odpowiednio wyrażona ludzkim językiem, zbadana bez resztv i odsłonięta całkowicie. Wielki współczesny teolog Henri de Lubac S. J. pisze, że tajemnica Kościoła jest — jeśli to możliwe — jeszcze głębsza od tajemnicy Chrystusa, jeszcze trudniejsza dla wiary, podobnie jak tajemnica Chrystusa jest trudniejsza dla wiary od tajemnicy Boga. („Catholicisme — Les aspects sociaux du dogme", str. 48-49, wyd. z r. 1947).

I to należy mieć stale w pamięci, gdy mowa o Kościele: Kościół jest tajemnicą, która tylko stopniowo a wciąż cząstkowo odsłania się jemu samemu i nam. Kościół jest misterium niewypowiedzianym. Pod pewnym względem Kościół jest tajemnicą nad tajemnicami także dlatego, że jest zjednoczeniem wszystkich tajemnic, które tylko w nim są człowiekowi udzielane.

Z jednej strony jest to zaproszenie do jak najczęstszego wmyślania się w tę tajemnicę. Z drugiej jednak, z rozpoznania i przyjęcia tej tajemnicy za fakt, wynika obowiązek ostrożności i pokory, gdy pragnie się o Kościele rozmyślać i rozprawiać.

✱

Mówi Pascal jako o jednym z obowiązków chrześcijanina, że powinien on w każdej chwili trzymać oba dwa krańcowe ogniwa łańcucha pełnej rzeczywistości: przyrodzone i nadprzyrodzone. Zapomnienie o jednym, niewłaściwe zastosowanie drugiego burzy całą perspektywę rzeczywistości. Widzimy też nieraz jakie skutki w odniesieniu do Kościoła wywołuje przesunięcie akcentu w niewłaściwym kierunku.

Wskażmy choć na jeden przykład.

Oto jest biskup Bossuet w XVII-wiecznej Francji. Jak rzadko kto wtedy, wmyślał się w naturę Kościoła, toczył boje doktrynalne na różne fronty. Do dziś dnia powtarzamy jego celne i głębokie formuły o Kościele, jak np. ta, że „Kościół jest to Chrystus rozprzestrzeniony i udzielany". Zgłębiał on Boską stronę natury Kościoła oraz tę stronę chrześcijaństwa, która jest solą nigdy nie wietrzejącą, działaniu czasów nie podległą.

A jednak właśnie Bossuet sprawił wielkie szkody i to nie tylko Kościołowi we Francji. Był to bowiem, jak słusznie powiedziano, „człowiek mężnej woli, ale małego ducha". Dla tryumfów nad przeciwnikami wiary lub tymi, których za przeciwników uważał, potrzebował on ram zewnętrznych ustroju, układu i cywilizacji, wśród których mógłby się czuć pewnie i wygodnie i które by mu owe tryumfy ułatwiały. Dlatego też zapatrzony jednostronnie w Boską stronę natury Kościoła, jego tożsamość we wszystkich wiekach pojął jako immobilizm.

Kościół jest „wiecznością w czasie", lecz nie jest zastygłą nieruchomością. Jego tożsamość we wszystkich wiekach nie jest mechaniczną tożsamością zakopanego w ziemię talentu, ale osobliwą i tajemniczą tożsamością nasienia, które kiełkuje, staje się drobną rośliną, wyrasta w krzew, wreszcie w drzewo potężne.

Tymczasem Bossuet transcendencją Kościoła chciał poręczyć to wszystko co nie tylko w Kościele, ale i w społeczeństwach poddane jest zmianom, mijaniu i nawet odrzucaniu. Czyniąc tak był przeświadczony, że bez tych ram, które jemu odpowiadają najlepiej i bez których on sobie życia nie wyobrażał, i wiara musi upaść. Bóg, Jezus Chrystus i Król: oto na wieczność trzy filary jednakowo ważne na swoich płaszczyznach, aby wiara i Kościół mogły istnieć.

Król w tym dziwnym dla nas zestawieniu symbolizował dla biskupa nie tylko — i dosłownie — monarchię, której instytucję w jego przekonaniu sam Bóg poręcza „na zawsze"; nie tylko ten ustrój i „ład" społeczny, który widział dokoła siebie, ale też ten tylko a nie inny styl cywilizacji, kultury i urządzeń, łącznie z więzieniami a nawet śmiercią dla tych, co by wierzyli inaczej. Owszem, dostrzegał on w tym układzie wtedy istniejącym pewne błędy, pewne występki, które by chciał usunąć i które mężnie krytykował. Ale z tym wszystkim używał całego autorytetu Boskiej nauki, aby ten układ ustalić „na zawsze", bo w jego przekonaniu tylko ten system, ta cywilizacja, to prawodawstwo, te kary, te pojęcia, te lojalności gwarantowały trwanie i działanie Kościoła, umożliwiały owocowanie Odkupienia.

On sam tylko w tym układzie poruszał się wygodnie. Żeby posłużyć się skrótem: Bóg na zawsze poręcza króla, a król gwarantuje Bogu realizację Jego planów dla świata. Nie tylko więc tym co niezmienne i wieczne poręczał pewien układ polityczno - społeczno - cywilizacyjny, ale tylko w takim układzie widział możliwość istnienia i działania Kościoła. Przeciwstawiając rzeczywistemu złu tak kruche i bezsilne tamy, równocześnie dusił i tłumił zarodki przyszłości, która przyjść musiała i która musiała wyglądać inaczej, niż chciał ją sobie wyobrazić ten „Orzeł z Meaux", biskup Króla-Słońce. Toteż — jak powiedział ojciec Henri de Lubac S. J. — chociaż Bossuet pozostał pozornie zwycięzcą na wszystkich frontach, na których toczył walkę, zysk z jego zwycięstwa zgarnęły siły religii wrogie: „c'est irréligion que gagna" (Por. „Méditations sur l'Église", wyd. II z 1953 r., str. 242; zbioru „Théologie" nr 27).

✱

Oto więc wielkie przypomnienie i ostrzeżenie dla katolików, zwłaszcza dla polskich katolików na emigracji: że najszczersze nawet przywiązanie do Kościoła może nam służyć do kanonizowania naszych przesądów i sprawiać, że będziemy usiłowali narzucać swoje cząstkowe pojęcia absolutowi wiary uniwersalnej (op. cit., str. 243). Bo wielu z nas nawet się nie domyśla, ile rzeczy należy w sobie zmienić, ile odrzucić, pozornie najżarliwszych, najwznioślejszych, sercu najdroższych, aby zasłużyć na to miano wierny Kościoła (str. 241).

Kto o tym nie pamięta, ten nawet służąc Kościołowi, właściwie chce się nim tylko posługiwać. Chce, aby mu Kościół gwarantował wygodę poruszania się w świecie takim jaki on sam sobie życzy uważać za świat „prawdziwy"; aby mu gwarantował takie czy inne jego przywiązania polityczne, uprzedzenia narodowe, poglądy ustrojowe, społeczne, cywilizacyjne, gdy Kościół, choć jest także ze świata: „et terra dabit fructum suum": nie utożsamia się z niczym, co jest tylko ze świata. Nigdy też nie tylko nie utożsamia się z tym co jest największym z dzieł człowieka, to jest z cywilizacją, ale żadnej cywilizacji nie uzna za swoją, za katolicką. Takiej cywilizacji nie było, nie ma i nie będzie. Tylko Kościół jest katolicki, gdy cywilizacje są parcjalne; tylko Kościół jest jeden, gdy cywilizacje liczne i gdyby nawet kształtowały się z natchnień chrześcijańskich, nie koniecznie byłyby nawet równoległe.

Bo uniwersalny jest tylko Kościół. Taka jest jego natura, której nie pojmie nikt, ani przeciwnik, ani wierny, jeśli jej nie ogląda zarówno w świetle teologii jak i w perspektywie historii.

„Ani ludy, które nie usłyszały Słowa, ani ci, którzy je odepchnęli, ani niewierzący, ani ci, co ujmują rzecz w kategoriach świata, ani politycy, ani socjologowie, ani samotni

(Dokończenie na str. 4)

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

„OGRÓD PANIEŃSKI" I JEGO AUTOR

Kult Najświętszej Maryi Panny w poezji polskiej datuje się od jej początków i przybiera pod wpływem panującego w literaturze stylu, sposobu, w jaki ludzie danego okresu zwykli wyrażać swe uczucia, bądź formę wzruszająco prostą, bądź wyszukanie zawiłą, ozdobną. Jeśli nie przykładać do tych utworów wątpliwej miarki dzisiejszego smaku, ale sądzić je sprawiedliwie jako cząstkę określonego kulturalnego środowiska, przemówią do nas niemal zawsze prawdą i szczerością ludzkiego uczucia.

Charakterystyczną cechą staropolskiej poezji maryjnej jest jej związek z tradycją rycerską. Od Bogurodzicy do pieśni Konfederatów Barskich można go obserwować w różnorodnych formach. Nurt ten raz tylko, a mianowicie w okresie panowania renesansu, doznaje poważniejszego osłabienia.

Nie brak w tym nurcie zjawisk zadziwiających, a dla polskiej rzeczywistości charakterystycznych, jak na przykład poemat Daniela Kałaja na cześć zwycięstwa chocimskiego 1673 r. napisany (ukazał się drukiem w Gdańsku w tymże roku), w którym ten kalwiński pastor głosi:

„...Zemnąć zwycięstwa lud brzmi głos Hosanny
Y Magnificat Przenajświętszej Panny..."

Warto dodać, że Kałaj pisał swój poemat na wygnaniu, w luterskim Gdańsku, dokąd zbiegł przed grożącą mu karą śmierci... W tym właśnie czasie, kiedy kalwiński pastor spożywał — nie nazbyt zresztą gorzki, a owszem raczej dość tłusty chleb wygnańca i opiewał chwałę zwycięzców spod Chocimia, dzielny rycerz polski — a przy tym jeden z najwybitniejszych poetów barokowych w Polsce — Wespazjan Kochowski przygotowywał właśnie wydanie swoich liryków i fraszek, które w roku następnym (1674) opuściły krakowską drukarnię Wojciecha Goreckiego, „Sławnej Akademii Krakowskiej Typografa", pt. „Niepróżnujące próżnowanie, ojczystym rymem na Lyrica i Epigrammata polskie rozdzielone i wydane". Otóż księga druga tych liryków wypełniona prawie wyłącznie utworami o charakterze religijnym dedykowana jest — Matce Boskiej.

Stanisław Tarnowski (najwnikliwszy i najsprawiedliwszy chyba z naszych krytyków literatury) myśl tę uważa („Kronika Rodzinna", 1877, str. 6) za „...naiwną, poufałą, pokorną, może nie bardzo piękną, ale niepospolicie oryginalną..."

Pieśń dedykacyjna nie należy do najbardziej artystycznie udanych utworów poety-rycerza, ujmuje jednak swą „naiwnością i poufałością":

„Witam Cię Panno, któraś boskim gońcem
Jest jak zaranna jutrzenka przed słońcem.
Rzucam pierwsze
Moje wiersze,
Hołd ubogi
Pod Twe nogi
Mądrości stolice..."

Wierzymy też chętnie w szczerość wyznania, że

„...Nietylko pisać i nadstawiać głowy
Dla dostojności Twej Panno gotowy,
W tę nadzieję
I krew leję
Że na wieki
Z Twej opieki
Nie wypuścisz Pani!"

Dowiódł przecież tej gotowości Kochowski, gdy — jak pisze — „przez dziesiątek lat oręża z dłoni nie wypuszczał" walcząc w obronie zagrożonej ojczyzny i wiary.

Żył bowiem w czasach dla Polski niespokojnych, burzliwych. Urodzony 1633 r., najprawdopodobniej w ojczystym Gaju, syn Jana, podsędka sandomierskiego, sekretarza królewskiego, oraz Zofii z Janowskich, był potomkiem z dawna w Sandomierszczyźnie osiadłej rodziny herbu Nieczuja, wywodzącej się ponoć od czeskiego rycerza, który do Polski przybył za Władysława Hermana. Rodzinę wiązały bliskie i przyjazne stosunki z klasztorem na Świętym Krzyżu, a szczególnie z przeorem. Tam też być może młody Wespazjan odebrał początki wykształcenia, by kontynuować je u jezuitów w Sandomierskim Gostomianum, a potem w Krakowskiej Akademii (m. in. pod kierownictwem Jana Radzieckiego), gdzie kolegował i zaprzyjaźnił się ze znanym później poetą Janem Gawińskim. Przyjaźń ta podobno na resztę została mu życia. Wojna, która rozgorzała na południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, odrywa jednak Wespazjana od ławy szkolnej. Bierze udział — służąc w chorągwi husarskiej — w zwycięstwie pod Beresteczkiem (1651), gdzie ginie stryj jego Olbrycht. Odtąd, aż do pokoju oliwskiego, nie opuszcza szeregów, chyba może na krótko dla wyleczenia się z ran, jakie otrzymał w bitwie pod Gnieznem (1656), oraz w roku 1658 skoro zawiera wtedy małżeństwo z Marianną z Misiowskich. Walczy z Kozakami, Tatarami, Szwedami, Węgrami, pod największymi wodzami swego czasu: Czarnieckim i Lubomirskim. Bierze udział w wyprawie na Siedmiogród, gdzie ginie z ran starszy jego brat Seweryn.

Z tych to wojennych lat datuje się zapewne początek szczególnie żarliwego nabożeństwa Kochowskiego do Najświętszej Maryi Panny. Sam przynajmniej tak twierdzi podając, że gnieźnieńskie rany były karą Boską za oziębłość i powątpiewanie w krwawy płacz obrazu Matki Boskiej Księżkiej, późniejsze zaś wojenne powodzenia dowodem szczególnej opieki, której doświadczył stawszy się gorliwym Maryi czcicielem.

Po wojnie Kochowski osiada na krótko w rodzinnym Gaju — który szczególnie ukochał i któremu poświęcił wzruszające strofy w swych „Lirykach", a po śmierci ojca, od roku 1663, w Goleniowych (woj. krakowskie), które mu w dziale przypadły. Upodobać sobie musiał życie ziemiańskie; daje temu wielokrotnie wyraz w swej poezji — choćby w tej oto zwrotce:

„...Niwo, ma niwo! skibo ziemi plennej,
Ty co raz wieniec żytni, także pszenny,
Spokojnie na mej gdy położysz głowie,
Za fraszkę wasze korony królowie..."
(Liryków ks. II, 12.)

Bierze też żywy udział w zgiełkliwym życiu braci-szlachty swojej okolicy, województwa, a i całej Rzeczypospolitej. Uczestniczy w sejmikach i sejmach. W 1673 roku wybranym zostaje w Proszowicach sędzią skarbowym i deputatem na trybunał koronny, a w jedenastoleciu 1682-1692 ośmiokrotnie generalnym poborcą podymnego w powiecie proszowskim, co świadczy o sympatii, zaufaniu i popularności, jaką się cieszył wśród współobywateli. Ale bo też jest on w poglądach swoich, zamiłowaniach i zwyczajach bardzo typowym ich przedstawicielem: owej średniozamożnej szlachty polskiej, rycerzy-ziemian, którzy władali Rzeczpospolitą, bronili jej granic, budowali wielkość. Ustanawiali prawa, wreszcie (a może przede wszystkim) tworzyli barwną, rodzimą kulturę sarmacką, która żywa do dziś — tętni w naszych zaletach, pulsuje w wadach.

Słusznie też powiada Ignacy Chrzanowski w swej „Historii literatury polskiej": „...Tę niechęć względem różnowierców podzielał Kochowski z całym niemal społeczeństwem ówczesnym. I wogóle przez rodzaj swego patryjotyzmu i religijności, przez swą pogodę ducha, przez to dalej że w jednej osobie był rycerzem i ziemianinem, przywiązanym do kawałka roli i rozkochanym w powabach życa wiejskiego, jest Kochowski postacią typową, w której się odzwierciadlają poglądy i uczucia przeciętnego szlachcica..."

Rzeczywiście: poglądy pana Wespazjana są dobrym barometrem poglądów jego warstwy. Wyraża je najpełniej w swoim wielkim dziele historyczno-kronikarskim: „Klimakterach", ale najbardziej w nieocenionych fraszkach i pieśniach oraz w poematach. W czasie sporu między Jerzym Sebastianem Lubomirskim, a królem, staje zdecydowanie wraz z ogromną większością szlachty po stronie skrzywdzonego Marszałka-Hetmana. W czasie elekcji po abdykacji Jana Kazimierza popiera kandydaturę Michała-Korybuta i politykę podkanclerzego Olszewskiego — podówczas biskupa chełmskiego, późniejszego prymasa, który odwdzięcza mu się zresztą wyjednaniem podżupnictwa wielickiego. Chwali i popiera Jana III, króla-sarmatę, staje się jego oficjalnym dziejopisem i w tym charakterze ciągnie z nim pod Wiedeń. Po powrocie opisuje i opiewa wyprawę zarówno łacińską prozą, jak i polskim wierszem. Poemat ów: „Dzieło Boskie Albo Pieśni Wiednia Wybawionego" (1684) rozpoczyna się charakterystyczną dla maryjnego kultu Kochowskiego inwokacją nie do klasycznych muz, ale do Najświętszej Maryi Panny.

„...Ty mi bądź Klio, Ty mi w tym usiłku
Dodaj słów Panno i dodaj posiłku..."

Poglądy Kochowskiego określa prof. Krzyżanowski („Historia literatury polskiej") — w zasadzie słusznie, jeśli pominąć nieuniknioną u tego skądinąd wybitnego historyka literatury uszczypliwość w stosunku do pewnych form religijności. „Tak spędzone ży-

---

MYŚLI O KOŚCIELE
(Dokończenie ze str. 3)

mistycy nie znają Kościoła. Nawet my, jego dzieci, my nawet, którzy przemawiamy w jego imieniu. Wszędzie w świecie natykamy się boleśnie na niezrozumienie jego tajemnicy. Nie ustajemy w wysiłku rozpraszania wzgardy, która ją zasłania; staramy się, aby nie uronił się żaden promień tajemnicy. Ale wciąż trzeba nam naprostowywać poglądy na Kościół, które ciało i krew nam samym podsuwa. Jednak nie wystarcza tylko chęć zagłębiania się w tajemnicę. Narzuca się nam bezustanny wysiłek oczyszczania nawet naszej wierności i miłości, naszej żarliwości w obronie Kościoła i w jego rozszerzaniu" (de Lubac, op. cit., str. 326).

Jan Tokarski

cie, w ustawicznym kontakcie z historią, odbiło się w sposób bardzo znamienny na twórczości poety zarówno łacińskiej jak polskiej, twórczości bardzo jednolitej, głoszącej zasady polityczne, którym Kochowski służył z prostolinijną wiernością żołnierską. Jedną z nich był ideał rel gijny, ślepe przywiązanie do katolicyzmu szerokich mas szlacheckich, spotęgowane przez długie wojny z wrogami nie tylko Polski, ale i Kościoła, schizmatycka Rusią czy luterańską Szwecją. Ideał ten, ujęty prymitywnie, wyrażał się zwłaszcza w dewocyjnym kulcie Matki Boskiej..."

Kult ten we wcześniejszym okresie twórczości poety reprezentuje najlepiej pieśń „Pierwsza i ostatnia ucieczka korony polskiej do N. P. Maryje". Powstała ona — jak z treści wynika — w latach Potopu. Dzieło młodziutkiego jeszcze przecież wtedy poety jest w myśli dojrzałe i w sensie swym głębokie mimo formy nieco naiwnej (choćby rymy: tatą — szatą, srogim — ubogim) i wstawki mitologicznej, którą zresztą tłumaczyć można zarówno modą barokową jak i reminiscencjami niedawnych jeszcze przecież lat sztubackich w Sandomierskim Kolegium czy Krakowskiej Akademii:

„Jak się owo dziecko bierze
Rozkwilone od macierze,
Kiedy, swawolne, bojąc się chabiny
Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny;
Więc do matki ręce wznosi
I ratunku u niej prosi
A my dokąd, bliżsi zguby,
Udamy się z swymi śluby,
Kiedy, swawolne, bojąc się chabiny
Przypuścił gorsze Szwedy niż pogany?
Pódźmy Boskiej prosić Matki:
Aza Polski te ostatki
Pożarte wydrze z łakomej paszczeki
I nie da zginąć Sarmatom na wieki.
Pokaż się nam Matką, Pani!
Prosim, upadli poddani:
Broń nas zaszczytem, o Królowo, czułem
Tym Cię na wieki Polska czci tytułem!
Ukój Ojca w gniewie srogim,
Przeproś winy nam ubogim,
Aby pamiątka w polskim była państwie:
Nie zginie, kto jest w Maryjej poddaństwie."

Szczególniej w zakończeniu pobrzmiewa nuta nieporadnego piękna tak dobrze nam znana z późniejszych o wiek pieśni Konfederatów Barskich.

Można by się dziwić, że zbiór poezji tak niepodejrzanie szczerego katolika, jakim był Kochowski, czego wyżej cytowany, a z tegoż „Niepróżnującego Próżnowania" pochodzący utwór dobrym jest chyba dowodem został (na krótko co prawda) pod zarzutem „niemoralności i uwłaczania czci wielu osób" zakazany przez biskupa krakowskiego. Ale bo też dał Kochowski jezuitom łatwy do oburzenia powód poczynając sobie rubasznie i niewyparzony język niemiłosiernie na niejednym (i niejednej) strzępiąc, szczególnie we fraszkach. Toteż biskup krakowski wytoczył proces Akademii (odpowiedzialnej za książki z jej drukarni wychodzące). Kochowski oraz ks. Szymon Makowski — cenzor Akademii — przy pomocy przychylnego im prymasa Olszewskiego, nuncjusza oraz sejmików i sejmu proces zakończyli dla siebie pomyślnie i książkę z indeksu zdjęto.

Prymas wykazał tu — jak sądzę — nie tylko godną pochwały wyrozumiałość, ale i trafność sądu zarazem. Fraszki te bowiem to prawdziwe perły staropolskiego dowcipu i jeśli często rubaszne, czasem wprost nieprzyzwoite, nigdy przecież nie są niemoralne różniąc się w tym ogromnie od utworów współczesnego naszemu poecie Andrzeja Morsztyna.

W kilka lat po opisanych wypadkach przystępuje Kochowski do wydania największego (nie tylko rozmiarami) dzieła swego o tematyce maryjnej, a przy tym jednej z najpoważniejszych pozycji w całej spuściźnie poetyckiej. Jest to „Ogród Panieński pod Sznur Pisma Świętego, doktorów kościelnych, kaznodziejów prawowiernych wymierzony a kwiatami tytułów Matki Boskiej wysadzony przez jednego najlichszego tej Matki i Panny niewolnika" (1681).

Utwór ten jest bardzo różnie oceniany przez historyków literatury: Chrzanowski oraz Brückner w swoich historiach literatury nawet go nie wspominają. Krzyżanowski zbywa paru wierszami: „...W „Ogrodzie Panieńskim" daje kilka tysięcy epigramatów o wszelkich możliwych epitetach, jakie o Bogarodzicy znalazł w olbrzymiej literaturze teologicznej..." (przesadzając zresztą grubo liczbę epigramatów, których w istocie jest niewiele ponad tysiąc sześćset). Wojciechowski w „Dziejach literatury polskiej" pomysł uważa za chybiony, tytuł za dziwaczny. Tymczasem Estreicher w swojej monumentalnej „Bibliografii polskiej" wyraża się o „Ogrodzie" bardzo pochlebnie: „...Rzecz bodaj najpiękniejsza spomiędzy rymów Kochowskiego..."

Czymże jest jednak dzieło, które tak różne i sprzeczne wywołało oceny? Sam jego pomysł jest dziwny i oryginalny. „Ogród" — to zbiór epigramatów głoszących na wszelkie sposoby chwałę Matki Boskiej, tak skonstruowanych, że tytuł łaciński stanowiący cytat z Pisma Świętego lub z jakiegoś dzieła teologicznego rozwinięty jest czy skomentowany w polskim dystychu, lub niekiedy czterowierszu. Oto parę przykładów:

Lux perpetua

Światłości, która świecisz tak bez końca jaśnie,
że choć świat zginie, światło twoje nie zagaśnie.

Sacra Anchora

Panna kotwicą, za nic świecie twe Charybdy,
Z nią i bez steru okręt nie utonie nigdy.

Trahens post se peccatores

Nie tak przyjazny magnes żelazu ni słomie
Bursztyn, jak Panna grzeszne posiąga widomie.

Epigramaty te jednak nie są nagromadzone bezładnie. Przeciwnie; „Ogród" przypomina modne u nas w czasach Sobieskiego (i później) parki na modłę francuską, gdzie wszystko podlega prawom symetrii i geometrycznemu ładowi „...porządnie i pod sznur..." zaprojektowanemu. Całość składa się z następujących części:

I Dedykacja Matce Boskiej (prozą)
II Do Ogrodu Panieńskiego wejście (wierszem)
III Szesnaście „kwater".

Każda z kwater rozpoczyna się od motta polskiego, ale stanowiącego tłumaczenie jakiegoś wersetu Pisma Świętego poświęconego Maryi (np. w kwaterze pierwszej: „Błogosławioną zwać Cię będą wszystkie narody" — cont. 13) lub w kwaterze czternastej „Cóż zacz jest ta, która idzie z puszczy? w dostatkach opływająca, wsparłszy się na kochanku swoim (cont. 3), ze stu epigramatów z łacińskimi tytułami i z „Zawarcia kwatery". zawsze w formie sześciowiersza bez motta.

W kwaterach II, III oraz X-XVI wszystkie epigramaty są dystychami. W kwaterach I oraz IV - VIII pierwszy epigramat jest czterowierszem, po którym następuje 99 dystychów. Jedyna kwatera IX poza wstępnym czterowierszem zawiera dwa inne, rozsiane w tekście. W sumie więc mamy 1591 dystychów, 9 czterowierszy i 16 sześciowierszy.

Jak widać, zastosował Kochowski bardzo sztywny układ dla swego dzieła i formalnie przestrzegał go z wielką pilnością. Treść jednak rozsadza ramy form i wypełnia cały „Ogród" bujnie, a nieco bezładnie gąszczem myśli głębokich, pięknych porównań i przenośni — owocami prawdziwej wiary, miłości i rzetelnego talentu.

Pierwszą zapowiedź „Ogrodu Panieńskiego" znajdujemy w „Lirykach" ks. II, 34: „Dziardyn fijołkowy, to jest ulubione miejsce Matce Bożej na Piasku w Krakowie":

„...Zachował w rumach skarb nienaruszony
Który dziś, jako fenix odmłodzony,
Lub jako ogród strząsnąwszy popioły,
Kwitnie na wiosnę wdzięczny i wesoły,
Więcże tryumfuj panieński ogrodzie,
Gdyć heretyckie nie szkodzą powodzie,
W twój port me żagle szczyrą chęcią biegą
Byłaś mi Panno alfą, bądź omegą."

Można przypuszczać, że to właśnie ów prawdziwy ogród klasztorny karmelitów na Piasku, który tak miał być Najświętszej Pannie ulubiony, natchnął autora myślą stworzenia dzieła literackiego, które na ogrodzie kwiatowym układem swym wzorowane, tworzy całość oryginalną i piękną. Dodajmy, że motyw fiołków wraca w „Ogrodzie Panieńskim" wśród pochwalnych epigramatów:

Viola plena venustate

Fijołku, pierwociny wdzięcznej ludziom wiosny,
Odpędź wonią twą od nas grzechów fetor sprośny.

Sam już wstęp poważny i uroczysty stanowi dobry przykład prozy poetyckiej, w której Kochowski celował, a której najdoskonalszym osiągnięciem jest pod koniec życia ogłoszona „Psalmodia polska" (1695). Tekst tego wstępu lepiej chyba niż jakikolwiek komentarz pokaże jego piękno i wartość:

„Od słońca wszystko na świat pochodzi. Słońce nietylko wspaniałsze rąk Boskich dzieła uwesela, ale też drzewom owoc, rolom urodzaj, ogrodom żyzność daje. Słońce do miodorodnej roboty pszczoły pobudza; słońce mrówki, aby głodnej zimie myślały, przywodzi; słońca upały, że polny konik głośniej śpiewa, sprawują; słońce nakoniec wzgardzone robactwo ożywia i sustentuje. Słońcemeś i Ty o najdostojniejsza Pani moja, nietylko żeś wybrana jako słońce, albo że z Ciebie słońce sprawiedliwości wschodząc, splendorów światła swego communicative Tobie udziela. Dlatego i ja lichy robak promieniami łaski Twojej odżywiony i jako jeden polny konik ciepłem dobrodziejstw Twoich rozgrzany, przy panieńskiego ogrodu Twego parkanach, ubogą, ojczystego rymu melodią brzęczę. Czemuż ojczystego? Bo niepojętych tytułów pełna, nie gardzisz królestwa polskiego zwać się królową. Zaprawdę tytuł barzej nam tytulantom niż Tobie tytulantce potrzebny. Ty przed trzydziestoletnią wojną, jako się o tę koronę pieczołujesz, w obrazie księżkim krwią płacząc, pokazałaś. Tyś o ojczyźnie desperujących synów na odwetowanie zdeptanej wolności w Częstochowej posiliła, krom inszej ustawicznej nad Sarmacyą Twojej protekcji: która gdy Cię królową swoją zowie, matką uznaje. Za-

wrzyjże tedy, ogrodzie zawarty, zewsząd przystępne i każdemu nieprzyjacielowi otwarte ojczyzny naszej granice. Zmocnij dziedzictwo Twoje, ufortyfikuj antymurał chrześcijaństwa. Aby ta Polska, która Cię ma przeciwko imprezie pogańskiej nieprzełomionym zaszczytem, to Cię wiecznie królową swoją licząc, wyznawała, żeś jest w mocnem ramieniu boskiem auferens bella usque in finem.

Najliższy niewolnik ogrodu panieńskiego. Autor."

Wstęp ten dobrze określa kult maryjny autora, a pośrednio całej szlachty polskiej, której Kochowski jest typowym reprezentantem: kult wcale nie abstrakcyjny, oderwany. Przeciwnie: ma charakter na wskroś praktyczny. Mocno trzyma się ziemi i to ziemi wyraźnie określonej — ziemi polskiej — której Matka Boska jest Królową. O cóż bowiem prosi poeta-obywatel swą Królową a zarazem Matkę? O to, o czym zapewne radził bezskutecznie na minionym sejmie: o „zawarcie granic" — aby łatwiejsze były do obrony, mniej wydane następującym zewsząd wrogom — o pokój. Bezpośredniość, niemal poufałość („...zaprawdę, tytuł barziej nam tytulantom niż Tobie tytulantce...") harmoninjnie łączy się ze wzniosłością, z patosem zakończenia. Trudno nie wierzyć w szczerość poety: to nie skłonność do barokowego konceptu, ale szczera troska wieloletniego żołnierza i świadomego, odpowiedzialnego za losy kraju obywatela podyktowała słowa wstępu — antyfony.

I w tekście samym „Ogrodu", acz mniej wyraźnie, narodowy, polski element maryjnego kultu autora daje się zauważyć:

Fenestra Orientalis

Żeby Bóg strzał nie rzucał na nas z górnej sfery
Panna wschodniej przywarła ku Polszce kwatery.

Zwraca też uwagę owa poufałość wyrażająca się choćby w słowach, które wkłada autor w usta Matki Boskiej — Królowej przemawiającej do Swych podwładnych jako do współobywateli — „ziomków":

„...Lub kwiatki lubo frukty ręka czyja zrywa,
Nietylko nikt nie broni, ale sama wzywa
Najświętsza Matka, mówiąc: Ogrodu i pani
zażyjcie w swej potrzebie ziomkowie kochani..."
(Do Ogrodu Panieńskiego wejście)

Poufałość ta czasem przybiera formy niemal żartobliwe. To one zapewne stanowią kamień obrazy dla tych wszystkich (wielu historyków literatury w to licząc), którzy nie mogą pojąć, że można być równocześnie wzniosłym i wesołym, że można modlić się z uśmiechem, używając do modlitwy języka gawędziarza lubującego się w śmiałej, niezwykłej metaforyce.

Via lactea

Panna jest mleczną drogą, przepaś nieba złoty,
Po którym słońce wieczne odbywa obroty.

Za inny przykład niech posłuży dystych mówiący o Świętej Rodzinie terminami heraldyki polskiej:

Filia David

Panna z królów linii, to Chrystus Pan pewnie
Herbowym Dawidowi, po matce królewnie.

Wśród zwrotów głoszących chwałę Maryi, czczących Jej cnoty, przymioty, piękno, przewija się często w „Ogrodzie" motyw bezradności autora w stosunku do tematu, który, jak sam w pokorze wyznaje, „nie jego jest głowy" — przerasta jego siły, możliwości twórcze. Mówi o tym choćby w „Zawarciu kwatery XIV":

Odbiego liczman swojej nieskutecznej chętki,
Rachując krople deszcza i śnieg ziemi prętki
Które więc niebo daje obfitością szczodrą,
Wszystek świat jako jedną okrywając kołdrą
Snadniej jednak deszcz zliczyć i śniegi rzęsiste
Niż chwały Matki Boskiej w niebie wiekuiste.

Wespazjan Kochowski wykazuje chwalebną, a nieczęstą u polskich poetów dbałość w dobieraniu rymów trudnych, nieoczekiwanych, w miarę możności nie gramatycznych (był miany — parkany, na słomie — widomie, szczodrą — kołdrą).

Trudno też byłoby wyliczyć wszystkie udatne porównania, przenośnie, hiperbole, którym i „Ogród" bujnie obrodził.

Columna in medio aeciptrum

Insze rodzaje ptaków drapieżny ptak gnębi,
Tej gołębice skrzydeł boją się jastrzębi.

Umbrae nescia

Pięknie świecąc cień robisz, książe planet, Febie,
Panna nie mając cienia, światłem przeszła ciebie.

Eva secunda

Ewa wtóra, nie taka jako pierwsza ona,
Tamta naga, Twe zdobi płaszcz z słońca ramiona;
Tamta wygnanka jedna z raju bez stowłosa,
A Ciebie samy sobą odziały niebiosa.

Janua Coeli

Wiele weścia do nieba: są furtki, są bramy,
Nam złym, że bramą trudno, do furtki się mamy.

W sumie należy — jak sądzę — uznać „Ogród Panieński" za utwór bardzo udany, piękny w formie, bogaty i głęboki w treści, oryginalny w pomyśle. To jedna z ciekawszych i wartościowszych pozycji naszej poezji barokowej. Jedyne (poza pierwodrukiem) wydanie „Ogrodu" (w Bibliotece Polskiej J. K. Turowskiego) ukazało się przed stu niemal laty (w 1859 r.) i jest dziś niemal jako pierwodruk niedostępne. „Ogród Panieński" nie jest tu wyjątkiem. Większość pism Kochowskiego dzieli jego los: ukazały się prawie wszystkie drukiem jeszcze za życia autora, by uzyskać wznowienie po dwustu niemal latach, w połowie XIX wieku. W latach międzywojennych została wydana tylko „Psalmodia polska" uzupełniona wyborem liryków i fraszek (w Bibliotece Narodowej, 1926).

W szkicu moim ograniczyłem się do omówienia maryjnej poezji Wespazjana Kochowskiego pomijając nawet tak wielkiej wartości dzieła poety o charakterze religijnym, lub raczej religijno - patriotycznym, jak „Psalmodia polska". Pominąłem cały szereg drobnych utworów lirycznych oraz jeden utwór większy: „Różaniec Najświętszej Panny Maryi" (1668). Pominąłem również dzieło, którego autorstwo jest przypisywane Kochowskiemu przez J. Krzyżanowskiego, wielki poemat epiczny „Oblężenie Jasnej Góry". Wydawca tego ciekawego i cennego acz nierównego pod względem literackim zabytku J. Czubek (1930) przypisuje jego autorstwo, zdaniem moim na podstawie niedostatecznych dowodów, ks. Walentemu Odymalskiemu.

Kochowski reprezentuje świetnie, tj. zarówno trafnie co pochlebnie, pewną formację kulturalną, która w naszych dziejach odegrała wyjątkowo dużą rolę. Formacja ta, to najogólniej: barok, którego specyficznie polską odmianę zwać się zwykło sarmatyzmem.

Do charakterystycznych cech sarmatyzmu jako ruchu kulturalno-obyczajowego należała nadzwyczajna umiejętność organicznego łączenia różnorodnych, często sprzecznych pierwiastków w harmonijną całość.

Tak i Kochowski: łączy skłonność do mistycyzmu z realizmem, rubaszność ze wzniosłością, umiłowanie wolności z pewną formą religijnej nietolerancji. Z nietolerancji tej czyni mu się często zarzut — niezupełnie chyba słusznie. Źródłem jej bowiem jest mocne przekonanie o istnieniu jednej tylko i niepodzielnej prawdy, o co do poety-katolika trudno mieć pretensję. Taka katolicka nietolerancja powinna być (i zazwyczaj bywa) mitygowana w praktyce miłością bliźniego. Łatwo może kogoś zdziwić, że Kochowski — człowiek z kościami dobry, założyciel i troskliwy opiekun szpitala dla ubogich, wzorowy, nikomu w drogę nie wchodzący sąsiad, przykładny obywatel, nie znajduje ni cienia litości dla wypędzanych z ojczyzny arian. Przeciwnie: grzmi, sroży się, złorzeczy, jak rzadko:

„Wychodź swacho Babilonu
Nierządnico wszeteczna,
Sarmackiego molu tronu,
Ojczyzny hańbo wieczna.
...Wender, wender Aryani,
Wnukowie Belzebuba,
Którym boski honor tani
A z bluźnierstw jego chluba..."

Otóż Kochowski był i tym razem wyrazicielem opinii ogromnej większości Narodu, który widział w arianach — częściowo przynajmniej, słusznie — grupę zbiorowo odpowiedzialną za zdradę w okresie potopu szwedzkiego. Trudno się też dziwić, że człowiek, który przez dziesięć lat walczył wiernie i ofiarnie z najeźdźcą, szczerze nie cierpi tych, którzy zdradzali, sprzymierzali się z wrogiem, „współpracowali z okupantem" — jakby się to dziś powiedziało. Gniew na arian u autora „Niepróżnującego próżnowania" nie różni się w swej istocie ani nasileniu od gniewu, jaki nim miota przeciw „synom koronnym sejmy rozrywającym":

„Bodaj źle zginął, bodaj zabit marnie
Kto dla prywaty swej sejmy rozrywa!
Niech głowa jego przepada niekarnie,
Niech wymazany z ksiąg żywota bywa!
. . . .
Niż Matka zginie niechaj zły syn pierwu
Zwierzom potrawę dawszy z swego ścierwu!"

Kochowski był wyrozumiały i łagodny. Jego rzekoma nietolerancja ograniczała się do naturalnego wstrętu , jaki proste rycerskie serce żywiło do wszelkiej zdrady, podłości, a przy tym do pychy intelektualnej (lub raczej pseudointelektualnej). Poeta dużej miary, a równocześnie szczery i pokorny czciciel Matki Boskiej zasłużył w narodzie katolickim na więcej uwagi ze strony badaczy literatury, i na powszechną znajomość swych dzieł w społeczeństwie, szczególnie, że dzieła jego pisane językiem jędrnym i barwnym do dziś są w pełni „czytelne". Nie są to szacowne zabytki z muzeum kultury — utrapienie belfrów i postrach sztubaków, ale żywa poezja, która ujmuje serce, cieszy i wzrusza. Żywa poezja — to jest POEZJA po prostu.

Mieczysław Paszkiewicz

CZYN CUDU I KRWI

Wskrzeszenie Piotrowina, pisze Długosz, dokonane zostało publicznie, wobec mnóstwa osób świeckich i duchownych, „z których podania to wiemy". Stwierdzili to świadkowie przed komisją sędziów papieskich, gdy badała cuda dokonane za sprawą Biskupa Krakowskiego; prawdziwość zdarzenia potwierdza też przekonanie polskiego Kościoła. Miejsce sądu Bolesława Śmiałego w sprawie spornej wsi, cmentarz, na którym Piotrowin był pochowany, oraz jego grób „ludzie nawykli odwiedzać pobożną pielgrzymką". Stała się ona zwyczajem, aż, po wiekach, Zbigniew Oleśnicki, następca św. Stanisława na stolicy krakowskiej, zbudował piękny kościół z cegły na cmentarzu, a kościół drewniany na polu, gdzie odbywał się sąd-wiec, na który stawił się wskrzeszony Piotrowin, by dać świadectwo prawdzie. Postawił też murowaną kaplicę na grobie Piotrowina. Te informacje mamy od Długosza.

Cuda działy się i dzieją w Kościele Bożym do dziś. Bóg w ten dziwny sposób zaznacza swą moc nad widzialnym światem. Za pośrednictwem ludzi, specjalnie do tego wybranych, Bóg wyraża swą wolę w sprawach ważnych. Każdy cud podkreśla i przypomina istnienie Boga i Jego rządy nad światem. Jego opiekę nad człowiekiem. Ale niektóre cuda podkreślają i czynią czymś wyraźnym jakąś jedną, ważną na daną chwilę, prawdę czy zasadę. W tym wypadku, jak to mówi Długosz, Bóg przypomniał prawdę o zmartwychwstaniu ciał. W wypadku Lourdes Bóg zwrócił uwagę ludzi na ideę niepokalaności i na samą Niepokalaną.

Są cuda, którymi Bóg alarmująco uwypukla prawa życia społecznego, politycznego, międzynarodowego. Cud wskrzeszenia zmarłego Polaka przez Polaka, i w Polsce, zwrócił uwagę chrześcijańskiego świata na ten fakt, że gdzieś daleko na północy jest królestwo, w którym Bóg dokonuje wielkiego cudu, bo się tym królestwem interesuje. O Lourdes piszą dziś wszyscy. Cud św. Stanisława stał się znany na całym świecie; do dziś co najmniej wszyscy księża całego świata, samego papieża nie wyłączając, czytają o Polsce, odmawiając brewiarz.

Jest jeszcze coś, o co specjalnie Bogu chodziło, gdy zezwalał na najrzadszy spośród cudów. Chodziło w tym cudzie o praworządność, o sprawiedliwość w rządzeniu ludzi przez ludzi. Cud ten, jak cała misja św. Stanisława i jego męczeństwo, dotyczył polityki, prawa, rządzenia, rządu. Dawał on odpowiedź na pytania: czy ten, co rządzi ma być wielkim zbójem, który dlatego tylko ma rację i musi być słuchany, bo jest najsilniejszym ze zbójów? Czy to, co on nakaże dlatego tylko ma moc wiążącą, bo zostało nakazane przez kogoś, wobec którego opór jest daremny? Czy nie ma żadnego wyższego prawa, któremu i rządzący podlega w równym stopniu, w jakim podlegają prawu rządzeni, na podstawie którego władca rządzi a podwładni mu podlegają?

Odpowiedzi na te pytania były dane dużo wcześniej przed św. Stanisławem, ale nie były jasne dla wszystkich i często o nich zapominano. Dlatego przypomnienie zostało wtedy dokonane przez Stwórcę w sposób szarpiący uwagę człowieka rządzącego i rządzonego. Bóg ożywił rozłożonego trupa w imię sprawiedliwości w rządach i sądach.

Dojrzał to Długosz i w ten sposób zinterpretował: „Grób jego (Piotra) istnieje u nas po dziś dzień jako stróż wykonywania sprawiedliwości i stawiania jej ponad namiętność i zdanie człowieka. Cud ten jest dowodem, jak bardzo Bóg miłuje sądy sprawiedliwe, a potępia niesprawiedliwe, gdy umarłemu od lat kazał wstać dla oddania słuszności jednej i drugiej stronie, by od umarłych nauczyli się żywi, jak należy dbać o sprawiedliwość i nigdy jej nie gwałcić".

Źródła historyczne łączą działalność św. Stanisława z obroną praw człowieka przeciw przemocy rządzących. Pomijając kroniki i wypadki wcześniejsze, jeszcze przy końcu XVI wieku siła popularnego przekonania o tym wyraziła się w proteście kobiet wsi podkrakowskiej przeciw zabraniu bydła na stół królewski, gdy koronować miano Henryka Walezego; protest swój wniosły w kościele św. Stanisława (Bielski, Kronika, wyd. 1846, II, 226).

Rzecz oczywista, że człowiek, który sprzeciwił się nadużyciu władzy, użyciu jej w sposób sprzeczny z pojęciem funkcji władzy, przyjętym i bronionym przez Kościół, musiał stać się kamieniem obrazy dla „władców" władzy nadużywających.

Nic dziwnego, że św. Stanisław „nie tylko za życia, ale i po śmierci był znienawidzony przez polskich książąt", jak pisze Długosz, a my możemy dodać, że był i jest znienawidzony przez zwolenników teorii władzy bezwzględnej i absolutnej, dla których posiadanie władzy daje tytuł do każdego czynu, choćby najbardziej gwałcącego prawa Boskie i ludzkie.

Znaczenie zasady, w obronie której św. Stanisław poniósł śmierć męczeńską, zostało szczególnie mocno podkreślone okolicznościami, w jakich dokonano w końcu jego kanonizacji. Zajął się nią z wielką roztropnością chłopski syn, Jakub ze Skarzeszowa, „mąż przezacny", pisze Długosz, „...z rodu kmiecego i wzrostu małego, cnotą jednak i nauką znakomity i wielki doktor obojga praw, dziekan krakowski i kanonik wrocławski, który osobliwszą wymowę i naukę jakimi słynął, a nadto prace i majątki swoje na to jedno poświęcił, aby chwała kanonizacji świętego Bożego Stanisława przyszła do skutku; on też był współpracownikiem wytrwałym i głównym jego kanonizacji, wszystkie pokonawszy przeciwności i trudności, jakie jej stały na przeszkodzie".

Dzieło kanonizacji łączy wszystkie stany i jednoczy książąt rozbitej na pyłek dzielnic Polski. Naród budzi się i przypomina sobie dawną Polskę królewską. Zaczynie się pochód ku zjednoczeniu i ku ustrojowi opartemu na ideach, za które Stanisław oddał życie.

Kanonizacja nastąpiła w okresie przełomowym dla Europy i całego chrześcijaństwa. Straszliwe doświadczenia z pogańskim typem władzy cesarza Fryderyka II nauczyły ludzi rozumieć, jak wielkim nieszczęściem jest władza nie licząca się z prawem („princeps legibus solutus") wyższym niż jego własne upodobanie, czy widzi-mi-się („quod principi placet..."). Widziano w czasie walk tego cesarza z Kościołem, jak trudno jest o wytrwałość i ile jest serwilizmu wśród duchowieństwa. Rzym zdumiewał się na wiadomość, że gdzieś w dalekiej barbarzyńskiej Polsce znalazł się człowiek, który dwa wieki temu dał przykład nieugiętego postępowania wobec króla łamiącego prawa i depczącego sprawiedliwość.

Okres ten był także szczególnie ważny dla Polski. Wtedy to bowiem (1226-1245) cesarz Fryderyk nadał konstytucję Krzyżakom, tworząc państwo, w którym religię mieszało się z żołdactwem na usługach zaborczych wojen.



Kanonizacji dokonał Papież, który złamał potęgę Fryderyka nie siłą oręża, lecz mądrością. Innocenty IV był uczonym wielkiej miary. On to pierwszy opracował doktrynę o prawie narodów do samodzielnego życia politycznego, nie wyłączając narodów pogańskich. Niespełna dwa wieki później nasz Paweł Włodkowic oparł swą obronę praw Polski i Litwy na doktrynie Innocentego IV. Papież bronił zasady, że człowiek jest z natury wolny, że władza ma obowiązek obrony sprawiedliwości, ma chronić wolność przed siłą i gwałtem. Wpisując św. Stanisława w poczet bohaterów Kościoła, papież dał społeczności chrześcijańskiej wzór do naśladowania: w walce z tyranią, w obronie cnoty i naturalnych praw ludzkich. Kanonizacją św. Stanisława zajmowali się żywo dominikanie. W roku, kiedy w Asyżu dokonywała się kanonizacja, Tomasz z Akwinu ma już blisko trzydzieści lat życia. W swych dziełach pójdzie śladami Innocentego IV, broniąc wolności i godności osoby ludzkiej, praw narodów do samodzielności państwowej, rozwinie doktrynę o konstytucyjnej monarchii, stając się, obok Innocentego IV, drugim autorytetem, na którym oprze się Paweł Włodkowic, rzecznik Litwy i Polski.

Historycy wyciągają swe wnioski z materiałów pisanych. Historycy doktryn polityczno-prawnych sięgają do pism przeszłości tej dziedziny tyczących. Słusznie. Jednakże ci, co pisali, opierali się nie tylko na tym, co było przedtem napisane, ale — i to głównie — na doświadczeniu.

Starania o kanonizację Stanisława Polaka wywołały silne reakcje w kołach intelektualnych chrześcijaństwa. Jego akt oporu wobec władcy musiał być analizowany drobiazgowo. Kościół stał na stanowisku poszanowania władzy i posłuszeństwa wobec niej. Czy zatem Stanisław postąpił słusznie? To, że był biskupem, niewiele znaczyło. Istotą rzeczy była racja uzasadniająca takie a nie inne wykonanie obowiązku biskupiego przez Stanisława biskupa z Krakowa. Stąd tak drobiazgowe badania przed-kanonizacyjne. Stąd narady teologów i prawników. Badania jednak wskazywały na rzecz jedną: że Stanisław był człowiekiem świętym, że król postępował niezgodnie z prawem ludzkim i chrześcijańskim, że Stanisław działał w zakresie swego obowiązku i działał roztropnie;

a nade wszystko, że Bóg mową wielkich cudów potwierdził słuszność stanowiska zajętego przez Biskupa Krakowskiego.

Wniosek dla teologów i prawników ówczesnych musiał być jasny: sam Bóg sprzeciwia się niesprawiedliwemu wykonywaniu władzy. Z tego zaś myśl wysnuwała wnioski dotyczące zagadnień konkretnych: jakie są prawa króla w stosunku do jego obowiązków? Czego władzy nie wolno? Co zrobić, by rząd nie krzywdził obywatela? Jak rząd niesprawiedliwy usunąć? Czy rządzeni mają prawo usunięcia rządu niesprawiedliwego? Te zagadnienia wchodzą w zakres filozofii polityczno-prawnej.

Polskie wczesne średniowiecze nie wydało pisanego traktatu o polityce, rządzie i prawie, zwłaszcza prawie konstytucyjnym. Ale to średniowiecze, za sprawą Boga, wydało myśl pisaną czynem i męczeńską krwią. Polska przemówiła do całego Kościoła, dając wkład czynu i krwi a nie papieru. Kiedy wpływ św. Stanisława doszedł w Polsce do szczytu, późne średniowiecze polskie wydało kodyfikatora i twórcę polskiej myśli politycznej i prawnej w zastosowaniu nie do jednego tylko państwa, ale całej społeczności ludzkiej. Cechą specjalną myśli Włodkowica, którą nazwaliśmy „polską", jest to, że jej zasięg jest ogólno-ludzki. Ustawia ona Polskę jako jeden z wielu narodów mających samodzielne życie państwowe, jako członka wielkiej rodziny narodów i państw, ponad którymi jest wszystkich wiążące prawo, jedno dla wszystkich.

x. st. b.

O PROGRAM WYCHOWANIA

Drukujemy nadesłany z Kraju artykuł tym chętniej, że — z jednej strony nawiązuje do dyskusji na łamach prasy katolickiej w Polsce, a z drugiej przysłanie jego zostało spowodowane naszymi tutejszymi dyskusjami i akcją IPAKU w sprawie rodziny, których echa dotarły do Kraju. Red.

Tkwi jak gwóźdź w mojej świadomości list, który „Tygodnik Powszechny" (nr 4 z 26. 1. 58) zamieścił w dziale „Zagadnienia": „...Ileż błędów popełniłam już na moich dzieciach, ile pomyłek — i to się stało i nie może się odstać.

Dlaczego dziś dopiero dowiaduję się o różnych sprawach dotyczących wychowania dzieci — chociaż, Bóg mi świadkiem, nigdy nie byłam w tych sprawach lekkomyślna i starałam się dowiedzieć.

Jeśli chodzi o nas, to już przepadło — ale przecież, gdy się sadzi młody las nie o sobie się myśli i nawet nie o swoich dzieciach. Ponieważ taki żal mnie ogarnia, myślę o tym, czyby nie można czegoś zrobić w tym kierunku, aby ci młodzi ludzie, którzy zakładają teraz rodzinę lub założą ją w przyszłości, wiedzieli... Przecież łatwiej zapobiec chorobie niż ją leczyć..."

To jest wołanie o pomoc człowieka uczciwego, zdającego sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka ciąży na nim za powierzone sobie dusze: wołanie matki, która pragnie dobrze wychować dzieci, lecz brak odpowiedniego przygotowania i zły wpływ otoczenia, w jakim się jej dzieci znajdują, sprawia, że zadanie przerasta jej siły.

List ten jest tym bardziej alarmujący, że ogromna większość matek znajduje się dziś w tym samym położeniu. Sytuacja przedstawiona w liście dotyczy niemal już końcowego odcinka wychowania, które — nic dało pomyślnych rezultatów. Sytuacja tragiczna, którą charakteryzuje dobitnie zdanie: „Jeśli chodzi o nas, to już przepadło..." Ale co ma robić „młoda dziewczyna, która kończy szkołę, która ma przecież zostać matką, a nie wie wciąż jeszcze nic o wychowaniu dziecka..." Trzeba coś z tym zrobić!

Trzeba ułożyć program wychowania, który by rodziców dobrej woli ustrzegł od tragicznych pomyłek. Całe społeczeństwo powinno skoncentrować wysiłki umysłowe i duchowe, sięgnąć po cały zasób wiedzy pedagogicznej i doświadczenia, aby rozwiązać ten najbardziej palący problem, z którego wszelkie bolączki społeczne wypływają.

Niech poniższe rozważania będą wkładem w dzieło ratowania człowieka.

Całokształt zagadnienia ma swe źródło, rzecz jasna, w wadliwych metodach wychowania, bo nie możemy wszystkiego składać na karb złej woli dziecka, a tym bardziej posądzać wszystkich rodziców o niedbalstwo, egoizm lub o złą wolę. Wszyscy rodzice pragną dobrze wychować swoje dzieci, wszyscy, nawet ci mało warci moralnie. O cóż więc chodzi? Dlaczego wychowanie wydaje się „loterią", ryzykownym przedsięwzięciem, które może się udać, lub nie? Przecież stawką w tej loterii jest dusza ludzka! Tak wysoka stawka zmusza do ustalenia takiego programu, znalezienia takich metod, które by dały tak poważne szanse powodzenia, że tylko zdecydowanie zła wola dziecka przekreślałaby wynik. A dodać tu należy, że niejednokrotnie dobre wychowanie, pomimo chwilowych najgorszych nawet wyników, w końcu odnosi zwycięstwo.

Ale cóż to jest dobre wychowanie? Dlaczego chcemy dobrze, a robimy źle?

Wychowanie jest skomplikowanym i długofalowym procesem. Wiemy z doświadczenia opartego na hodowli tak roślin, jak i zwierząt, że wyniki w największym stopniu zależą od dobrych początków, że błędy u podstaw procesu z trudem tylko dają się naprawić, a bywają nie do naprawienia.

Jak funkcjonuje jednostka społeczna, do której pierwszy i zasadniczy etap wychowania należy? Jaka jest dzisiejsza rodzina?

Są rodziny zdecydowanie złe, gdzie ojciec usuwa się od swych obowiązków nie tylko wychowawczych, co jest niestety nagminną bolączką dzisiejszych rodzin, ale i jako żywiciel nie stoi na wysokości zadania, wydając pieniądze na swoje własne potrzeby — zbyt często na wódkę. Wtedy matka rzadko może podołać trudom wychowania. Bywa (rzadziej), że matka egoistka nie dba o dzieci, ma „swoje życie" i traktuje rodzinę, której powinna być ośrodkiem i fundamentem, jako „dopust Boży" i „karę za grzechy".

Bywają „rodziny", które na tę nazwę nie zasługują. Pary lekkoduchów życiowych, traktujących związek małżeński jak „spotkanie motyli wśród... kwiatów", bez żadnego poczucia odpowiedzialności za siebie nawzajem, a tym bardziej za potomstwo.

Są rodziny kalekie, gdzie śmierć zabrała ojca lub matkę. Tam Bóg sam przychodzi z pomocą tym, którzy mają dobrą wolę, daje potrzebne światło i siły. Boleśniejsze od śmierci są wypadki, gdy mąż opuszcza żonę lub żona — męża. Ciężka to krzywda dla dzieci i straszna odpowiedzialność za ich dusze.

Są jeszcze rodziny, które system ekonomiczny okaleczył, gdzie głodowa pensja ojca zmusza matkę do pracy poza domem. Tu, jeśli istotnie grozi nędza, nie są winni rodzice. Lecz, niestety, zbyt często chodzi raczej o nadwyżkę zarobku na ładniejsze ubranie lub wybredniejsze jedzenie, dla których poświęca się bezcenną obecność matki w domu. Poświęca się często nawet w dobrej wierze, aby „dzieciom niczego nie brakowało", nie rozumiejąc, że brak matki musi się źle odbić na wychowaniu. Najbardziej błądzą matki, które wolą poza domem zarobić na służącą czy niańkę, gdyż do pracy domowej i pielęgnowania dziecka „nie mają cierpliwości".

We wszystkich powyższych wypadkach trudno się dziwić, że wychowanie nie przebiega normalnie i nie daje dobrych rezultatów. Ale jest przecież wiele takich rodzin, gdzie zdawałoby się wszystko jest na swoim miejscu i wychowanie powinno dać dobre wyniki. A jednak — nie daje.

Liczne, nieraz bardzo dotkliwe doświadczenia życiowe wskazują na następujące podstawowe błędy wychowania:

brak miłości ofiarnej w rodzinie, czyli po prostu miłości bliźniego pomiędzy ojcem i matką, rodzicami i dziećmi;

brak równowagi pomiędzy miłością a zdyscyplinowaniem;

niezrozumienie roli wychowawczej ojca;

zły przykład;

brak konsekwencji;

zaniedbanie przez rodziców obowiązku przygotowania dorastających dzieci do przyszłych zadań (specjalnie zaniedbane jest przygotowanie chłopców).

Oto choroby, na które powszechnie chorują rodziny, a tak są one zakorzenione i zadawnione, że najuczciwsze jednostki zagubiły już właściwą drogę. A jednak ta droga jest, wskazuje nam ją logika, a we wskazaniach naszej wiary znajdujemy jej potwierdzenie i uzasadnienie.

Miłość bliźniego! Wiemy, że nakazuje ją przykazanie miłości i wiemy, że nie jest bynajmniej łatwo „kochać bliźniego swego jak siebie samego". Wiemy również, że nigdzie nie bywa to tak trudne, jak właśnie w rodzinie. A przecież rodzina to podstawowa komórka społeczna, „laboratorium", w którym powstaje nowy człowiek! Jeśli tu brak miłości bliźniego, to skąd ma się ona wziąć w młodym pokoleniu, które z rodziny wyrasta? Bądźmy logiczni. Jeśli każdego człowieka wobec drugiego obowiązuje miłość bliźniego, to tym bardziej u podstawy związku rodzinnego powinna ona istnieć i na niej dopiero wolno budować miłość małżeńską i rodzicielską. Miłość małżonków, nie oparta na miłości bliźniego, nie daje żadnej gwa-

rancji trwałości rodziny. Miłość rodzicielska, nie oparta na miłości bliźniego, nie wystarcza, gdyż kieruje się fantazją: zaślepiona lub zbyt pobłażliwa, nie umie się zdobyć na konsekwentne wymaganie i sprawiedliwą karę, to znów w służbie pseudo - sprawiedliwości, na dnie której kryje się rodzicielska ambicja, zamienia wychowanie w system policyjny, zabijający w dziecku dobrą wolę i inicjatywę.

Podstawowe czynniki wychowawcze: miłość i zdyscyplinowanie określają w wychowaniu rolę matki i ojca. Nie ma tu miejsca na zagłębianie się w rozważania ontologiczne na temat pierwiastka męskiego i żeńskiego w człowieku. Wystarczy stwierdzić, że: w mężczyźnie i w kobiecie pierwiastek męski prawa i pierwiastek żeński miłości wzajemnie się dopełniają: miłość łagodzi prawo, a prawo porządkuje miłość; gdzie nowe życie ma powstać, tam oba elementy, męski i żeński są konieczne. Wynika stąd, że i w wychowaniu oba te elementy muszą działać w zgodzie i równowadze.

Wychowanie człowieka to przede wszystkim wychowanie moralne, które jeszcze przed urodzeniem się dziecka rozpocząć może i powinna matka, świadoma wpływu swych myśli (nie tylko czynów) na kształtowanie się charakteru dziecka. Za ten najwcześniejszy okres „wychowania" ponosi odpowiedzialność głównie matka, ale... nie tylko ona. Zaczynać się tu powinna także wychowawcza rola ojca. Jakże niewielu mężczyzn to rozumie! A jakże mają to rozumieć, skoro się o tym nie mówi dorastającym chłopcom. Chodzi o działanie wychowawcze pośrednie, przez matkę, a polega ono na tym, co stanowi stały obowiązek ojca: pielęgnowanie i osłanianie ognia miłości rodzinnej, którego źródłem jest kobieta-matka.

Ponieważ celem wychowania jest kochając nauczyć kochać, gdyż tylko miłość rodzi dobrą wolę, zatem miłość jest tym motorem niezastąpionym, tym ogniem, którego osłabienie lub zabicie zagraża wychowaniu. Ojciec, który rozumie swą rolę wychowawczą, będzie i nadal mądrym stróżem ognia miłości macierzyńskiej, będzie go czcił i szanował w osobie matki swoich dzieci, będzie czuwał, aby miłość ta nie wypaczyła się, nie przerodziła w słabość. Będzie wiedział, że dyscyplina bez miłości daje tylko pozornie dobre wyniki, bo dobra wola a nie tresura stanowi o wartości człowieka dojrzałego. Jeżeli kobieta dozna czci i uznania mężczyzny dla swojej roli w rodzinie, dla swego cierpienia i poświęcenia, chętnie podporządkuje się czynnikowi dyscypliny, który reprezentuje mężczyzna i, co najważniejsze, uzna jego niezbędność w wychowaniu dzieci. Wtedy ustaną tragiczne nieporozumienia pomiędzy rodzicami w sprawach wychowania, zadrażnienia ambicji i uprzedzenia, które rujnują rodziny i stwarzają jak najgorsze warunki wychowawcze. Nowy człowiek wzrastać będzie w atmosferze zdyscyplinowanej miłości, w której najpewniej kształtuje się największy skarb ludzkości — dobra wola.

Niezrozumienie roli wychowawczej ojca polega właśnie na niedocenianiu, a w innych wypadkach na przeroście, czynnika dyscypliny w wychowaniu. Znaczenie ojca-głowy rodziny jest sprawą pierwszorzędnej wagi i problemem od dawna zaniedbanym. Problem ten wymagałby znacznie szerszego omówienia i głębszego potraktowania. Praktyka wykazuje, że kobieta-matka, borykająca się samotnie z cierpieniami i troskami życia rodzinnego, mniej lub więcej wypacza się psychicznie i wykańcza nerwowo. Odpowiedzialność za szkody w wychowaniu spowodowane przez zbytnią pobłażliwość lub zbytnią surowość matki ponosi także ojciec. Słowo „samotnie" odnosi się nie tylko do wypadków opuszczenia rodziny przez ojca, lecz i do tych, nagminnych, w których ojciec na skutek wygodnictwa lub nieudolności usuwa się od życia rodzinnego i jego trosk, uważając za swój obowiązek co najwyżej świadczenia materialne, a w niektórych wypadkach objawiając swe ojcowskie prawa li tylko w postaci bezwzględnych wymagań. Rozpatrzenie zagadnienia roli ojca w rodzinie pomogłoby ludziom dobrej woli do usunięcia tych braków, a wychowanie chłopców skierowałoby na właściwe tory.

Znaczenie dobrego przykładu jest tak zrozumiałe, że nie ma potrzeby szerszego rozwijania tego tematu. Dobrego przykładu nie zastąpi, rzecz prosta, żaden najlepszy program, najlepsze chęci i ideały. Odnosi się to do wszystkich, nawet najdrobniejszych pozycji życia rodzinnego, od najprymitywniejszych wskazań higieny i porządku do najważniejszych spraw wiary i moralności. Należy tu raz więcej podkreślić rolę wychowawczą ojca, który łudzi się nieraz, myśląc, że przykład matki wystarczy. Przykład matki nie wystarcza dla wykształcenia postawy moralnej synów, a wychowanie synów, przyszłych ojców — to czołowe zadanie wychowania. Dobry przykład wymaga dobrego życia.

Znaczenie konsekwencji, sprężyny powodzenia wszelkiej akcji, w wychowaniu jest podstawowe. Brak konsekwencji, to nie tylko choroba rodzin, to choroba dzisiejszego świata, przyczyna niewiary, nieobyczajności, nieuczciwości, bo rodzi rozbieżność między czynami a sumieniem. Źródłem niekonsekwencji jest lenistwo, myślowe bardziej jeszcze niż fizyczne.

Rodzice sami grzebią sprawę wychowania w najważniejszych jego początkach przez brak nieubłaganego, cierpliwego, lecz systematycznego wymagania elementarnego porządku, podstawowych form towarzyskich, przez niepiętnowanie czy nawet tylko pobłażliwe traktowanie błędów, nałogów i nieuczciwości, przez tolerowanie drobnych chociażby nieposłuszeństw, braku uszanowania dla starszych, nieposzanowania cudzej pracy, nieobowiązkowości, niesłowności, egoizmu, objawów powierzchowności i niechlujstwa.

Atmosfera dwuznacznych dowcipów, zwyczaj nieżyczliwego odzywania się o bliźnich oraz lekceważenie w praktyce sprawy alkoholu wyrządzają niepowetowane szkody w wychowaniu, czego większość rodziców nie dostrzega lub dostrzega za późno.

Niezmiernie ważna jest dla dorastającej młodzieży troskliwa kontrola reakcji i przemian, a dotyczy to specjalnie kwestji religijnych i seksualnych. Rodzice, którzy nie dbają nieustannie o zaufanie dzieci, o przyjaźń serdeczną, którzy nie włączają się w ich zabawy, zainteresowania, naukę — mogą w każdej chwili oczekiwać najbardziej tragicznych niespodzianek. W „najlepszym" razie spotka ich zasłużona kara: staną się dla swych dzieci obcymi. Na starość zaś doczekają się ze strony dorosłych dzieci stosunku pobłażliwej wyższości, opartego na przeświadczeniu, które będzie gorzkim wyrzutem: „Nie wyście nas wychowali! Wychowaliśmy się sami, wychował nas świat i ludzie obcy".

Matka, samym swym przykładem, wpaja w córkę jej przyszłe obowiązki matki i gospodyni. Zadanie to jest ułatwione przez wrodzone skłonności, jakie mają dziewczęta w tym kierunku. Ale matkom nie wolno zapominać o pouczeniu córek o oczekujących je obowiązkach dobrych żon. Matki winny się wystrzegać krytycznego stosunku do swych zięciów i synowych, który z miłością bliźniego nie ma nic wspólnego i niejednokrotnie staje się przyczyną nieporozumień małżeńskich.

Do ojców należy przygotowanie synów do ich przyszłych obowiązków w duchu świadomej odpowiedzialności głowy rodziny.

Rozumne uświadamianie zaczynać trzeba jak najwcześniej, stosunkowo do wieku dozując odkrywanie prawd życiowych, ale zawsze prawd, z podkreśleniem ich piękna i powagi. Uświadomienie należy przede wszystkim do rodziców i nie wolno dać się ubiec w tym względzie ludziom obcym, książkom i filmom. Każda dziewczyna musi wiedzieć, że może zostanie matką i będzie cierpieć. Każdy chłopiec musi wiedzieć, że może zostanie ojcem i ma umieć odczuć cierpienie.

*

Oto niektóre elementy diagnozy podyktowane praktyką pedagogiczną oraz obserwacjami otoczenia. Każde zagadnienie wymagałoby osobnego opracowania i to nie przez jedną osobę, lecz w drodze wysiłku zbiorowego. Wtedy dopiero zacznie powstawać program wychowania, z którym zaznajamiać będą młodzież rodzice, a z czasem i szkoły podstawowe. Dopóki odpowiednie programy wychowawcze nie zostaną wprowadzone do szkół podstawowych, obowiązek ten ciąży podwójnie na rodzicach. Aby nie rozlegały się już nigdy tragiczne głosy wołające: „Dlatego dziś dopiero dowiadujemy się?...", albo jeszcze tragiczniejsze stwierdzenie: „Jeśli chodzi o nas, to już przepadło..."

Na zakończenie słowo pociechy i uspokojenia. Ojcze! Matko! Nic nie przepada tam, gdzie jest żal i dobra wola odrobienia popełnionych błędów. Jesteśmy katolikami, wierzymy w Boga. Bądźmy świadomi, że „Bóg kieruje nami poprzez wypadki każdego dnia" („Gałganierze z Emmaus" — Boris Simon). I jeszcze: „Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują" (Ps. 126). Bóg wychowuje nasze dzieci! Jeżeli wychowujemy je z miłością ofiarną — dopomagamy Mu. Istnieje czynnik przyrodzony, który może najlepsze wychowanie udaremnić, a jest nim zła wola dziecka, ale istnieje również potężniejszy jeszcze czynnik nadprzyrodzony: łaska. O łaskę trzeba się modlić. Bez modlitwy nie zdadzą się na nic najlepsze programy wychowania. Modlić się trzeba o siłę, aby je wypełnić, gdyż program będzie trudny. Będzie wymagać ofiar, wielu ofiar, nieraz ofiary całego życia.

Módlmy się wszyscy: rodzice, którzy popełnili błędy w wychowaniu — o siły w trudnym zawsze odrabianiu tych błędów; rodzice, oczekujący cudu narodzin — o dobry start w wychowaniu, który tak wiele znaczy; narzeczeni, pragnący założyć rodzinę — o jak najlepsze przygotowanie do wielkiego zadania. Módlmy się o nową rodzinę, ożywioną przez Boga sokami nadprzyrodzonego życia, aby się stała zdolna i godna odrodzić świat.

H. G. B.

ZAOPATRZENIE RODZINY

ANTONI POSPIESZALSKI

Zaopatrzenie rodziny w Wielkiej Brytanii, w odróżnieniu od zasadniczego zarobku, który ojciec rodziny dzieli z człowiekiem nieżonatym lub małżeństwem bezdzietnym, pochodzi z dwóch źródeł: z dodatków na dzieci płatnych przez państwo (od drugiego dziecka wzwyż) i z ulg podatkowych z tytułu posiadania dzieci. Proste obliczenie wykazuje, że w wypadku ojca rodziny zarabiającego średnio (£ 12 na tydzień) i obciążonego rodziną średniej wielkości (2-3 dzieci) gotówkowa wartość zaopatrzenia rodzinnego wynosi około £ 35 rocznie na jedno dziecko. Rzecz jasna, że z tej sumy trudno dziecko utrzymać. Przy mniejszym dochodzie zasadniczym lub przy większej ilości dzieci wartość gotówkowa ulg podatkowych spada aż do zera tak, że jedynym źródłem zaopatrzenia dla dzieci pozostają dodatki na dzieci, których wartość wynosi przeciętnie £ 25 na jedno dziecko na rok.

Utrzymanie rodziny jest zatem możliwe tylko kosztem obniżenia ogólnej stopy życiowej w porównaniu z tak samo zarabiającym kawalerem czy małżeństwem bezdzietnym. W rezultacie rodzina, szczególnie liczna rodzina, przechodzi nieuchronnie przez tak zwany „okres ubóstwa" (poverty cycle), który dochodzi do punktu kulminacyjnego w miarę dorastania dzieci i stopniowo opada w miarę jak starsze dzieci zaczynają po kolei same zarabiać.

Ten stan rzeczy jest w Wielkiej Brytanii uznany za normalny. Nie tylko liczną rodzinę, ale i kilkoro dzieci uważa się za luksus, za który rodzice słusznie powinni płacić obniżeniem swej stopy życiowej. W praktyce zatem powstaje dla małżeństwa dylemat, który symbolicznie można ująć w formułę: albo dziecko albo samochód. Dylemat nie tylko nie-chrześcijański, ale po prostu nieludzki. Mówi się w naszych czasach dużo o konieczności wzmocnienia rodziny. Prawda, ci którzy tak mówią, mają na myśli przede wszystkim duchowe więzy łączące członków rodziny w zdrowy organizm społeczny; ale na ziemi duch jest ściśle związany z materią. Nie mogą być mocne duchowe więzy, gdy matka jest zmuszona oddawać dzieci pod opiekę obcych i sama iść do pracy. Zdrowie rodziny jest również uzależnione od jej podstaw materialnych.

Tradycyjny socjalizm w dążeniu do wyrównania nierówności społecznych nie pozostawił tego zagadnienia całkiem odłogiem, ale w hierarchii swych postulatów postawił je prawie na szarym końcu. Chrześcijańska myśl społeczna stawia je na jednym z naczelnych miejsc i w miejsce hasła „równa płaca za równą pracę" stawia postulat: „Równy poziom życiowy za równą pracę". Innymi słowy robotnik obciążony liczną rodziną powinien być zdolny do prowadzenia życia na tym samym poziomie co robotnik bezdzietny; lekarz obciążony liczną rodziną ma prawo do tego wszystkiego, na co sobie może pozwolić, zgodnie z wymaganiami swej pozycji społecznej, jego nieżonaty kolega.

Postulat łatwo sformułować, trudno go wprowadzić w życie. Trudno nawet opracować praktyczną receptę, która by wskazywała, skąd wziąć pieniądze na należyte zaopatrzenie rodzin. Ale pieniądze na to są. Jeśli jest faktem, że większość rodzin w pewnym okresie życia przechodzi swój okres ubóstwa, to musimy również zwrócić uwagę na dwa inne fakty:

1) ci sami ludzie, mężczyźni i kobiety, przed zawarciem małżeństwa, a zwłaszcza przed nadejściem dzieci dzielą ogólny wysoki poziom życiowy „nie-rodzinnych" mieszkańców w Wielkiej Brytanii i w większości wypadków powracają do tego wysokiego poziomu po wychowaniu dzieci, a przed nadejściem starości (kiedy wchodzą w drugi okres ubóstwa, który jednak stanowi osobny problem);

2) mimo tego pierwszego okresu ubóstwa dzieci otrzymują na ogół wystarczające wyżywienie, ubranie, opiekę zdrowotną i wykształcenie.

Zajmijmy się najpierw tym drugim faktem. Oznacza on, że mimo niewystarczającego gotówkowego zaopatrzenia rodziny, państwo otacza młode pokolenie troskliwą opieką. Dziecko otrzymuje darmo wykształcenie i opiekę zdrowotną, nawet część swego wyżywienia otrzymuje od państwa w postaci subsydiowanych artykułów żywności i w postaci tanich posiłków szkolnych i mleka. Jednak z chrześcijańskiego punktu widzenia ten system opieki nad dzieckiem jest o tyle niezadowalający, że wszystkie te dobra i usługi znajdują się nie w dyspozycji rodziny, a w dyspozycji państwa.

Ojciec i matka są wyręczani przez państwo w funkcjach, które z natury rzeczy do nich należą. To wyręczanie zdejmuje z nich część odpowiedzialności, a tym samym i prawo pobierania decyzji. Na przykład, jeśli chodzi o szkołę, rodzice nie mają nic do gadania co do typu szkoły lub treści nauczania, którą ich dziecko wchłania. Jeśli nie chce się wyrzec prawa decyzji w tej sprawie, to muszą zrezygnować z pomocy państwowej i za szkołę swego wyboru płacić czesne. Wzmocnienie rodziny wymagałoby, by żywotne decyzje dotyczące przyszłości dziecka były pobierane w rodzinie, nie zas przez urzędników państwowych. Ale na to, by móc powziąć decyzję, rodzina musi mieć odpowiednie środki. Rzecz jasna, że także to wszystko, co dziecku daje państwo, nie jest w gruncie rzeczy darmową usługą, gdyż państwo czerpie na to środki z podatków, które rodzice uiszczają na równi z innymi (nawet jeśli są zwolnieni od podatku dochodowego, to na równi z innymi płacą podatki pośrednie i komunalne). Innymi słowy: rodzice płacą za usługi, na których treść i charakter nie mają żadnego wpływu. Przywrócenie im tego wpływu i prawa decyzji, wymagałoby pozostawienia w ich rękach tych środków, które obecnie — głównie w postaci podatków pośrednich — przekazują w ręce państwa. Te pieniądze to właśnie jedno z potencjalnych źródeł zwiększonych podatków rodzinnych.(1)

Musimy sobie dobrze zdać sprawę, czego tu naprawdę żądamy. Zmniejszając wpływy podatkowe państwa i pozostawiając te sumy w rękach obywateli, zwalniamy tym samym państwo z obowiązku dostarczania rzekomo „darmowych" usług społecznych w postaci bezpłatnego nauczania, opieki zdrowotnej, subsydiów żywnościowych itp. Tu czytelnika ogarnie przerażenie. To znaczy, że mamy rozmontować cały Welfare State i za wszystko, co teraz dostajemy od państwa darmo, mamy sami płacić? Nasze przerażenie jest tylko miarą zatraty naszego poczucia odpowiedzialności za własne losy i losy naszych rodzin. Wolimy polegać na państwie w złudnym przekonaniu, że państwo czerpie środki na świadczenia społeczne z jakiegoś tajemniczego rogu obfitości, a nie z naszej własnej kieszeni. Ale korelatem naszego żądania jest przecież, że pieniądze, które na ten cel płacimy teraz państwu, pozostają w naszej własnej kieszeni.

Niemniej wygląda to jak gdybyśmy chcieli cofnąć zegar historii i przekreślić cały postęp społeczny, którego wyrazem jest obecny angielski Welfare State. Nie chcemy. Chcemy tylko Welfare State przekształcić w Welfare Society — państwo opiekuńcze, w opiekuńcze społeczeństwo. Prawdą jest niewątpliwie, że trudno byłoby jednostce, a tym bardziej rodzinie, zapłacić pełny koszt, dajmy na to dłuższego pobytu w szpitalu, nawet gdyby zatrzymywała pieniądze, które obecnie płaci państwu w postaci podatków pośrednich i stawek ubezpieczeniowych. Ale moglibyśmy sobie pozwolić na ubezpieczenie i mając w ręku więcej własnych pieniędzy opłacać ekonomicznie uzasadnioną pełną stawkę ubezpieczeniową. Instytucją, która nas ubezpiecza, wcale nie musi być państwo; są dane do przypuszczenia, że mniejsze instytucje społeczne, jak np. związki zawodowe czy samorząd lokalny, potrafią to zrobić znacznie sprawniej i znacznie mniejszym kosztem niż państwo.

Dotychczas daliśmy więcej pieniędzy do ręki wszystkim obywatelom. Nie powiedzieliśmy jeszcze, skąd wziąć pieniądze na wystarczające zaopatrzenie dla rodzin. Również z ubezpieczeń. To doprowadza nas do faktu, który powyżej wymieniliśmy w pierwszej kolejności. Powtórzmy go tutaj: ci sami ludzie, którzy w pewnym okresie życia, obarczeni rodziną, przechodzą przez okres ubóstwa, przed i po tym okresie prowadzą życie na wyższej stopie. Wówczas są w stanie ubezpieczyć siebie (a ubezpieczając siebie, ubezpieczać również i innych) na ewentualność, że w pewnym okresie życia będą obarczeni rodziną. Proponujemy zatem, by każdy członek dorosłej pracującej ludności oddawał określoną część swego zarobku tytułem stawki ubezpieczeniowej na rzecz funduszu rodzinnego. Do płacenia byłby zobowiązany każdy, a więc zarówno ci, którzy jeszcze nie mają rodziny, jak i ci, którzy mają i ci, którzy już wysłali swe dzieci w świat. Taki postulat może wydać się niesprawiedliwy, szczególnie wobec tych, którzy jeszcze rodzin nie mają.(2) Skąd pewność, że kiedykolwiek odniosą z tych składek korzyści; może są to zaprzysięgli kandydaci na starych kawalerów i stare panny? A jednak nie jest to bardziej niesprawiedliwe, niż fakt, że z ubezpieczeń przeciwpożarowych korzystają tylko ci, których własność pada pastwą ognia. Wartość ubezpieczenia leży w fakcie, że ubezpiecza, i jest niezależna od faktu, czy doprowadziło do konkretnej wypłaty czy też nie.

Tym sposobem możliwe jest stworzenie funduszu, z którego ojcowie rodzin otrzymywaliby odpowiednie dodatki rodzinne. W jakiej wysokości powinny być te dodatki? We Francji, gdzie podobny system funkcjonuje już od lat, wysokość dodatków jest uzależniona od wysokości zarobku i wzrasta

wraz z zarobkiem. Są to dodatki pokaźne, jak wykazuje załączona tablica:

Dzieci	Płaca zasadnicza	Dodatek	Ogółem
0	20.000 frs	—	20.000
3	20.000 frs	19.625	39.625
6	20.000 frs	39.465	59.465

Widać stąd, że zarobek ojca rodziny mającego na utrzymaniu żonę i troje dzieci wynosi prawie dwa razy tyle co zarobek kawalera; przy sześciorgu dzieci wynosi prawie trzy razy tyle. Jest to zarobek wypłacany na zasadzie ,równy poziom życiowy za równą pracę". Nie jest to społeczna jałmużna, gdyż przyjmujemy, że rodzina, w której zarabia tylko jedna osoba (głowa rodziny) ma prawo, do takiej samej stopy życiowej co człowiek samotny, który ma na utrzymaniu tylko siebie samego. Dla podkreślenia tego faktu zaopatrzenie dla rodziny jest wypłacane jako część zarobku przez pracodawcę, nie zaś przez inną instytucję (jak w Wielkiej Brytanii, przez urząd pocztowy). Pracodawca jednak gra tutaj tylko rolę pośrednika. Z własnych funduszów wypłaca tylko zasadniczy zarobek. Od wszystkich zarobków potrąca stawkę ubezpieczeniową, którą wpłaca do centralnego funduszu rodzinnego, a z kolei wyrównuje pracodawcy różnicę między uposażeniem zasadniczym a pełnym zaopatrzeniem rodzinnym jego pracowników. Dlatego pracodawcy jest obojętne, czy zatrudnia u siebie kawalerów czy ojców rodzin, i nie ma bodźca do dyskryminacji przeciw przyjmowaniu do pracy ludzi obarczonych rodziną.

Jeśli zaopatrzenie dla rodzin według wzoru francuskiego wydaje się stosunkowo duże, to pamiętajmy, że w myśl omawianego tutaj planu zobowiązuje ono rodzinę do opłacania własnym kosztem wszystkich usług, które obecnie otrzymuje bezpłatnie od państwa.(3) Myślą przewodnią planu jest nie tylko realizacja zasady „równy poziom życiowy za równą pracę", ale również przywrócenie rodzinie prawa pobierania własnych decyzyj, a tym samym przywrócenie jej pełnej odpowiedzialności za swoje losy. Wszystko to, co obecnie daje państwo opiekuńcze (bezpłatne nauczanie, ubezpieczenie od choroby czy od bezrobocia) musiałyby przejąć instytucje społeczne, z tym że rodziny, podobnie zresztą jak obywatele samotni, musiałyby ze swych zwiększonych dochodów opłacić pełny, ekonomicznie uzasadniony koszt tych usług i ubezpieczeń.(4)

Naszkicowany plan jest dziełem grupy katolickich uczonych, ekonomistów i socjologów angielskich zrzeszonych w Catholic Social Guild. Jakie są szanse jego realizacji? Zapewne, są to raczej odległe perspektywy. Zasady katolickiej nauki społecznej, na których ten plan jest oparty, dalekie są od uzyskania w Anglii powszechnego uznania. Ale uznanie mogą one zyskać jedynie, jeśli katolicka opinia publiczna potrafi wytworzyć odpowiedni klimat umysłowy i moralny i wzbudzić zainteresowanie dla proponowanych na podstawie tych zasad rozwiązań. Innymi słowy, te zasady i rozwiązania najpierw wśród katolików (i w szerszych kołach chrześcijańskich) muszą stać się przedmiotem rozważań i dyskusji.

Podany w niniejszym artykule szkic planu zaopatrzenia dla rodzin ma z konieczności charakter bardzo pobieżny i ramowy. Czytelnikowi musiał się nasunąć cały szereg zastrzeżeń i wątpliwości. Zainteresowanych odsyłam do opracowań specjalnych, przede wszystkim do wydawnictw Catholic Social Guild. Istnieje popularne opracowanie planu w broszurze prof. M. Fogarty pt. „Family Allowances" (C.S.G. — 6 d.). Uzasadnienie podstaw ekonomicznych planu (choć samego planu książka nie omawia) znajdzie czytelnik w pracy Colin Clarka pt. „Welfare and Taxation" (C.S.G. 1954 — 3/6). System francuski jest omówiony m. in. w artykule H. H. Warda „Wages and Family Allowances in France" („Christian Democrat", February 1954).

Antoni Pospieszalski

---

(1) O tym, że są to środki wystarczające, świadczy fakt, że suma podatków wszelkiego rodzaju i stawek ubezpieczeniowych płaconych przez niższą grupę dochodową (tzw. grupę C) wynosi więcej niż wartość wszystkich świadczeń społecznych na rzecz tej grupy ze strony państwa. Por. w tej sprawie pracę katolickiego ekonomisty Colin Clark'a pt. „Welfare and Taxation", 1954, Catholic Social Guild.

(2) Co do tych, którzy już zdołali swoje dzieci wychować, zakładamy, że w swym okresie „rodzinnym" korzystali z zapewnionego przez ten system zaopatrzenia dla swych rodzin. W okresie wprowadzenia planu w życie ludzie starsi, którzy jeszcze z niego nie mogli korzystać, byliby oczywiście zwolnieni z obowiązku uiszczania składek ubezpieczeniowych na ten cel.

(3) Za wyjątkiem niektórych świadczeń specjalnie drogich i mniej powszechnych, jak np. koszt studiów uniwersyteckich.

(4) Tak nie jest obecnie we Francji, ale do tego zapewne będzie musiało dojść. Zaopatrzenia rodzinne we Francji zostały wprowadzone jako środek nadzwyczajny mający na celu zatrzymanie procesu depopulacji. W tych warunkach posiadanie licznej rodziny jest często traktowane jako środek zwiększenia dochodów. Nie potrzeba dodawać, że tego rodzaju spekulacja jest równie niechrześcijańska i w równym stopniu poniża godność rodziny co nędza. Omawiany tu plan usiłuje uniknąć obu skrajności doprowadzających do poniżenia instytucji rodziny.

DYSKUSJA „SPROWOKOWANA"*)

O WSPÓLNY JĘZYK

ROMAN JASIEŃCZYK

Oba artykuły w kwietniowym numerze ŻYCIA, traktujące o młodych na emigracji, były cennymi, bo szczerymi wypowiedziami na boleśnie aktualny temat. Jakkolwiek różne w treści i intencji, zajmujące różne zupełnie postawy w stosunku do problemu dyskutowanego, wzajemnie się one uzupełniają i w sumie dają wcale niezły obraz rzeczywistości.

Nie będę powtarzać argumentów i obserwacji ani Zygmunta Ławrynowicza ani Mieczysława Paszkiewicza. Zgadzam się z nimi ogólnie, a tylko chciałbym nieco więcej konkluzji, bo ich mało znalazłem w owych artykułach. Tu może się narażę Paszkiewiczowi, bo, jak pisze, nie lubi uogólnień, a bez nich nie ma konkluzji. Zastrzegam się jednak, że rozumiem uogólnianie nieco inaczej, niż je zdaje się pojmować Paszkiewicz. Nie chodzi mi o budowanie szablonów myślowych, które by miały uwięzić i zniekształcić to, co obserwuje i kocha Mieszysław Paszkiewicz, a o jasną, zwykłą ocenę sytuacji w sprawie, która, niestety, nie jest sielanką.

Tu, może, się zbliżę do tonu Ławrynowicza. Z jedną jednak różnicą: jego obraz jest nie tyle czarny, ile nasycony bólem, bólem autora. Jest mi ta postawa bardzo bliska, gdyż sam przez długi czas tak się na te sprawy patrzyłem. Dzisiaj już mnie one nie bolą. Otępiałem jakoś. Poza tym, nabrałem pewnego, wisielczego może — humoru. Nie znaczy to, żebym zobojętniał: przeciwnie, jak nigdy przedtem jestem pełen wiary w przyszłość i ochoty do działania. Tylko, po prostu, nie liczę już na miraże. Wiem, że to co piszę, czy co napisali obaj cytowani autorzy, zostanie przeczytane i skrytykowane przez „starszych", (bo „młodzi" rzadko biorą ŻYCIE do ręki, jako że interesują się raczej tą samą rzeczą, jeno bez cudzysłowu) i spłynie po nich jak woda po... asfalcie. Pozostaną niewzruszeni, nie dlatego, że chcieliby źle a dlatego, że taka jest ich struktura duchowa oraz sytuacja społeczna. Nie winię ich za to. Tylko biorę to jako fakt i bardzo bym się przyjemnie rozczarował, gdyby się okazało, że się choć w części mylę.

Sam jestem w połowie drogi pomiędzy „starszymi" i „młodymi". Należę naprawdę do jednych i do drugich. Widzę wartości cenne jak i przypadłości smutne u jednych i drugich. Widzę karykaturalną rzeczywistość emigracyjną, w której zalety jednych i drugich niweczą się i marnują, a wady potęgują i urastają w plon głupstwa i ślepoty. Widzę, jak na miejsce mitów, wyhodowanych przez naszą poezję romantyczną, mitów, które ożywiały wyobraźnię ostatnich dwóch pokoleń, jawi się wizja groźna, strasząca nowymi morderczymi polami łagrów, koncentraków, a nade wszystko, nędza przeciętności i uwiądu narodowego. Dziś to już nie wizja Polski jako Chrystusa narodów, czy Winkelrida narodów; to wizja Samsona, oślepionego, przywiązanego do niewolniczego koła. Siłacza niewidomego, kręcącego żarna w Gazie.

Proszę mi darować tę przenośnię i ten patos. Jako Polak, lubię trochę poetyzować. Dlatego też nie odmówię sobie jeszcze jednej przenośni, zresztą nie mojej, a Wyspiańskiego. Nad życiem emigracji polskiej zapanował chochoł. Wpadliśmy w — przepraszam za wyrażenie — bydlęcy letarg. Kręcimy się w błędnym kole jakiegoś niesamowitego tańca. W samym środku tzw. czynniki miarodajne, odizolowane od reszty społeczeństwa atmosferą znudzenia i zwątpienia, celebrują swe obrzędy bez większego entuzjazmu i inicjatywy. Wokół nich sfery społeczno-polityczne celebrują inne misterium ezoteryczne, również bez większego wpływu na masy.

***) Patrz artykuły: Z. Ławrynowicza „Pokolenie bez przydziału" i M. Paszkiewicza „W sprawie niemych" — ŻYCIE Nr. 4. RED.**

Owe zaś masy kręcą się w usypiającym rytmie codziennego zabijania czasu i w błogostanie tym znajdują zaledwie tyle energii i zainteresowania sprawami publicznymi, by powtarzać podsuwane im przez różnych spryciarzy slogany w rodzaju np. „polityka to brudy", „politycy to złodzieje", „emigracja polityczna się skończyła" itd.

Rozdźwięk między starszymi i młodymi dlatego w ogóle może istnieć, że młodzi wyczuwają ten paraliż duchowy emigracji i buntują się przeciw niemu podświadomie. Winią za niego „starych". Rady nań nie znajdują. Starzy zaś, widząc swe osamotnienie, oburzają się i oskarżają młodych o cały szereg grzechów przeciw patriotyzmowi.

I jedni i drudzy mają wiele racji. Pokolenie starsze zabrnęło w obecny zastój przez swoje lenistwo myślowe i moralne. Dało się wyprowadzić w pole w sprawie tzw. legalizmu. Dopuściło do jego ośmieszenia i zniszczenia. Uwikłane w sporach politycznych wewnętrznych, rozbite, skłócone, zdołało się wprawdzie ostatecznie jakoś skleić i zorganizować, ale za cenę powszechnej apatii. Na bieg wypadków politycznych, już nie tylko światowych, ale nawet polskich, czy wprost emigracyjnych, wpływ ma znikomy, coraz niklejszy. Co więcej, wymiera systematycznie, boć mu na to i czas. Jednak nie chce tego dostrzegać i wciąż trwa w uroczystej pozie, pełnej zewnętrznej godności, z miną owego „psa na sztandarach", nie przypuszczając nawet, że jego tragizm przestał już być dramatem a zaczął nabierać cech groteski. Zamiast zająć się konkretną akcją społeczną, kulturalną, oświatową, zamiast wciągać do takiej akcji młodzież, która by ją ożywiła i pchnęła na tory realne, życiowe, starzy tkwią w „splendid isolation" i prowadzą akcję głównie słowną. Akcję akademii, deklaracji, adresów hołdowniczych, protestów papierowych, awansów wojskowych, rozgrywek politycznych w organizacjach społecznych, dyskusji nad deklaracjami i deklaracji w sprawie dyskusji. Konkursów literackich, aby każdy literat kiedyś dostał nagrodę. Dożynek, aby podtrzymać tradycję ludową... przy jazgocie rock-n-rolla i sentymentalnym śpiewie pół po polsku, pół po angielsku, na temat „ach, jaki ja jestem namiętny".

Pokolenie młodsze nie zdobyło się na nic więcej niż na jałowe krytyki. W dodatku, pomimo narzekań, w niejednym złym idzie w ślady starych. W innych sprawach idzie po linii naśladownictwa kiepskich wzorów angielskich. Na ogół jest apatyczne i zajęte sprawami czysto prywatnymi. Słowem — bierne. Życiowo lepiej przygotowane do egzystowania w obcym kraju, ale za to kulturalnie znacznie uboższe. Dostrzega śmieszność starszych, ale nie dostrzega własnej, płynącej z kalekiego rozwoju kulturalnego: jaskiniowości obyczajów, powierzchowności wykształcenia (zwłaszcza ogólnego, humanistycznego), nieuzasadnionej pewności siebie w wygłaszaniu apodyktycznych sądów (będącej zwykle pokryciem podświadomie odczuwanej własnej niższości) i przesiąknięcia (zresztą tylko zewnętrznego) tanią angielszczyzną.

Może ktoś mi powiedzieć, że przecież istnieje szereg bardzo pożytecznych organizacji społecznych i kulturalnych, jak Macierz Szkolna, Kombatanci, szkoły sobotnie, polskie gimnazjum w Fawley Court, polski teatr, polskie pisma i wydawnictwa książkowe. Istotnie, tak jest i tego nieraz nie dostrzegają „młodzi" w swej krytyce „starych", lub też — bagatelizują te sprawy niesłusznie. Również mógłby ktoś dodać, że przecież młodzi osiągają brytyjskie stopnie naukowe czy stanowiska w przemyśle, lub nawet tylko bogacąc się, dokonują pozytywnej pracy, która tylko na dobre może nam wyjść. I to prawda, choć tego nieraz nie chcą widzieć „starzy". Ale te prawdy nie wyczerpują nawet drobnej części problemów, jakie ciążą nad nami. Toć to wszystko kropla w morzu. Każdy, kto zna trochę stosunki w tzw. „terenie" przyzna, że tylko bardzo nikły procent potrzeb kulturalnych jest zaspakajany i że, co gorsza, ludzie się od tych potrzeb odzwyczajają. To samo w sprawach społecznych. Stopień zorganizowania naszego społeczeństwa jest bardzo mały i udział w pracy tego rodzaju mizerny. Działalność organizacji nieraz zasługuje przede wszystkim na... cudzysłów. Ilość dzieci uczęszczających do szkół sobotnich to zaledwie drobny ułamek ogólnej ich liczby. Do polskich gimnazjów uczęszcza jeszcze niklejszy procent. Poparcie społeczeństwa dla tych niezmiernie ważnych instytucji jest tak dobrze jak żadne — borykają się one z trudnościami finansowymi, które są wyłącznie naszą winą i za które wstyd tylko na nas spada. Pisma... powiedzmy taktownie, że w najlepszym wypadku trudnią się żmudną pracą chronienia prawdy przed jej sprofanowaniem przez czytelnika — owijając ją w bawełnę. W najgorszym zaś wypadku — dostarczają materiału sensacyjno - pornograficznego, pozbawionego jakiejkolwiek wartości literackiej. Teatr — albo ma deficyt, albo schodzi do poziomu rewii.

Tymczasem nasze potrzeby są ogromne. Toć jesteśmy tą uprzywilejowaną częścią Narodu, która żyje w całkowitej wolności i dobrobycie, o którym w Polsce można tylko marzyć. Toć obowiązkiem naszym jest wykorzystać tę naszą doskonałą sytuację w ten sposób, by przynieść jak największą pomoc Krajowi w jego niesłychanie ciężkich zmaganiach z plagą komunizmu i nędzy. Pomoc nie tylko materialną, ale, przede wszystkim, polityczną, kulturalną, moralną. Toż nam tu wolno pisać i czytać wszystko. Mówić wszystko. Uczyć — i uczyć się — wszystkiego. Bogacić się własną pracą. Winniśmy starać się wychować, wykształcić, przyszłych przywódców Narodu, gdyż teraz tam „wychowuje" się tylko przywódców partii komunistycznej, a innych zamyka się do więzienia i likwiduje. Winniśmy skupić wszystkie siły i zasoby, aby móc zdobyć się na akcję skuteczną w kierunku wyzwolenia Kraju. Ktoś może wątpić, czy jest to możliwe. Wątpic wolno, ale pracować — to obowiązek.

Kontrast między żałosnym stanem rzeczy w chwili obecnej a potrzebami wynikającymi z tragedii Kraju nie jest mrzonką ani złudzeniem. Jest dokuczliwym faktem, którego nie dostrzega się wówczas, gdy się jest zdecydowanym nie dostrzegać prawdy niewygodnej dla własnego sumienia. Chociaż zadanie zmienienia tego stanu jest czymś niesłychanie trudnym, zważywszy bierność, obojętność, niedołęstwo i niezorganizowanie społeczeństwa, uchylać się przed jego podjęciem nie wolno nikomu, kto ten problem zna, lub chociaż odczuwa. A przecież bardzo wielu spotyka się ludzi, którzy otwarcie dyskutują te sprawy i dają poznać, że ich to bardzo obchodzi.

Istnieje jedna, bardzo poważna przeszkoda, dla której wiele już wysiłków, wiele inicjatywy — spaliło na panewce. To znany socjologiczny fenomen na gruncie polskim: antysolidaryzm polski. Jasio i Stasio mogą myśleć i czuć to samo i tak samo, ale jeżeli zaczną dyskutować, to się oczywiście pokłócą. A jeżeli współpracują ze sobą, to się prawie na pewno pożrą — przepraszam za precyzyjność wyrażenia. O ile zaś już się uprzednio zdążyli pożreć, to — oczywiście — odmówią współpracy wzajemnej. I nic ich nie zdoła od takiej decyzji odwieść, gdyż obaj są przede wszystkim Polakami, czyli są społecznie niewychowani. Jeżeli się jeszcze doda różnice poglądów politycznych i uprzedzenia na tym tle, łatwo zrozumieć jak syzyfowym zadaniem jest jakakolwiek akcja zjednoczeniowa. A wszak bez zjednoczenia wysiłków nie podobna marzyć o jakichkolwiek osiągnięciach.

A przecież jakoś się jednoczymy. W chwilach potężnego skórobrania, w nieszczęściu, zdobywamy się na to, o czym mówi Wyspiański w „Weselu": „może nieszczęście nareszcie dobędzie nam z piersi głosu co by był nasz, z tego pokolenia. Ach, sumienia, sumienia..." I więcej, zdobywamy się na czyn wspólny. Niestety, kiedy skórobicie się kończy, lub chociaż nieco zelżeje, kiedy nieszczęście straci swą ostrość lub na chwilę odejdzie od nas, natychmiast wracamy do ulubionej rozrywki nadmuchiwania własnego „ego" próżnością i chorobliwą ambicją, czy miłością własną, uniemożliwiającą zespołową pracę.

Dlatego, w rozmowach starych z młodymi, starych ze starymi i młodych z młodymi, potrzeba nade wszystko i jak najszybciej wytworzyć, wykształcić jakiś wspólny język. Na przykład w chwili, gdy rozmowa zaczyna schodzić na tory niebezpieczne, osobiste, proponuję okrzyk „stop" (nie szkodzi, że to bardzo świeża polszczyzna). Gdy się spostrzeże, że się zaczęło brnąć w kierunku argumentowania nie dla prawdy, ale dla osobistej satyfakcji i chwały, proponuję powiedzenie przeciwnikowi: „przepraszam, o mało nie zacząłem maleńkiego świństwa". Gdy się usłyszy od przeciwnika zarzut, że się takie „świństewko" usiłowało zrobić, proponuję: „dziękuję, proszę mi dać trzy minuty czasu na sprawdzenie, jeśli to prawda, to zaraz się przywołam do porządku". Zamiast „ty stary frajerze" — nawet myśleć próbujmy „może Pan ma i rację". Zamiast „ty smarkaczu" — „czy mógłby mi Pan wyjaśnić dokładniej swój punkt widzenia "

Radziłbym też usunąć z języka wszelkie zwroty apodyktyczne. Zamiast „powinien Pan wiedzieć o tym, że..." stosować „wydaje mi się, że..." Zamiast „w tym co Pan mówi nie ma sensu" lepiej: „jak Pan rozumie to i to".

Te wszystkie zmiany miałyby tylko znaczenie formalne. Oprócz tego trzeba by zrewidować podstawy treściowe dyskusji. Np. gdy przeciwnik polityczny wygłasza zdanie: „Polsce trzeba dopomóc materialnie", dobrze jest mu przyklasnąć, boć to punkt wspólny dla wszystkich, a nie starać się udowodnić, że nie ma on racji (dlatego, że jest innych zapatrywań). Jak dotąd, nieczęsto się spotyka ten rodzaj reakcji.

Gdy spostrzeżemy, że przeciwnik ma rację, nie stosujmy przytomnego chwytu, jakim jest zmiana tematu. Gdy dostrzeżemy, żeśmy zrobili jakiś błąd w rozumowaniu, który rozbija nasze całe dowodzenie, nie starajmy się szybko go ukryć przed przeciwnikiem, a — lepiej — zrewidujmy całą sprawę od początku. Nie zaczynajmy dyskusji na temat polityczny, dokąd nie będziemy z całą pewnością czuli, że zależy nam na znalezieniu prawdy, która by jednocześnie najlepiej służyła Polsce, a nie na podparciu poglądów, które mają uzasadnić numer siedemnaście ce deklaracji ideowej naszego ugrupowania.

Są to tylko takie moje małe, skromne rady, które proponuję tym, którzy chcieliby eksperymentować na temat usunięcia szkodliwego rozdziału pomiędzy „starymi“ i „młodymi“ — Polakami. Gdyby tak — o, gdyby! — które polskie pismo zechciało podjąć ten eksperyment językowy! Tak, chociaż na próbę, na jakiś czas.

Może by się wówczas udało wreszcie dokonać takiego nadzwyczajnego cudu, żeby społeczeństwo polskie na emigracji, zamiast na cele wyłącznie efektowne, przemawiające do chwilowego porywu sentymentu, zaczęło płacić uczciwe składki na szkoły polskie, ufundowało z kilkanaście stypendiów na studia humanistyczne takie, jak historia Polski, filozofia, nauki społeczne i polityczne. Żeby się zdobyło na kluby towarzyskie, połączone z czytelnią, szkołą sobotnią, odczytami, pogadankami, kursami dokształcającymi, tańcami (czemu nie?), przedstawieniami. Żeby stworzyło polskie instytucje produktywne, zarobkowe, mogące nie tylko dać zatrudnienie wielu Polakom, ale i pomnożyć dochód społeczeństwa jako całości, przez finansowanie imprez o znaczeniu ogólnym, ogólnopolskim?

Nie wymienię zresztą wszystkich dobrych rzeczy, które można by zrobić. Młodzi ze starymi, razem. Bez wzajemnych wymyślań i przycinków. Po prostu — Polacy. Czerwoni z zielonymi i fioletowymi. Zjednoczeni bez skórobicia. Wojskowi z cywilami. Mądrzy przed szkodą (i bez szkody!). Bohaterscy nie tylko w klęsce. Solidarni i pomocni jedni drugim.

Znowu przepraszam za fantazję. Może mnie ponosi wyobraźnia. Ale cóż, czy to nie lepsze od apatii i zwątpienia?

Roman Jasieńczyk

PO ŁEPKACH

WIEK KLĘSKI

OD PARU LAT zapanowała na emigracji moda na młodych. Co otworzyć pismo, to albo w nim dodatek dla młodych, albo kolumna poetycka młodych, albo dyskusja na temat: „Do czego dążą młodzi?“ Młodzi mają swoje pisma, kluby, związki. Istniał nawet polityczny „Ruch Młodych“, alę się postarzał i bodajże rozwiązał.

Słusznie. Młodym należy się obszerne miejsce w świecie.

Gdy jednak przyjrzeć się bliżej, jakie są aspiracje owej ruchliwej grupy młodych (bo nie jest to wcale ruch masowy), niepodobna oprzeć się zdumieniu. Sprawy i problematyka młodych są stare jak świat. Zawsze jednak, albo powiedzmy: zwyczajnie, ograniczały się i wyczerpywały w problematyce związanej z wiekiem młodym. Młodzi, dopóki byli naprawdę młodymi, pozostawali w obrębie swojego świata i swoich spraw i nie wtrącali się do spraw starszego pokolenia, bo na to mieli jeszcze czas. Mieli odrębne życie, odrębne zainteresowania i odrębne problemy. Dlatego od wieków mawiało się: „do młodzieży należy przyszłość“.

Ale głośna grupka młodych emigrantów polskich nie ma cierpliwości czekania na przyszłość. Jej zdaniem, do młodzieży należy już teraźniejszość. To znaczy, że ci młodzi nie zamierzają się ograniczać do problematyki swojego wieku, ale chcą przebudować świat po swojemu, usuwając z areny starych. Zatem nie sport, turystyka, harcerstwo itd., lecz literatura, polityka, sprawy społeczne; wszystko, co jest dostępne człowiekowi. Problematyka młodych to już nie zagadnienie wieku młodego, ale całe życie kierowane przez młodych.

W imię czego jednak domagają się młodzi zmiany warty na wszystkich posterunkach? Czy posiadają jakąś nową ideologię, jakieś zasady, wizję urządzenia świata? Owszem: usunąć starych. I na tym koniec. W licznych oświadczeniach przyznają się otwarcie do braku własnej ideologii. Wiedzą tylko jedno: że ich starzy oszukali, okłamali i ciągle trzymają z dala od wpływu na bieg życia społecznego. Więc teraz powinna przyjść kolej na młodych.

Pisało się już nieraz, że wypowiadający się publicznie młodzi działacze i publicyści emigracyjni, o których tu mowa, walczący namiętnie ze starszym pokoleniem, w większości mają powyżej trzydziestu lat. Kiedyś 30 lat, to była starość, później trzydziestkę uważano za wiek męski. Młodzi na emigracji skłonni są ten wiek uważać jednak za początek życia. Niestety, wkrótce się przekonają, w jakim tkwią błędzie. Lata trzydzieste bowiem to pełnia rozwoju człowieka i zarazem początek ubytku sił żywotnych. Twórczość przypada zwykle na lata trzydzieste: kto do tego wieku nie umeblował głowy, już potem nie zdąży. Trzydziestka to nie początek, lecz najwyższy wzlot sił twórczych. Jest to, oczywiście, wiek męski, szczyt drogi życiowej.

Nasi młodzi popełniają więc tylko jeden błąd: zamiast uważać się za mężczyzn, uważają się za chłopców. Ich aspiracje, aby zastąpić starych, są słuszne, ich chęć, aby wpływać na życie społeczne, uzasadniona, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że uznamy ich za pokolenie, które dorosło, a nie za młodzież. Słowem, mamy do czynienia nie z problemem młodych, lecz z zagadnieniem średniego pokolenia, które tylko samo siebie uważa za niedorosłe.

Problem ów wszelako napawa wielkim smutkiem, nie dlatego, że ci byli studenci uczelń zagranicznych, a dziś dojrzali mężczyźni, domagają się oddania im steru spraw społecznych. To by było i słuszne i pocieszające. Natomiast smutne jest to, że „młodzi“ przyznają się do bezideowości, do braku zainteresowań i zasad życiowych i, co najtragiczniejsze, do negacji wszystkiego, czym żyło i w co wierzyło starsze pokolenie, nie proponując w zamian niczego. Wyrosło więc na emigracji pokolenie bezideowe, jeśli wierzyć publicystom „młodych“. Bo przecież trudno za ideę uważać hasło: „usunąć starych“. Toteż najbardziej zdumiewające jest to, iż pokolenie to pragnie dla siebie władzy, czy raczej wpływu i stanowisk, nie wiedząc zupełnie, co z nimi zrobić. Ba, szczyci się swoim negatywizmem.

Trudno ruszać do budowy z hasłem burzenia. Trudno za cały program uważać siłę biologiczną. Naszych „młodych“ wszystko, w co wierzą, nad czym pracują i do czego dążą starzy, po prostu serdecznie nudzi i nie interesuje. Nie bawi ich polityka, twórczość emigracyjna, życie społeczne. Wszystko to uważają za bezsensowne, śmieszne i szkodliwe. „Młodzi“ zamierzają robić politykę bez przygotowania politycznego i z pogardą do niej, literaturę bez umiejętności pisania i nawet dobrej znajomości języka ojczystego, życie społeczne urządzać dobrymi i niedobrymi chęciami. Nowoczesność ich polega na tym, że zamierzają wszystko improwizować, wszystko zaczynać od początku. Kiedy naprawdę staną na odpowiedzialnych stanowiskach, może się okazać, że będą równie spóźnieni, jak obecnie w swoim naśladowaniu kilkunastoletnich „angry boys“. Wszelkie programy młodych są fikcją, o ile nie są przygotowaniem do działalności w ramach całego społeczeństwa, do kontynuowania i rozwijania tego wszystkiego, czego dokonały pokolenia poprzednie.

„Młodzi“ na emigracji nie umieją po prostu dorosnąć. Za wszelką cenę pragną pozostać „młodymi“ i korzystać z praw i przywilejów wieku młodego. Rozprawiając szumnie o swojej młodości wystawiają sobie świadectwo niedojrzałości do życia społecznego. Młodość to tylko trochę zaleta, ale w znacznej mierze także wada.

J. B.

Dobra ziemi dla wszystkich ludzi

Pięciojęzyczna książka*) o 342 stronach, zawiera drobiazgowo opracowaną dokumentację III Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Migracyjnego. Nadesłał ją do ŻYCIA nasz przyjaciel dr Tadeusz Stark, wiceprzewodniczący komisji organizacyjnej kongresu, który odbył się, jak wiadomo, w Asyżu 22 — 28. 9. 1957. Dr Stark jest także kierownikiem działu informacji Międzynarodowej Katolickiej Komisji Migracyjnej (I. C. M. C.) w Genewie, który sprawozdanie wydał. Jest ono trwałym pomnikiem pracy włożonej i wkładanej przez katolików w zagadnienie doniosłe, nieraz dramatyczne, współczesnych wędrówek ludów. Dlatego ma wartość nieprzemijającą.

To praktyczne studium problemów migracyjnych i inwentarz dorobku katolickiego, uwypukla założenia akcji; podtytuł powtarza temat kongresu: „Rola i zadania katolickich organizacji na polu migracji". Motto z Księgi Kapłańskiej (19, 33, 34): „Będzie-li przychodzień mieszkał w ziemi waszej, a będzie przebywał między wami, nie urągajcie mu, ale niech będzie między wami jako obywatel i będziecie go miłować jako sami siebie."

W imieniu Ojca św. napisał msgr dell'Acqua do patrona kongresu ś. p. kardynała Piazza'y, „kardynała emigrantów". Przypomniał jak Papież, w orędziu gwiazdkowym 1952, powstawał przeciwko krępowaniu prawa do swobodnej emigracji i imigracji, przeciwko rozbijaniu rodzin, przeciwko mechanicznej walce z problemem przeludnienia.

Temat jest szeroki jak... świat; działy sprawozdania: Ameryka łacińska; Ameryka północna i Wspólnota brytyjska; migracje wewnątrz Europy; migracje japońskie; migracje wewnątrz Afryki.

250 uczestników kongresu przybyło z 33 krajów. 9 biskupów brało udział: nasz Opiekun Polskiego Wychodźstwa J. E. ks. arcybiskup Gawlina, o którym włoski wiceminister Martino powiedział, że „obecność jego ilustruje bolesną rzeczywistość podzielonej Europy"; biskupi z Włoch i Tanganiki, Portugalii i Kanady, z Francji — msgr J. Rupp i msgr P. Taguszi z Japonii.

Lista uczestników jest indeksem katolickich osobistości czynnych w dziedzinie migracji. Wśród nich członkowie władz ICMC: James J. Norris (NCWC — Stany Zjednoczone), przewodniczący komisji i kongresu; dr L. Kampschoer, sekr. gen. ICMC; członkowie rady: biskup Rodhain (Francja); inż. G. B. Vicentini (Włochy); ks. J. v. Rudloff (Niemcy); dr W. de Kort (Holandia); biskup Crennan (Australia); msgr L. G. Ligutti; prof. J. Mertens de Wilmas; dr J. Schauff; T. Szmitkowski; z komitetu organizacyjnego: prof G. H. L. Zeegers i ks. L. Grond z Międzynarodowego Katolickiego Instytutu Studiów Społecznych (ICARES) w Genewie. — W indeksie, obok już wymienionych nazwisk polskich, znajdujemy wśród autorów dr. J. Zubrzyckiego, a wśród delegatów: msgr. R. Gogolińskiego-Elstona (NCWC) i A. Bocheńskiego (ICMC). — Jeszcze jeden Polak, Mieczysław Habicht, reprezentował na kongresie Konferencję Międzynarodowych Organizacji Katolickich (OIC), jako jej stały sekretarz generalny.

Dowodem uznania wkładu katolickiego w sprawy migracyjne była obecność przedstawicieli instytucji międzynarodowych. Ambasador H. T. Tittman przybył z ramienia Międzynarodowego Komitetu dla Migracji Europejskich (ICEM) — jego wystąpienie z poparciem katolickich tez o „jednostce rodzinnej" oraz w sprawie uwzględnienia duchowych i moralnych potrzeb, obok materialnych, było echem wołania przewodniczącego Norris'a, żeby emigranta traktować „jako osobę, nie sprawę do załatwienia". Przybył dr A. Lindt, wysoki komisarz ONZ dla spraw uchodźczych (UNHCR) oraz reprezentanci Międzynarodowej Organizacji Pracy i UNESCO.

Trzy „kluczowe" przemówienia poprzedziły prace kongresowe zorganizowane w „funkcjonalnych" grupach studiów.

Msgr G. Ferretto omówił konstytucję apostolską „Exsul Familia".

Msgr E. E. Swanstrom z NCWC mówił o „wyzwaniu", jakie stanowi tragiczna rzeczywistość; jeden z przykładów — 200.000 migrantów w Hong-Kong mieszka od lat na... dachach domów! Znakomity działacz apelował o zorganizowanie „wspólnoty miłości" jako koniecznego uzupełnienia „wspólnoty wiedzy i techniki": obok Międzynarodowego Roku Geofizycznego przydałby się Międzynarodowy Rok dla Spraw Populacyjnych i Migracyjnych, żeby otrzeźwić obojętnych. Wśród wielu przykładów praktycznego przeciwdziałania obojętności podawał akcję amerykańskiej Narodowej Konferencji Katolickich Kobiet (NCCW); ich orędzie z 1957 o pracy na rzecz imigrantów, „od osoby do osoby", mobilizuje mąrze i praktycznie do ochotniczego działania, religijnego i społecznego, zastępy kobiet w świadomej presji na społeczeństwo, parlament, rząd.

Temat kongresu objaśnił prof. Zeegers. Wskazał trzy problemy natury równocześnie moralnej, politycznej, ekonomicznej, społecznej, kulturalnej i organizacyjnej: zapewnienie opieki milionom (migracja międzykontynentalna wynosi przeciętnie milion rocznie, z czego 70 proc. to emigracja z Europy); przeprowadzenie zasady swobodnej migracji; stworzenie warunków, które by pozwoliły, aby groźba przeludnienia mogła być rozwiązana przez celową migrację. Poddał gruntownej analizie niebezpieczeństwo dechrystianizacji, występujące także w obejmujących setki tysięcy migracjach śródkontynentalnych w Europie, Afryce, Ameryce płd. Przedstawił związek między sprawami migracyjnymi i misyjnymi. Tenże sam prof. Zeegers referował później wyniki ankiety społecznej przeprowadzonej przez ICARES co do działalności katolickich organizacji na polu migracyjnym (lata 1954 i 1957). Postawił wniosek o ustalenie katolickiej polityki migracyjnej, niezależnej w założeniach od polityk oficjalnych a zmierzającej do przetrawienia zagadnień: propagandy emigracyjnej i obsługi informacyjnej emigrantów; przygotowania moralnego emigrantów; rekrutacji i selekcji; transportu; aklimatyzacji; integracji i asymilacji; inny wniosek: powołanie Międzynarodowego Katolickiego Funduszu Pożyczkowego Migracyjnego...

Sprawozdania z obrad komisji obfitują w materiał o palącej aktualności. Oto wyrwane przykłady z systematycznie dyskutowanego pełnego „cyklu" problematyki migracyjnej.

Stwierdzono konieczność akcji katolików w przełamywaniu oporów przeciw dopuszczaniu imigracji do krajów niedoludnionych; poddawano ostrej krytyce stanowisko rządów południowo-amerykańskich, australijskiego i innych. Tragedie przeludnienia ilustruje cyfra półtora miliona rocznie wypadków spędzenia płodu w Japonii.

Australijscki biskup Crennan sam występował przeciwko tendencjom wśród katolików australijskich i nowozelandzkich, by narzucać dzieciom emigrantów np. grekokatolików zmianę obrządku.

Wykazywano niebezpieczne konsekwencje starcia się krańcowo różnych cywilizacji i kultur; np. w migracjach śródkontynentalnych w Afryce zetknięcie się ludów pasterskich z nowoczesną industrializacją.

Podkreślano zasadniczą rolę „jednostki rodzinnej". W obradach nad zagadnieniem integracji, przygotowanych — jak wszystkie — przez wyczerpujące referaty, streszczone w księdze kongresowej, referat dr Starka pt. „Emigracja rodzinna" (200 str.) daje „kodyfikację" problematyki emigrowania jednostki rodzinnej w przeciwstawieniu do migracji pojedyńczych osób, udokumentowaną doświadczeniami — konkretnymi — polskimi we Francji i Niemczech, holenderskimi w Afryce itp.; referat kończy się projektem „Konstytucji migracji rodzinnej". Inny Polak, dr J. Zubrzycki z Australii, wniósł referat pt. „Rola prasy obcojęzycznej w integracji imigrantów", broniący prasy narodowej grup imigrujących.

Obrady w sprawie roli organizacji katolickich uwypukliły ich rolę w procesie integracji przybyszów w życie religijne kraju przyjmującego; ustalały postulaty duszpasterstwa narodowego; wskazywały na konieczność łączności i współpracy organizacji katolickich kraju wysyłającego i przyjmującego, pod kierunkiem organizacji międzynarodowych itp.

Kilka wyjątków z rezolucji ilustruje orientację katolickiej migracyjnej „międzynarodówki": „...organizacje katolickie w krajach emigranckich powinny dbać o wzrost świadomości w sprawie jedności Ciała Mistycznego Chrystusa..." „...Szczególnym zadaniem Akcji Katolickiej w krajach imigranckich jest zajęcie się rodzinami imigrantów..." „...Konieczne jest przeznaczenie wyspecjalizowanych księży dla opieki duszpasterskiej wśród imigrantów... o statucie kanonicznym należytym (missio cum cura animarum)..." „...Pilną sprawą jest powstanie Komisji Europejskiej (dla spraw migracji śródeuropejskich)... oraz zwrócenie uwagi na problemy religijne i kulturalne..." (kongres zajął się m. in. konsekwencjami swobodnego ruchu pracowniczego na terenie Wspólnoty Węgla i Stali). „...Głównym zadaniem specjalistów (katolickich, na odcinku migracji środafrykańskich) będzie praca i współpraca z tubylcami... dla przystosowania porządku społecznego do ewolucji w warunkach współczesnych..."

Księgę zamykają wyjątki ze sprawozdania sekretariatu generalnego ICMC o działalności organizacji narodowych. Znajdujemy tam interesujące Polaków dane o „Secours Catholique" we Francji, „St. Raphael's Verein" w Niemczech, „Catholic Women's League Relief & Refugee Committee" w W. Brytanii.

*

ICMC wydaje w Genewie, pod redakcją dr T. Starka, dwumiesięcznik „Migration

*) Third International Catholic Migration Congress — Troisième Congrès International de Migrations, Information Center, ICMC, 11 rue Cornavin, Genewa.

News" (Wiadomości Migracyjne). W ostatnim numerze redaktor pisze o dziesięcioleciu Uniwersalnej Karty ONZ o Prawach Człowieka (10. 12. 58). Dr Stark poddaje krytycznej analizie stosowanie deklaracji w dziedzinie migracji. Katolicki wysiłek zbiorowy jest niezbędny, by stały się rzeczywistością niedawne wskazania Głowy Kościoła: „Stwórca przeznaczył dobra ziemi dla wszystkich ludzi i wszystkich narodów. Współistnienie ludów pozbawionych zasobów i bogatych narodów, zamykających wrota przed imigracją, nie jest zgodne z wolą Stwórcy. Należy szukać na szczeblu światowym sposobów uporania się z przeludnieniem i nędzą. Skuteczna solidarność przyniesie korzyść krajom, które obalą sztuczne przegrody i rozsądnie regulować będą ruch ludzi, kapitału i dóbr materialnych..."

Każdy numer zawiera dodatek bibliograficzny (Migration Bibliography); przykładem aktualności zawartych tam informacji może być recenzja z wydawnictwa FAO pt. „Głód nie został jeszcze zwyciężony"!

S. G.

POLACY W LOURDES

Wielki dzień Lourdes, 25 marca 1958 r., w którym poświęcono nową bazylikę pod wezwaniem św. Piusa X, poprzedziły dwa dni zjazdu Światowej Federacji Mężczyzn Katolickich, skupiającej wszystkie narodowe związki męskie Akcji Katolickiej na całym świecie. Federacja ta została założona przed 10 laty właśnie w Lourdes i dlatego jej pierwszy jubileusz obchodzono w światowym sanktuarium Matki Bożej.

Prof. Gedda z Włoch, b. prezes Federacji, zaznaczył, że katolicy pod niezawodnym przewodnictwem Ojca św. mają realną możność budowania lepszego świata. P. La Cour Grandmaison z Francji wskazał jako cel tej pracy przenikanie zasad katolickich do decydujących kół politycznych i ekonomicznych. Wybitny uczony fizyk, prof. Otero Navascue z Hiszpanii obecny prezes Federacji — widzi konieczność przeniknięcia chrześcijaństwa w badania naukowe i w technikę. Prof. J. Hamp z Austrii wyraził przekonanie, że zjazd-pielgrzymka pozostawi niezatarte wspomnienia uczestnikom i sprawi, że ich serca jeszcze mocniej zwrócą się ku Bogu.

P. J. Baliński Jundziłł, prezes Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii, wskazał, że obowiązkiem wszystkich katolików, a szczególnie mężczyzn, jest cierpliwie i odważnie stawiać czoła tej wielkiej próbie naszych czasów, jaką jest prześladowanie Kościoła przez bezbożny komunizm. Mówca polski przypomniał los Kościoła i jego hierarchii w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Jugosławii.

Podczas uroczystego zebrania Federacji delegacja nasza odczytała akt oddania Polski Niepokalanemu Sercu Matki Boskiej.

W następnym dniu, 24 marca, uczestnicy Zjazdu odbyli w grupach językowych Drogę Krzyżową oraz zwiedzali nowy ośrodek dla pielgrzymów, wybudowany w Lourdes staraniem ks. prałata Rhodain.

Wszyscy uczestnicy Zjazdu w dniu Zwiastowania N.M.P. — 25. III wzięli udział w wielkiej uroczystości poświęcenia bazyliki św. Piusa X, którego dokonał specjalnie przybyły z Rzymu jako przedstawiciel Ojca św. J. Em. ks. kardynał Roncalli, patriarcha Wenecji. Przed konsekracją świątyni, mogącej pomieścić 20.000 pielgrzymów, odbyło się uroczyste przeniesienie relikwij, które miały być wmurowane w ołtarzu nowej bazyliki. Z bazyliki Różańca św. ruszyła procesja, w której niesiono relikwie. Wśród nich znajdowały się też relikwie polskiego męczennika św. Andrzeja Boboli. Procesję prowadził ks. kardynał Roncalli w otoczeniu 28 arcybiskupów i biskupów oraz kilkuset księży. W straży honorowej przy relikwiarzu kroczył też przybyły w delegacji polskiej gen. Wł. Anders w mundurze z licznymi odznaczeniami.

DRUGI ROK WIELKIEJ NOWENNY

W liście pasterskim do polskiej młodzieży katolickiej na dzień odnowienia ślubów w roku 1958 ks. kardynał prymas Stefan Wyszyński pisze: „Przed rokiem cały Naród przyjął na siebie obowiązek duchowego odnowienia oblicza ziemi naszej. Chcemy to uczynić w ciągu Wielkiej Nowenny przed Tysiącleciem Chrztu, aby w 1966 roku cała Polska, od piwnic do poddaszy, żyła w miłości Boga i ludzi."

Drugi rok tej Wielkiej Nowenny trwa od niedzieli 4 maja 1958 r. do niedzieli 3 maja 1959 r. Będzie to „Rok Łaski" uświęcającej. W ramach duszpasterstwa rzesz duchowieństwo polskie będzie pracować programowo nad zapewnieniem należnej pozycji łasce Bożej w życiu religijno-moralnym Narodu Polskiego. Rota ślubowania Jasnogórskiego tak o tym mówi: „Matko Łaski Bożej. Przyrzekamy Ci strzec w każdej duszy polskiej daru łaski, jako źródła Bożego Życia. Pragniemy, aby każdy z nas żył w łasce uświęcającej i był świątynią Boga, aby cały Naród żył bez grzechu ciężkiego, aby stał się Domem Bożym i Bramą Niebios, dla pokoleń wędrujących poprzez polską ziemię — pod przewodem Kościoła Katolickiego do Ojczyzny wiecznej." Wyjaśniając te słowa, biskup Bolesław Kominek wykazuje, że Naród Polski, który dotąd raczej sięgał po łaskę posiłkową, a nie cenił sobie stanu łaski uświęcającej, ma w najbliższym roku zdobyć właściwy pogląd na Łaskę Bożą, otworzyć przed nią wszystkie drogi swego życia i poczuć się na tyle umocniony łaską, iż stawi skutecznie czoło demoralizacji na odcinku ogólnej swawoli, postawy aspołecznej, rozwiązłości i alkoholizmu.

Jak w praktyce ma być rozpracowane zadanie drugiego roku Wielkiej Nowenny, mówią szczegółowo wytyczne arcybiskupów i biskupów polskich. Wytyczne te podajemy z zarządzeń Kurii Arcybiskupiej wrocławskiej. Odnowienie ślubów odbyło się 4 maja, ze szczególnym uwzględnieniem młodzieży, dzieci, mężczyzn i kobiet. Na cały rok aż do maja 1959 r. przewidziany jest szczegółowy program kazań o zasadniczej tematyce: „Przyrzekamy żyć w łasce uświęcającej bez grzechu ciężkiego". W całym tym cyklu winna przewijać się myśl, że łaska ma praktyczne zadania i realizację w postaci wartości (świętości) życia na codzień w każdym stanie. To samo dotyczy misyj, rekolekcyj otwartych i zamkniętych, dni skupienia i pielgrzymek. Pracy tej winno towarzyszyć dalsze upowszechnienie Pisma Świętego, Mszału, tekstu ślubowań. Ponieważ nie za wiele można liczyć na wydawnictwa książkowe o łasce, prasa katolicka powinna stale rozwijać temat tegorocznych ślubowań. Więcej pracy należy włożyć w przeżycia parafialne w dni i okresy: 4 maja, Boże Ciało, oktawa Zesłania Ducha Świętego, pierwsza Komunia św., Adwent, Niepokalane Poczęcie N.M.P., Boże Narodzenie, Wielki Post, święcenie alumnów diecezji.

Związane z rokiem o Łasce Bożej kazania i praktyki pobożne mają, w ścisłym uwzględnieniu Liturgii, pogłębić w duszach zrozumienie: prawdy dogmatycznej o Sakramentach i Sakramentaliach i ich moralnego celu wychowawczego, mianowicie, że prawdziwie i jedynie życie chrześcijańskie jest życiem w stanie łaski.

CZASOPISMA RELIGIJNE

Lektura polskich czasopism dla księży: „Ateneum Kapłańskiego" i „Homo Dei" jest po prostu pasjonującą rzeczą. Historia, analiza tematyki tej imponującej pracy wydawniczej daje bezpośredni wgląd w życie i rozwój Kościoła w Polsce.

Oba czasopisma zaczęły się znowu ukazywać prawie zaraz po wojnie, bo w 1946 r., oba później w okresie najbardziej wzmożonego ucisku Kościoła zamknięto i oba, po przywróceniu Kościołowi części jego praw po październiku 1956, znów się ukazują od stycznia 1957 r.

„Ateneum Kapłańskie". Założone jeszcze w 1909 czasopismo, święci w przyszłym roku 50-lecie swego istnienia i ma za sobą chlubny dorobek. Łączyło ono dawniej duchowieństwo polskie wszystkich zaborów, a utrzymując łączność z nauką teologiczną na całym świecie, zawsze torowało i toruje drogę polskiej myśli teologicznej i wiąże ją z aktualnymi potrzebami życia religijnego. W redakcji „Ateneum Kapłańskiego" zasiadali najwybitniejsi specjaliści teologowie, a wśród jego współpracowników widnieją chyba wszystkie najbardziej znane pióra spośród polskiego duchowieństwa. Przed ostatnią wojną redagował je ks. dr Stefan Wyszyński, obecny kardynał prymas Polski. Wydawało je od szeregu lat i teraz wydaje Wyższe Seminarium Duchowne we Włocławku. Obecnie redaktorem naczelnym jest ks. Kazimierz Majdański, członkami redakcji są: ks. Stanisław Olejnik, ks. Alfons Przybyła i ks. Marian Rzeszewski.

Wznowione przed rokiem „Ateneum" ukazuje się jako dwumiesięcznik; trzy kolejne zeszyty z każdego półrocza tworzą pokaźny, osobno numerowany tom o kolejnej numeracji stronic, objętości 30 arkuszy (480 str.). Spisy treści, zarówno poszczególnych zeszytów jak i całych tomów wskazują na działy: rozpraw, spraw kościelnych i duszpasterskich, sprawozdań i informacyj, recenzyj i przeglądu bibliograficznego.

Założeniem redakcyjnym wznowionego wydawnictwa jest nadanie każdemu zeszytowi pewnej j e d n o ś c i tematycznej, dla pogłębienia zagadnień, ale bez rezygnowania z aktualności, jakie czas niesie. Widoczne jest również dążenie do pewnego rodzaju „popularyzacji", a więc do uprzystępnienia problemów przez przejrzystość układu treści i prostotę stylu.

Obok bogatego przeglądu bibliograficznego znajdujemy również cenny przegląd zagadnień, poruszanych w czasopismach specjalnych, krajowych oraz w napływających z zagranicy: ascetycznych, biblistycznych, teologicznych, filozoficznych, historycznych, pastorologicznych, homiletycznych itp. w językach łacińskim, francuskim, włoskim, niemieckim i in.

Wznawiając wydawanie „Ateneum", redakcja wskazała na dwa fakty, które w obecnej epoce „mobilizują energię Kościoła w Polsce": ponowienie w dniu 26 sierpnia 1956 na Jasnej Górze ślubowań Jana Kazimierza oraz zbliżające się Millennium Chrztu Polski. Treść i program ślubowań, jako historycznego zobowiązania narodu — to zarazem program pracy „Ateneum" i jego czynnego udziału intelektualnego w religijnym i moralnym odrodzeniu narodu polskiego.

Mariana polskie i obce. Zgodnie z tym programem, pierwszy po wznowieniu zeszyt „Ateneum" poświęcono Królowej Polski. Wybieram z niego parę pozycji, mogących zainteresować każdego myślącego katolika polskiego. A więc: J. M. Święcicki pisze „O N. Maryi Pannie w życiu i kulturze Polski", ks. J.Obłąk podaje na ogół mało znane szczegóły o objawieniach Matki Boskiej w Gietrzwałdzie na Warmii („Pani Ziemi Warmińskiej"), ks. Fr. Blachnicki — w artykule „Królestwo Maryi w narodzie polskim w pojęciu o. Maksymiliana Kolbe" wyraża pogląd, iż wartości zawarte w życiu i dziele o. Maksymiliana wpłynęły na pogłębienie kultu Maryjnego w Polsce, związały go mocniej z dogmatem i moralnością, dały naukę i przykład miłości, obroniły rodzinę i wyznaczyły kierunek chrześcijańskim rozwiązaniom niektórych problemów społecznych.

Zeszyt Maryjny „Ateneum" zawiera również niezmiernie cenne, najważniejsze pozycje powojennej bibliografii Maryjnej w wielu językach europejskich, a w dziale recenzyj obszerne omówienie wydawanej we Francji, pomnikowej encyklopedii Maryjnej pt. „Maria — Études de Sainte Vierge", której dotychczas ukazały się 4 tomy, zawierające na 3.800 stronicach 137 prac, podzielonych na 7 ksiąg. O Polsce Maryjnej piszą w niej B. Rosińska: „Notre Dame dans la littérature Polonaise" (t. II) i Maria Winowska: „Le culte Marial en Pologne (t.IV)). Inną recenzja omawia znaną, pięknie wydaną w Kraju książkę A. Nicolas: „Życie Maryi Matki Bożej", poszerzoną i naukowo pogłębioną przez znanego polskiego biblistę ks. Eugeniusza Dąbrowskiego. Za pierwszą jednak właściwą polską mariologię uważa inny recenzent, ks. Leon Andrzejewski, książkę ks. Witolda Pietkuna: „Maryja Matka Chrystusowa — Dogmat Maryjny" i uzasadnia dlaczego. W tymże zeszycie jeszcze bardzo ciekawe uwagi i informacje o polonicach w 12-tomowej „Enciclopedia Cattolica" (Città del Vaticano, 1948-1954).

Sumując: dla tych wszystkich, którzy poważniej i głębiej interesują się problematyką Mariologiczną zeszyt 1/268 (ze stycznia i lutego 1957) „Ateneum Kapłańskiego", podobnie zresztą jak i wydane w r. 1957 specjalne numery Maryjne „Ruchu Biblijnego i Liturgicznego" oraz „Homo Dei" (o którym obszerniej wspominam poniżej), stanowią niezastąpione źródło wiedzy i informacji i zapewne przyczynią się do pewnej koniecznej rewizji samego kultu Maryjnego wśród Polaków, pogłębiając go i opierając na podstawach dogmatycznych.

Tematy i nowe pióra. W innych zeszytach rocznika 1957 „Ateneum" zwracają naszą uwagę aktualne rozprawy na temat zagadnień związanych z małżeństwem i rodziną, nieraz pisane przez specjalistów świeckich, lekarzy, psychologów i pedagogów. Warto podkreślić, że coraz częściej na kartach pisma przeznaczonego dla księży pojawiają się artykuły podpisane nazwiskami autorek. Znamienną pozycję stanowi pochlebna recenzja ks. J. Oświecińskiego o pracy doktorskiej prof. Leokadii Małunowicz, napisanej po łacinie, o znaczeniu słowa „sacramentum" u św. Hilarego z Poitiers. Zofia Trzcińska-Kamińska ukazuje „Drogi współczesnej sztuki sakralnej", Wanda Leszczyńska w artykule „Zawsze współcześni" określa typ świętości właściwej naszej epoce. Jan Żurakowski odsłania zabobonność inteligencji polskiej i rozpatruje ją w świetle trudności jakie sprawia ona w praktyce duszpasterskiej. Źródło jej widzi w gnozie i podaje obszerny rozbiór tej „wiedzy o świecie" i jej błędów.

W czasach, gdy tyle się mówi i pisze o apostolstwie świeckich, jakże na czasie jest skromnie nazwana „szkicem bibliograficznym" źródłowa rozprawa o. Bernarda M. Przybylskiego, O.P. pt. „Kapłaństwo wiernych". Autor ujmuje zagadnienie od strony teologii i historii dogmatu oraz wskazuje jego wartość praktyczną, mogącą przekształcić całe życie chrześcijanina. Ks. Józef Pastuszka kreśli swe uwagi na temat „Psychologii życia religijnego ludności wiejskiej w Polsce", stanowiącej trzon narodu polskiego, a ks. Jan Piwowarczyk podaje swe wytrawne oceny wydawnictw i prac kongresów na temat katolickiej nauki społecznej.

„Ateneum Kapłańskie" w tym roku zwiększyło swój nakład, a swe kolejne zeszyty poświęca tematyce małżeństwa i rodziny, wychowania, kobiety w Kościele, wykształcenia religijnego. Staranna szata graficzna, przejrzysty układ treści, prostota stylu i piękno języka stanowią godną oprawę dla głębi i bogactwa myśli na kartach czasopisma, z którego polscy katolicy mogą być dumni.

„Homo Dei". Ten dwumiesięcznik, wydawany przez oo. redemptorystów w Warszawie jako „przegląd ascetyczno-duszpasterski", ma nieco inny charakter niż bardziej naukowo - teologiczne „Ateneum Kapłańskie". Tytuł pisma pochodzi od słów św. Pawła w liście do Tymoteusza: „Tu autem, o homo Dei, sectare iustitiam" — „Ale ty, o człowieku Boży, ubiegaj się o sprawiedliwość" (I Tym. 6, 11), które jako motto widnieją na okładce każdego zeszytu.

Wysuwając na czoło problematykę duszpasterską „na codzień", daje „Homo Dei" dokładny obraz potrzeb życia religijnego w Polsce. Mam wrażenie, że w pewnej mierze czasopismo to zastępuje obecnie w wielu diecezjach miesięczniki diecezjalne dla księży, na które, pomimo wznowienia starań ordynariuszów, władze dotychczas nie udzieliły zgody.

„Homo Dei", które niedawno zaczęło 27 rok swego istnienia, redaguje od szeregu lat znany ze swej niestrudzonej energii i bogactwa zainteresowań, polski redemptorysta, o. Marian Pirożyński. Pisze w nim wielu księży polskich, wśród nich zaś znaczna ilość zakonników. Bogactwo zawartego w poszczególnych zeszytach materiału sprawia, że każdy czytelnik, duchowny i świecki, znajdzie w nich coś dla siebie. Rocznik 1957 liczy 994 stronic, to znaczy średnio po prawie 10 arkuszy na zeszyt.

Tytuły artykułów: „Kapłan na dzisiejsze czasy", „Życie umysłowe kapłana", „Myśli o współczesnym kapłaństwie", „Kapłan wobec problemu alkoholizmu", „Duszpasterstwo wobec filmu" itp. świadczą, że w Polsce powstaje nowy typ nowoczesnego kapłana, który jest przygotowywany do stawienia czoła wszystkim zagadnieniom, jakie wysuwa chwila. Czy nie jest też charakterystyczne, że w czasopiśmie dla księży znajdujemy artykuł J. M. Święcickiego pt. „Z socjologii chuligaństwa w literaturze"?

Obok rozpraw zasadniczych, zawsze o charakterze praktycznym, stara się redakcja czasopisma informować o nowych oświadczeniach i encyklikach papieskich, o międzynarodowych kongresach religijnych, o życiu katolików i problematyce katolickiej w innych krajach (Francji, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Niemczech i in.), o pracy misyjnej, o misjach polskich w Rodezji i Ja-

ponii. Utrzymuje też kontakt z kapłanami Polonii w USA i niekiedy podaje wiadomości o życiu religijnym emigracji.

Wielka szkoda tylko, iż podany na końcu rocznika 1957 spis rzeczy jest tak mało przejrzysty, bo jakkolwiek tytuły jego działów, jak: „Unum necessarium", „Nova et vetera", „Duc in altum!" są bardzo piękne, to jednak nie są one dostatecznie jasne, a klasyfikacja materiału pod nimi umieszczonego nie zawsze ścisła.

Hołd godny synów Maryi. Najbardziej interesującym numerem „Homo Dei" w roczniku jest ostatni, 6/84 numer z listopada i grudnia 1957, poświęcony Matce Bożej. Na czele tego imponującego rozmiarami i bogactwem treści zeszytu znajdujemy piękną dedykację: „Najświętszej Maryi Pannie, Matce Syna Bożego, Współodkupicielce ludzkości, Współpoświęcicielce dzieci Bożych, Królowej Polski, Świata i Nieba — składa w hołdzie na znak miłości synowskiej duchowieństwo polskie w kraju i na obczyźnie".

Wymienię niektóre z artykułów: prof. W. Granat z Lublina daje źródłowe opracowanie zagadnienia: „Boga Rodzica — Współodkupicielka". Ks. St. Łach pisze o Matce Bożej w Pismach Starego Testamentu. Artykuł znanego biblisty ks. E. Dąbrowskiego pt. „Problem życia Maryi w biblistyce współczesnej" daje pozytywną odpowiedź na pytanie, czy w oparciu o znaną nam dokumentację historyczną można napisać biografię Maryi. O. Jan Wojnowski, redemptorysta, podaje nam syntetyczny obraz rozwoju kultu Matki Bożej w Polsce, dodając wiele szczegółów raczej mało znanych. O. J. Majkowski T. J. porusza równie mało znane zagadnienie: „Matka Boska w dawnej polskiej ascezie". Ks. W. Malej i o. M. Piróżyński, CSSR, podają wykaz 288 sanktuariów Maryjnych w Polsce wraz z uwagami historycznymi (według diecezyj). Franciszkanin o. J. Domański wskazuje jak kult Maryjny może się przyczynić i jak już się przyczynia do jedności wśród wszystkich chrześcijan. K. Turowski z Lublina omawia „Zagadnienia społeczne w ślubowaniach Maryjnych". Ks. L. Jeżowski z N. Sącza ukazuje, jak potraktowano osobę Matki Boskiej w sztuce filmowej. W końcu Tibor Scorba z Warszawy zarysowuje historię i charakterystykę kultu Maryjnego na Węgrzech.

J. Czaharski

Do czego A.K. używała harcerzy

Głośny dziś w Polsce przywódca wznowionego ostatnio w Kraju harcerstwa, p. Aleksander Kamiński, ogłosił w Warszawie nową książkę pt. „Zośka i parasol. Opowieść o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerskich". Warszawa, „Iskry", 1957.

Książka ta jest bardzo cennym dokumentem historycznym, wzbogacającym naszą wiedzę o kulisach ruchu podziemnego w Polsce w czasie ostatniej wojny.

Autor niniejszego artykułu patrzy niezmiernie krytycznie na osobę p. Kamińskiego i na jego działalność w harcerstwie, zarówno w chwili obecnej, jak w okresie wojennym. Miałem już sposobność o p. Kamińskim na łamach ŻYCIA pisać — i wywołało to protesty niektórych czytelników, zarówno jak samej Redakcji. W szczególności miałem sposobność ustosunkować się negatywnie do książki p. Kamińskiego „Kamienie na szaniec" (wydanej w Podziemiu pod pseudonimem w czasie wojny, a po wojnie przedrukowanej pod jego własnym nazwiskiem) — a zwłaszcza do apoteozowanego w tej książce kierunku działalności podziemnej. Czytelnicy zgodzą się więc, mam nadzieję, z poglądem, że informacje, podane w nowej książce p. Kamińskiego, które moją krytykę potwierdzają, a nawet własne jakby wątpliwości i obawy p. Kamińskiego, nieśmiało tu i ówdzie się po stronicach tej książki błąkające, mają szczególną wagę i w sposób szczególnie dobitny stanowisko moje wzmacniają.

Z informacji, które można znaleźć w nowej książce p. Kamińskiego, wyciągnąć można daleko idące wnioski, dotyczące zarówno postawy władz harcerskich w czasie wojny (do których należał na wysokim szczeblu także i p. Kamiński), jak polityki władz A. K., a w szczególności tzw. Kedywu (Kierownictwa Dywersji), zwłaszcza na temat tego, do jakich zadań A. K. uważała za właściwe młodzież harcerską używać, lecz także i w ogóle na temat rodzaju działań, jakie uważała za możliwe przeprowadzać.

Czy można informacjom p. Kamińskiego wierzyć? — Są one źródłem quasi-pamiętnikarskim i należy się do nich ustosunkować tak jak do każdego źródła historycznego tego typu. Nie ma powodu, by im nie wierzyć. Bo żeby ich wiarogodność podważyć, trzeba by znaleźć dowody, że autor mówi nieprawdę.

Pozwolę sobie z nowej książki p. Kamińskiego przytoczyć garść cytat, niemal bez komentarzy.

„W Kierownictwie Walki Podziemnej zapadł na volksdeutschowską wieś wyrok. Wyrok groźny i po raz pierwszy zastosowany w rejonie stolicy: zniszczyć zdradziecką wieś! Trzeba było wstrząsnąć wyobraźnią zdrajców i kandydatów na zdrajców w całym kraju.

Kedyw wykonywał wyrok. Wydano rozkaz zmobilizowania kilku plutonów z różnych jednostek dywersji. Także 70 ludzi z Grup Szturmowych (głównie z „Zośki", a częściowo z kompanii wydzielonej).

Gdy na odprawie dowódców kompanii i plutonów batalionu „Zośka" odczytano rozkaz — zapanowała długa chwila ciszy.

— Więc co to ma być? Mamy podpalić wieś?

— Nie podpalić, a spalić.

Znów milczenie. Potem nowe pytanie:

— A chłopi?

— Jacy tam chłopi! Niemcy i gorsi od nich — zdrajcy, volksdeutsche! Rozkaz mówi wyraźnie: zniszczyć, wystrzelać.

Andrzej Morro staje się blady, oddycha głęboko:

— Jerzy, przecież to niemożliwe! Jakże my to możemy robić?

— Jerzy, dowódca batalionu, trze w zakłopotaniu brodę. Trzyma w ręku bibułę rozkazu, patrzy w nią uporczywie. W głowie ma zamęt myśli, odwleka odpowiedź.

Milczenie przerywa Kołczan. Jest poważniejszy, niż zwykle, choć usiłuje ironizować:

— Tylko nie wymądrzać się, druhowie. Zostaliśmy wojskiem, a to, co Jerzy odczytał, jest rozkazem wojskowym. Ponadto — drobne przypomnienie: ci chłopi to zdradziecka swołocz, która wydała naszych chłopców. Wydała z własnej, nieprzymuszonej woli. Musi być kara.

Gdy Kołczan kończy mówić, czuje, iż szczęki zwiera mu skurcz. Wyjmuje ręce z kieszeni spodni i rozpina guziki kurtki.

— Spokojnie, bracie, spokojnie — wtrąca się Długi. — Karać na pewno trzeba. Tylko, bracie, zdobądź się na wyobraźnię: więc mamy strzelać do bezbronnych? Do kobiet może też? I ma to wykonywać pluton „Alek"? Właśnie Alek?

Długi jest po śmierci Zośki uznawany za strażnika tradycji Buków — tego zarodka Grup Szturmowych — więc to, że stanął teraz przy Andrzeju Morro, robi wrażenie. A Długi, odczekawszy trochę, kończy:

— Nie powinniśmy mieć ambicji dorównania Niemcom w hitlerowskich metodach walki.

Taka jednak konkluzja znów poderwała Kołczana. Ten robotniczy syn — krępy, energiczny — łatwo wpada w rozdrażnienie. Gorąco, namiętnie protestuje przeciw podobnym zestawieniom. Temperatura dyskusji wzrasta. Nikomu do głowy nie przyszło, że to przecież odprawa wojskowa, nawet Jerzy zapomniał o tym. Mówili jeden przez drugiego, niemal wszyscy równocześnie. Poważnie lub ironicznie, gwałtownie lub z udanym chłodem. Wszystko skoncentrowało się wokół zagadnienia odpowiedzialności zbiorowej: czy dopuszczalna? Czy celowa? Gdy wreszcie po paru godzinach przynaglani głodem skończyli dyskutowanie i rozpoczęli po jednemu lub po dwóch opuszczać lokal, rzecz wydawała się uzgodniona. Jerzy wręczył łączniczce kartkę do swego dowódcy z prośbą o natychmiastowe spotkanie: miał podjąć próbę zmienienia przez Kedyw rozkazu tak, aby na zniszczenie została skazana nie wieś, lecz tylko te punkty, w których dokonała się zdrada. Ze względu na niepewne losy interwencji Jerzy zobowiązał uczestników odprawy, aby o jej przebiegu nie dowiedział się nikt z podkomendnych.

Pesymizm Jerzego okazał się słuszny. Zmiana rozkazu była nie do przeprowadzenia, i to aż z kilku powodów. Wyjaśniono, że wyrok na zdradziecką wieś zapadł nie w wojsku, lecz w Kierownictwie Walki Podziemnej, a na interweniowanie tam było za późno. Dyspozycje do akcji i przygotowania były już zbyt zaawansowane. Ponadto w Kedywie, w związku z niedawnymi okrucieństwami hitlerowskimi we wsiach lubelskich, gdzie odbierano masowo dzieci rodzicom, aby je zniemczyć oraz wysiedlano całe wsie, panowało przekonanie o konieczności okrutnego odwetu na kolonistach niemieckich. Tyle tylko Jerzy wyjednał, że jego oddziały przeznaczono wyłącznie do wykonywania bojowej części roboty, odciążającej akcję odwetową atakami na posterunek żandarmerii i na skoszarowaną w pałacu wilanowskim grupę lotników niemieckich. Zniszczenie wsi miały przeprowadzić inne grupy Kedywu". (Str. 16-19)

Nasuwa się tu równocześnie kilka myśli. Po pierwsze: Jakie decyzje podejmowane były w Radzie Podziemia, jeśli istotnie były w tym ruchu czynniki, które nie widziały nic nieprawidłowego w stosowaniu zasady odpowiedzialności zbiorowej. Po wtóre, niezależnie od treści swoich decyzji polityczno-wojskowych, jakie zadanie uważały te czynniki za możliwe powierzać niedorosłej młodzieży harcerskiej. Po trzecie, jacy ludzie stali na czele formacji harcerskich, skoro „Jerzy" sam nie wpadł na to, by zaprotestować przeciwko udzielonemu mu niewłaściwemu rozkazowi i uczynił to dopiero,

gdy mu na to zwrócili uwagę jego podkomendni, i gdy już było za późno. Po czwarte, kim jest obecny przywódca harcerstwa w Polsce, skoro referuje całą sprawę w sposób tak mdły i tak bez zajęcia samemu określonego stanowiska. Jedynym jasnym punktem w obrazie jest fakt, że sama młodzież, a przynajmniej jej część, okazywała zdrową ocenę i podejmowała nawet walkę o przeprowadzenie swego punktu widzenia. Ale posłuchajmy dalej.

„— W ogóle cała afera z tą Kępą Latoszewską nie będzie chyba należała do najpiękniejszych kart „Zośki" — mówi z namysłem i powoli brat Andrzeja Morro — Jaś Romocki, zwany Bonawenturą. Ma zmarszczone brwi i z trudem wydusza z siebie słowa.

— O co ci chodzi? — pyta porywczo Kołczan. — Że pięciu naszych zginęło? Byłoby zbyt dobrze, gdyby na wojnie tylko wróg ginął. Zresztą co najmniej siedmiu szkopów gryzie piach z naszej ręki.

— Nie tylko, nie tylko o tych poległych — mruczy chudzielec Bonawentura. Denerwuje się, nerwowo gniecie palce. — Wciąż mam przed oczyma daleki ogień, dymy palącej się wsi i wciąż słyszę strzały nie nasze, nie te z parku, gdzie lotnicy, lecz tamte — koło wsi...

— Czyś ty zwariował, Bonawentura? — unosi się znów Kołczan, wściekły, iż dyskusja z niedawnej odprawy może znów się rozpocząć w nowym gronie. — Miej rozum, przecież to volksdeutsche. Zdradzili naszych chłopców. Po schwytaniu przez żandarmów pastwili się nad nimi. Było przecież śledztwo — wiemy dobrze, co się tam działo. Może byś i żandarmów bronił, którzy tak znęcali się nad chłopakami?

Bonawentura wciąż nerwowo gniecie palce. Jest jednym z najmłodszych w tym gronie; gdy wstępował do Grup Szturmowych, wygląd miał tak nie żołnierski, że dla wzmocnienia swej powagi przybrał pseudonim Bonawentura. Teraz czuje się skrępowany swymi odczuciami. Nie jest pewien, czy nie będzie mu to poczytywane za brak męskości.

Wybawia go z kłopotliwej sytuacji dowódca batalionu — Jerzy. Mówi, że posiada dokładne wiadomości o akcji i że „przewrażliwione sumienia" niepotrzebnie wyolbrzymiają niektóre fakty. Nie spalono całej wsi, tylko jej część. Nie „wymordowano w pień" ludności — lecz wykonując wyrok rozstrzelano trzech mężczyzn z rodziny Wójcików (u której nocowali zdradzeni harcerze) oraz zgładzono dziewięciu volksdeutschów. To wszystko.

Andrzej Morro słuchając — opuszcza oczy. Maciek natomiast zaczyna z zaciętością wykrzykiwać, że Kedyw niepotrzebnie zmiękł. Maciek mówi to z zaciśniętymi pięściami i nie uśmiecha się. Zawsze uśmiechnięty i zawsze z zadartą głową, Maciek tym razem nie pogwizduje, nie uśmiecha się, tylko podniesionym głosem coś udowadnia. Andrzej Długi wstał, podszedł do okna i włożywszy ręce głęboko w kieszenie, patrzy na pożółkłą zieleń wysokiej topoli.

— Pięciu naszych znów padło — mruczy Czarny Jaś; jego głowa o czuprynie granatowo-czarnej jest pochylona.

— Może w tym jest część mojej winy — mówi po dłuższej ciszy zasępiony Giewont. — Może popełniłem jakiś błąd w opracowywaniu akcji?

Andrzej Morro wstał.

— Czy nie za wiele jęków? Nie wystarczy krótkie stwierdzenie, że wystartowaliśmy jako „Zośka" nie najlepiej? Użyto nas do akcji nieodpowiedniej, skoro u tylu spośród nas wywołała niepokój sumień. To raz. A po drugie — akcja ujawniła, że wojskowo jesteśmy mniej warci niż sobie wyobrażaliśmy. Trzeba będzie wziąć siebie i plutony w garść, jeśli mamy kontynuować tradycje Zośki, Rudego i Alka.

Jerzy wpatruje się uważnie w młodzieńczą twarz Andrzeja, w jego szerokie czoło wyrażające skupienie i w zdecydowanie zarysowany podbródek. „To ja powinienem powiedzieć coś takiego" — myśli Jerzy. To samo myśli Giewont. Wyrazy twarzy Kołczana i Maćka zdradzają jednak uporczywy sprzeciw.

W kilka dni potem kierownictwo Szarych Szeregów wysłało list do dowództwa Armii Krajowej. W liście tym stwierdzono, że niezłomnym pragnieniem Grup Szturmowych jest przodowanie w żołnierskiej ofiarności bojowej. Jednakże istnieją wątpliwości, czy stosunkowo liczne w ostatnich czasach straty oddziałów nie wymagają rewizji sposobów dysponowania nimi i czy wszystkie przeprowadzone ostatnio akcje były właściwie oceniane pod kątem potrzeby wojny.

Wysłanie tego listu kosztowało niemało tych, którzy je zainicjowali. Prawo czynników społecznych do wglądu w działalność czynnika wojskowego zdawało się tak niepewne." (Str. 26-28)

Nie chcę się tu wdawać w rozważania polityczne; może tylko wolno mi będzie wspomnieć jedno: nieraz już stwierdzałem, że zdaniem moim polskie ośrodki rządzące w Londynie popełniły olbrzymi, wręcz historycznej miary, błąd i winę, wyrywając swoimi nominacjami ruch podziemny w Kraju z rąk czynników społecznych i oddając go w ręce czynników wojskowych, to znaczy w praktyce w znacznym stopniu w ręce aparatu wywiadowczego, a więc ludzi powodujących się wąskim i nieraz dość bez skrupułów pojmowanym interesem swej służby i nie wykazujących zrozumienia dla szerszych zagadnień, wchodzących w zakres polityki narodowej, kultury narodowej i życia moralnego narodu.

Nie zmienia to jednak faktu, że także (a przynajmniej) niektóre „czynniki społeczne" nie zdały egzaminu, nie umiejąc się dążeniom i pojęciom „czynnika wojskowego" w sposób skuteczny przeciwstawić. Wiadomość, że wyżej streszczony list kierownictwa Szarych Szeregów (jednej z organizacji, na jakie rozpadło się harcerstwo w podziemiu) napisany został tak późno, to znaczy już po akcji w Kępie Latoszewskiej, a nie zaraz po otrzymaniu rozkazów, dotyczących tej akcji, dowodzi tego wyraźnie.

Już w piętnastym wieku Polska sformułowała ustami Pawła Włodkowica zasadę, że nikt nie może być na żaden wyrok skazany bez dania mu możności bronienia się przed sądem. Władze, jakim podporządkowany został w czasie ubiegłej wojny polski ruch podziemny, cofnęły Polskę moralnie o pięć wieków, wprowadzając na szeroką skalę zasadę, dotychczas znaną tylko porachunkom grup gangsterskich, że się wyroki śmierci wydaje zaocznie. Jedynym prawidłowym sposobem potraktowania sprawy Wójcików było porwać ich, postawić ich przed podziemnym sądem, dać im obrońcę z urzędu, przeprowadzić rozprawę w trybie sądu doraźnego i ewentualnie rozstrzelać ich na zasadzie wyroku tego sądu. Ale czy mamy pewność, że sąd taki byłby skazał — wszystkich trzech?

A o „zgładzeniu" dziewięciu volksdeutschów mówi się: „to wszystko". Jak z treści relacji wynika, zanosiło się na coś o wiele gorszego. Czy na „wymordowanie w pień" ludności, o którym mówił Jerzy? — Na ładny poziom została Polska sprowadzona!

Autor książki zdaje się zgoła tego nie rozumieć, że jednostki takie jak Kołczan i Maciek ze swoim histerycznym pragnieniem zemsty i poglądem, że trzeba zabijać każdego volksdeutscha, nie nadawały się do organizacji i powinny były być z niej usunięte.

Słuchajmy dalej.

„Walka z Gestapo została zlecona trzeciej kompanii Grup Szturmowych, oddanej pod dowództwo oficera Kedywu do zleceń specjalnych, Pługa. Zastępcą swym mianował Pług Jerzego Zborowskiego-Jeremiego.

Już przy pierwszym, wstępnym omawianiu zadań kompanii Pług oświadczył:

— Ustaliłem w Kedywie, że kompania nasza będzie używana wyłącznie do akcji na Gestapo i SS. Nie zostaniemy nigdy użyci do wykonywania wyroków na rodzimej kanalii.

— Świetnie. Jesteśmy panu za to ogromnie wdzięczni — powiedział Jeremi. A po chwili, z uśmiechem: — Kat jest wprawdzie też instytucją dziś potrzebną, ale my byśmy się chyba do tej roli nie nadawali." (Str. 30)

Można tylko podziwiać, że władze, zarówno harcerskie, jak Kedywu, doszły do takich wniosków tak późno.

„Nie leży w intencji tej opowieści sporządzanie pełnego wykazu idei, które ukształtowały się we wzór osobowy członka Grup Szturmowych. — Był to — jak łatwo się domyślić — tradycyjny ideał harcerstwa, dostosowany do wieku tych młodych mężczyzn i do treści ich życia: do walki zbrojnej. Podkreślić tylko trzeba, że inteligencja Kierownictwa Szarych Szeregów uchroniła Grupy Szturmowe przed pułapką pustego i jałowego werbalizmu: wzór ideowy nie był w Grupach Szturmowych przedmiotem „pogadanek", został on — w myśl najlepszej tradycji — związany z techniką pracy dywersyjnej, promieniował w codziennych ćwiczeniach w trakcie ich praktykowania. Tacy ludzie, jak Anrzej Morro, Andrzej Długi, Jeremi, a nade wszystko Piotr Pomian... potrafili temu wzorowi nadać ponętny w oczach młodych ludzi blask". (Str. 79)

Mogę powiedzieć tylko jedno: że to wszystko, o czym nam p. Kamiński w swojej książce opowiada, to nie był „tradycyjny ideał harcerstwa".

A jednak nawet p. Kamiński zdobywa się w pewnej chwili na wyrażenie miękkiej i pełnej wahania wątpliwości. Pisze on na str. 93:

„Ale: czy wielka gra polskiej konspiracji nie była niekiedy mało frasobliwa? czy nie nazbyt szeroka i ruchliwa? czy nie za dużo było tej aktywności i czy to była zawsze aktywność wojennie konieczna?"

Odpowiedź na te pytania jest bardzo prosta. Była to aktywność wojennie zgoła niepotrzebna, a narodowo wysoce szkodliwa, bo anarchizująca Kraj, demoralizująca społeczeństwo i ściągająca na ludność polską dodatkowe, niepotrzebne krwawe ofiary.

Niejedna z dzisiejszych chorób moralnych polskiego społeczeństwa ma swoją przyczynę nie tylko we wpływie systemu komunistycznego, lecz także i w moralnie niszczycielskim wpływie polityki i taktyki niektórych czynników podziemnych w czasie ubiegłej wojny.

Jędrzej Giertych

BROŃ ATOMOWA DLA NRF

Przez blisko 45 godzin ścierały się w parlamencie argumenty rządu, stronnictw rządowych i opozycyjnych w sprawie broni atomowej dla armii i skutków, jakie uzbrojenie atomowe pociągnie dla przyszłości Niemiec. Argumenty jednej i drugiej strony dotyczyły wszystkich dziedzin: taktyczno-wojskowych, politycznych (szczególnie pod kątem problemu zjednoczenia Niemiec), humanitarnych, moralnych, a nawet i teologicznych. Ale o co ostatecznie chodziło?

Kanclerz Adenauer sprowadził całą dyskusję do następującej, pozornie bardzo prostej formuły: Jeśli przeciwnik nasz posiada broń atomową, jeśli posiadają ją sojusznicy nasi i jeśli pragniemy, aby nas oni bronili, jeżeli chcemy, by NATO nadal istniało, nie możemy rezygnować z tej broni. Jeśli pragniemy utrzymania NATO — a tylko sojusz atlantycki może stanowić skuteczny dla nas system obronny — musimy i my, „NRF", zaopatrzyć armię naszą w broń nowoczesną, odmowa broni atomowej oznacza wyjście Niemiec z NATO, a może i całkowite jego rozbicie. — Opozycja operowała argumentami moralnymi i humanitarnymi, dowodząc jednocześnie, że uzbrojenie atomowe Bundeswehry blokuje ostatecznie drogę do zjednoczenia i że wyścig atomowy stanowi akt samobójczy dla całej ludzkości, a w pierwszym rzędzie skończyć się musi fizycznym wyniszczeniem narodu niemieckiego. Socjaliści kwestionowali również argument rządu, by wyeliminowanie broni atomowej z obszaru NRF (i z innych państw na wschodzie — Polska i NRD- plan Rapackiego) musiało pociągnąć automatycznie za sobą wycofanie wojsk amerykańskich z Niemiec, czy nawet likwidację NATO.

Na problem broni atomowej dla NRF patrzeć można z różnych płaszczyzn. Każdy z argumentów posiada swoją wymowę i cząstkę obiektywnej słuszności. Jeden jednak element nie został w dyskusji niemieckiej dotychczas poruszony, przynajmniej nie w sposób dość wyraźny. W tej chwili chodzi o jedynie taktyczną broń atomową dla Bundeswehry. Czy do tego jednak ograniczają się zainteresowania niemieckie w zakresie atomu? Czy nie nasuwa się prawdopodobieństwo, że logiczną konsekwencją wprowadzenia broni atomowej do Niemiec będzie prędzej czy później produkcja własnej niemieckiej bomby atomowej i dalsze doświadczenia nad udoskonalaniem jej? Wizja Niemiec jako producenta bomby atomowej musi każdego przerażać. Pokusa użycia w przyszłości tej bomby dla realizacji egoistycznych celów nacjonalistycznych może być u Niemców większa aniżeli u innych narodów. Niebezpieczeństwo takie nie istnieje bezspornie w chwili obecnej, przy obecnym układzie stosunków politycznych w NRF, ale czy wiemy co będzie za lat dziesięć, jaki obrót weźmie wewnętrzna polityka Niemiec po ustąpieniu obecnego kanclerza?

W dniu 27. 10. 1946 r. znany, dziś jeszcze w Stanach Zjednoczonych żyjący pacyfista niemiecki, profesor Fryderyk Wilhelm Foerster zamieścił artykuł na łamach „Neue Zürcher Zeitung" p.t. „Warnung vor Illusionen in der deutschen Frage". W. Foerster przestrzegał:

„...Także rosyjski problem rozwiązany być może jedynie przez moralną i duchową sanację Niemiec. Kto by próbował **rozwiązania tego problemu przy pomocy niemieckiego potencjału wojennego,** zginie marnie. **Oznaczałoby to bowiem korzystanie z nieobliczalnych sił, które posłużą się bombą atomową i tym samym zainscenizują ostatni akt tragedii ludzkiej na świecie..."**

Walka o broń atomową dla Niemiec przenosi się obecnie na wyborców niemieckich. Socjaldemokraci wnieśli do parlamentu projekt ustawy, przewidującej plebiscyt społeczeństwa w sprawie spornej. Wiadomo, że ustawa ta nie uzyska większości. Na ten wypadek odbędzie się w niektórych krajach, (w których rządy są w dyspozycji socjaldemokratów), plebiscyt lokalny. Chrześcijańscy demokraci (t.zn. rząd) są przeciwni plebiscytowi, uważając go za sprzeczny z konstytucją i podważający „demokratyczny porządek" NRF. W rzeczywistości koła rządowe boją się jego wyniku. Opinia publiczna jest bowiem w zasadzie przeciwna broni atomowej.

Plebiscyt przeprowadzany w „krajach" — nawet jeśli wykaże znaczną większość antyatomową — nie wpłynie na zmianę polityki rządowej. Socjaldemokraci zdają sobie w pełni z tego sprawę. Chodzi im raczej o efekt moralny i o zyskanie nowego argumentu przeciwko polityce rządowej. Decydujący wpływ na politykę tę mógłby ewentualnie wywrzeć strajk generalny, propagowany przez niektórych, szczególnie radykalnych działaczy lewicowych. Ale odpowiedzialne kierownictwa zarówno SPD jak i Związków Zawodowych odrzucają kategorycznie pomysł strajku generalnego. Na rozgrywki wewnętrzne zachodnich Niemiec usiłują wpłynąć komuniści wschodnio-niemieccy, deklarując „wspólnotę interesów" i pomoc dla zachodnio-niemieckich przeciwników broni atomowej. Socjaldemokraci odrzucają tego rodzaju sugestie i odcinają się w sposób wyraźny i niedwuznaczny od niepożądanej i podejrzanej pomocy towarzyszy wschodnio-niemieckich.

Kampania anty-atomowa, która wypełni najbliższe miesiące zachodnio-niemieckiego życia politycznego, nie wpłynie praktycznie na zmianę polityki w Bonn. Ale walka ta, spotęgowana ponadto odbywającymi się w roku bieżącym w niektórych „krajach" wyborami sejmowymi, zaostrzy nastroje polityczne i pogłębi jeszcze bardziej podział Niemiec na dwa państwa. Fakty te stanowić będą podatny grunt dla dalszej polityki sowieckiej, zwalczającej z jednej strony „militarystyczną" politykę Bonn, a pragnącej jednocześnie poprzez kontakty gospodarcze, kulturalne i osobiste (vide wizyta Mikojana w NRF) wyłuskać Niemcy z „kleszczy" bloku zachodniego.

St. Czechanowski

DZIEJE POLITYCZNE AMERYKI

Przeciętny wykształcony Polak na emigracji zapytany czy zna historię Stanów Zjednoczonych i czy wie, na czym polega amerykański ustrój polityczny, byłby zapewne oburzony samym pytaniem, zwłaszcza, jeżeli jest mieszkańcem Stanów. Przecież historia tego wielkiego kraju jest krótka i rozwinęła się w epoce powszechności druku i środków komunikacji. Przecież życie polityczne amerykańskie jest nie tylko jawne, ale tonie w powodzi słów, odbywa się w dużym stopniu przed ekranem telewizyjnym, a co najmniej przed mikrofonem i obiektywem fotograficznym. Słyszeliśmy dość o Washingtonie i Lincolnie, Roosevelcie i Eisenhowerze, Republikanach i Demokratach, czytaliśmy „Chatę wuja Toma" i „Przeminęło z wiatrem"...

Ale czy czytaliśmy jedną porządną historię Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej? Przeważnie nie czytaliśmy. Bo z licznych historii pisanych przez Amerykanów nie wiedzieliśmy co wybrać, zresztą po angielsku czytamy raczej gazety i powieści, a polskiej historii Stanów Zjednoczonych nie było. Obecnie już jest dzięki Pawłowi Zarembie.

„Historia Stanów Zjednoczonych" Zaremby*) nie jest żadnym podręcznikiem dla emigranta, jest pracą naukową, którą autor rozpoczął na kilka lat przed wojną, a którą obecnie uzupełnił i wykończył. Jest to historia polityczna Stanów Zjednoczonych. Dzieje kultury, czy dzieje gospodarcze, uwzględnione są w niej na drugim planie, w związku z dziejami politycznymi. Te dzieje polityczne, to przede wszystkim dzieje polityki wewnętrznej. Stany Zjednoczone zaczęły mieć własną politykę światową dopiero niedawno, właściwie dopiero w dwudziestym wieku. Przedtem zaabsorbowane były olbrzymim zadaniem opanowywania kontynentu i budowania na nim społeczeństwa i państwa niepodobnych do żadnych innych. To przede wszystkim dzieje formowania się narodu amerykańskiego, proces bynajmniej jeszcze nie skończony.

Zaremba podzielił swoją historię na pięć części, z których każdą zamyka syntetyczne posłowie. Pierwsza część, „Rewolucja", omawia „prehistorię" Stanów Zjednoczonych, to jest dzieje kolonii brytyjskich w Ameryce Północnej, wojnę o niepodległość i powstanie Konfederacji. Najciekawszą może uwagą autora jest tu, że Amerykanie nie walczyli z Anglią, ale z parlamentem westminsterskim, który przywłaszczył sobie prawa decydowania o nich; od decyzji parlamentu odwoływali się do króla, którego władzy nie kwestionowali; dopiero gdy okazało się, że władza królewska w Anglii już nie istnieje, walka z parlamentem przekształciła się w walkę z państwem. Druga część, „Federacja", obejmuje okres kształtowania się demokracji amerykańskiej, do połowy wieku XIX. Autor uwydatnia tu znaczenie — mniej znanego cudzoziemcom — okresu rządów Andrzeja Jacksona, twórcy nie tylko partii demokratycznej, ale i amerykańskiego stylu politycznego. Część trzecia, „Dom podzielony", obejmuje okres wojny secesyjnej. Ta wojna zdecydowała nie tylko o zniesieniu niewolnictwa, ale o jednolitym charakterze politycznym Unii, o jednolitym typie cywilizacji amerykańskiej i o przewadze przemysłu w życiu narodowym. Część czwarta, „Kontynent", opisuje drugą połowę wieku XIX, opanowanie olbrzymich przestrzeni środkowej i zachodniej części kontynentu, po wydarciu ich Indianom i Meksykanom. Część piąta, „Mocarstwo", stara się naszkicować rozwój amerykańskiej polityki świato-

*) Paweł Zaremba, „Historia Stanów Zjednoczonych". Instytut Literacki, Paryż 1957. Str. 610.

wej, wpływ dwóch wojen światowych i rozwoju techniki.

W uzupełnieniu tego bardzo jasno, ale bez przesadnego popularyzowania, napisanego wykładu autor zamieszcza bibliografię, tekst konstytucji amerykańskiej i poprawek do niej, spis prezydentów amerykańskich z datami ich kadencji i przynależnością partyjną oraz indeks poprzedzony wykazem stanów z datami ich kreowania.

Niemal równocześnie i w tym samym wydawnictwie co „Historia Stanów Zjednoczonych" Zaremby wyszła książka o bardzo zbliżonej tematypce, a mianowicie „Amerykańskie stronnictwa polityczne" Aleksandra Hertza.**) Książka ta jest raczej socjologiczna niż historyczna, ale, poza tym że posiada obszerny rozdział historyczny, jest cała skonstruowana historycznie, to znaczy tłumaczy amerykańskie życie polityczne przy pomocy przeszłości.

Zasadniczą myślą Hertza jest, że amerykańskie stronnictwa polityczne są zupełnie różne od europejskich. Nie są one zespołami ideologicznymi, nie mają stałych programów, są organizacjami do wyłaniania rządu i jako takie stanowią część aparatu państwowego. Partie nie mają stałych członków ani stałych władz. Prawybory przeprowadzane wewnątrz stronnictw nie są ich sprawą wewnętrzną, lecz częścią systemu państwowego. Człowiek, który przegrał w prawyborach w jednej partii, może natychmiast kandydować w prawyborach w drugiej partii. W prawyborach mogą brać udział wszyscy, którzy się do nich zgłoszą. Program wyborczy partii jest kombinacją doraźnych interesów różnych grup. Zakładanie nowych partii jest niezmiernie utrudnione, przez co dwie główne partie podlegają jakby specjalnej ochronie prawnej.

Dla czytelnika polskiego interesujące jest sprostowanie, przeprowadzone przez autora: dwupartyjny system amerykański nie jest bynajmniej kontynuacją dwupartyjnego systemu angielskiego. Takiego systemu Anglicy do swoich kolonii amerykańskich nie zdążyli przynieść. Dwie partie amerykańskie powstały stosunkowo późno: Demokraci za czasów Jacksona w latach trzydziestych ub. wieku, Republikanie za Lincolna w dwadzieścia lat później. Nawiązywanie przez dzisiejsze partie do czasów wojny o niepodległość jest zabiegiem genealogicznym. W pierwszej epoce swego istnienia demokracja amerykańska znała długie okresy rządów jednostkowych i rządów faktycznie monopartyjnych.

Autor jest socjalistą i usiłuje tłumaczyć dzieje polityczne Stanów Zjednoczonych przy pomocy materializmu historycznego. Zadanie to niewdzięczne, do którego niepowodzenia sam się częściowo przyznaje. Paradoks polega na tym, że chociaż społeczeństwo amerykańskie jest zmaterializowane jak żadne inne, to jego życie polityczne nadaje się do interpretacji materialistycznej mniej niż jakiegokolwiek innego narodu. W Ameryce jest walka interesów, ale nie ma walki klas. Walka klas w Europie była wyrazem poczucia obcości między warstwami. Obcość ta wyrosła na tle odwiecznych podziałów stanowych, które wytworzyły różnice obyczaju i kultury. W Ameryce były i są silne, silniejsze niż w wielu krajach europejskich, różnice ekonomiczne, ale nie ma starych różnic kulturalnych, obyczajowych, nie ma więc poczucia odrębności i solidarności klasowej. Jest natomiast różnica tradycji i obyczaju narodowego. Kwestia społeczna w Ameryce to nie jest kwestia klasowa, ale rasowa lub narodowa. Stany Zjednoczone są klasycznym dowodem fałszywości całej teorii materializmu historycznego.

Obie te książki: Zaremby i Hertza, dają razem, choć nie w równej mierze, bo książka Zaremby ma większy ciężar gatunkowy, dobry obraz mechaniki i atmosfery amerykańskiego życia politycznego w przeszłości i w teraźniejszości. Obie dotyczą jednak głównie mechaniki tego życia. Nie mówią, lub mało mówią, o tym, jakie koncepcje religijne, filozoficzne, jakie wpływy ideowe to życie ukształtowały, jakie podskórne prądy i tradycje, jakie mity i ideały na nim zasadniczo zaważyły. Byłoby zapewne zbyt wiele wymagać od autorów, żądając oświetlenia tych trudnych spraw. Bądźmy wdzięczni za to, co nam dali. Ale bez tamtych spraw życie polityczne amerykańskie, mimo wszystko, pozostaje nadal niezbyt zrozumiałe. Należałoby sobie życzyć, aby jakiś pisarz katolicki mógł zabrać się poważnie do tego tematu.

Wojciech Wasiutyński

**) Aleksander Hertz, „Amerykańskie stronnictwa polityczne". Instytut Literacki, Paryż 1957. Str. 320.

JAK TO BYŁO NA KREMLU?

Tyle lat upłynęło od dramatycznych wydarzeń 1939 r., że czas już, by pióro specjalistów w dziedzinie historii współczesnej opisało nam większość niejasnych spraw tamtych czasów.

Weźmy na przykład wieczór dnia 28 września 1939 roku, to jest na krótko przed zakończeniem kampanii polskiej.

Na moskiewskim Kremlu odbywało się tego wieczoru huczne przyjęcie. Wybitnego gościa podejmowano aż do pół do siódmej rano.

Gospodarzami byli: Stalin, Mołotow, Beria, Woroszyłow, Kaganowicz i Mikojan. Gość nazywał się Joachim Ribbentrop.

Odchodząc na tamten świat Ribbentrop, Stalin i Beria zabrali ze sobą wiadomości o tym wieczorze i nikt się już od nich nic na ten temat nie dowie.

Na Kremlu utrzymali się tylko Woroszyłow i Mikojan. Pierwszy nigdy nie był umysłowym olbrzymem, nie jest też pewne, że w ogóle pamięta o czym wtedy mówiono — drugi zaś jest tak sprytny, że nie ma obawy, by sobie niepotrzebnie przypomniał.

Za to bardzo dokładną analizę tematów, które wtedy obie strony interesowały, można znaleźć w niezmiernie ciekawej, bogatej w informacje, napisanej z temperamentem, książce Aleksandra Bregmana „Najlepszy sojusznik Hitlera".*)

Książka ta wyjaśnia bez reszty to, co było wielkim sekretem Stalina i Hitlera, a co sekretem przestało być z chwilą ogłoszenia dokumentów odkrytych przez aliantów w archiwach dyplomatycznych III Rzeszy.

W zwięzłych, jasnych rzutach Bregman przedstawia dyplomatyczną historię wiosny, lata i jesieni roku 1939 oraz rok 1940 pomiędzy Niemcami a Rosją.

Wszystkie dostępne obecnie źródła składają się na obraz. Wynika z niego, że:

1. to Stalin nakłonił Hitlera do podpisania znanej umowy z sierpnia 1939 r., gdyż Stalin chciał ułatwić Niemcom rozpoczęcie wojny;

2. Sowiety udzieliły wojskowej pomocy Niemcom od pierwszej chwili, od pierwszego dnia ataku hitlerowskiego na Polskę;

3. Stalin był najwierniejszym sprzymierzeńcem Hitlera i nawet jeszcze w dniu 22 czerwca 1941 r. był gotów do współpracy.

Wiele osób przypuszcza, że nie ma potrzeby omawiać tej sprawy, skoro oświetlają ją w pewnym stopniu dokumenty dyplomatyczne. Pomijając błędność tego podejścia z punktu widzenia metodyki historycznej, warto przypomnieć, że początek i charakter wojny są dalej zagadnieniem politycznym. Sowiecka prasa miesięczna, ideologiczna i historyczna, zajmuje się wypadkami r. 1939 i dalej nadaje im fałszywą szatę.

Oto np. kwietniowy numer sowieckiego pisma ideologicznego „Kommunist" powraca do sprawy drugiej wojny światowej. Na chwilę przed spotkaniami dyplomatycznych przedstawicieli Wschodu i Zachodu partia widać postanowiła zaszczepić własnemu społeczeństwu sporą dawkę antyzachodniej propagandy.

I pismo analizuje wybuch wojny i twierdzi, ni mniej ni więcej, że w roku 1939 Sowietom zagrażało powstanie szerokiego frontu antysowieckiego obejmującego rzekomo Polskę. Że Hitlera w tych planach rzekomo wspomagali Francuzi i Anglicy. Sowiety zaś, rzekomo, wtedy dopiero poszły na podpisanie paktu z Hitlerem, gdy udało im się rozszyfrować „knowania" burżuazyjnych rządów Francji i Anglii.

Postawieni wobec tej nowej serii fantastycznych kłamstw historycznych dochodzimy do przekonania, że książka A. Bregmana jest bardziej niż aktualna, a jej aktualności nie zmaże fakt, że już coś na ten temat przedtem wiedzieliśmy.

Nie chodzi przy tym tylko o politykę, ale o prawdę historyczną.

Wobec rozpętania zaś całego arsenału sowieckiej propagandy dla wykazania, że Polska chciała rzekomo napaść na Sowiety, chcielibyśmy też mieć argument, by rodakom w Kraju pomóc w rozszyfrowaniu sowieckich zniekształceń i zwyczajnych kłamstw.

Książka Bregmana z niezbitą logiką wykazuje, że prawdziwym inspiratorem wojny w tamtej chwili i w tamtych warunkach był jeszcze więcej Józef Stalin niż Adolf Hitler.

Na tym tle przypominamy też sobie, że sowiecki dyktator w podobny sposób planował trzecią wojnę światową, gdy nakazywał inwazję południowej Korei. Tu także, jak poprzednio, nie chciał grać roli czynnej na początku. Liczył pewnie, że Stany Zjednoczone i ich sprzymierzeńcy wplączą się w długą wojnę z Chinami, zniszczą Chiny bombami atomowymi a sami się wyczerpią?

W świetle niezwykle wnikliwego studium Bregmana staje się zupełnie prawdopodobne, że krwawy Gruzin mógł właśnie tak postępować w roku 1951 jak postąpił w r. 1939.

Oczywiście, to nie tylko Stalin był sprzymierzeńcem Hitlera, ale cały aparat pod jego kierownictwem. O tym warto pamiętać...

✱

„Najlepszy sojusznik Hitlera" ukazał się w skromnej, ale bardzo starannej szacie zewnętrznej.

Temat doprasza się tłumaczenia na języki obce, z angielskim na czele.

Stefan Łochtin

*) Aleksander Bregman: „Najlepszy sojusznik Hitlera. Studium o współpracy niemiecko-sowieckiej 1939-1941". Orbis, Londyn 1958.

Święto narodowe i miesiąc oświaty polskiej

...Stanowimy wszyscy, na emigracji, poważną cząstkę NARODU.

Mamy głębokie poczucie związków z Narodem oraz silną wolę pozostania w zasięgu POLSKIEJ KULTURY.

WYCHOWANIE OJCZYSTE młodego pokolenia emigracyjnego jest naczelnym zadaniem, od którego wykonania zależeć będzie utrzymanie świadomości narodowej EMIGRACJI i udziału jej w dobrach POLSKIEJ KULTURY.

Pielęgnowanie tradycji polskiego domu rodzinnego, wszczepianie zasad religijnych, przestrzeganie zwyczajów i obyczajów narodowych, nauczanie o Polsce po polsku jest warunkiem polskości naszych dzieci i warunkiem przynależności skupień emigracyjnych do WIELKIEJ POLSKIEJ RODZINY NARODOWEJ...

...Niechaj Święto Narodowe 3 Maja i Miesiąc Oświaty Polskiej będzie wyrazem zgodnego współdziałania WSZYSTKICH POLAKÓW, we wszystkich krajach polskiego osiedlenia. —

Niech będzie wyrazem ich troski o polskość młodego pokolenia. —

Niech da sposobność do wydatnego, czynnego poparcia dla akcji oświatowo-szkolnej na emigracji... DARU NARODOWEGO 3 MAJA!...

POLSKA MACIERZ SZKOLNA ZAGRANICĄ

STUDENCI RADZĄ W FAWLEY COURT

Dwie rzeczy od razu na wstępie trzeba powiedzieć o dwudniowej konferencji studenckiej w Fawley Court. Po pierwsze, organizacja była doskonała, atmosfera przemiła, Ojcowie Marianie gościnni i, rzecz nie najmniejszej wagi, posiłki smaczne i obfite... Po drugie, dyskusja wręcz gargantuiczna, a co najmniej w rozmiarach walworthowych. Wszyscy chcieli powiedzieć wszystko i jeszcze trochę. Zwłaszcza zdawało się, że niemal każdy ma coś wstrząsającego do powiedzenia o dwu artykułach w „Merkuriuszu", które były o węglu... „Dlaczego o węglu"? Ale zacznijmy od początku.

Była to konferencja czy też week-end dyskusyjny (w sobotę i niedzielę po Wielkanocy) pod egidą ZSAPU, to jest — jak się każdy domyśla — Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Idea i pomysł wyszły od dra Andrzeja Makomarskiego, który też przezwyciężywszy opory stawiane przez skromność, przyjął godność przewodniczącego całości. Przybyło nas czterdzieścioro; płeć słabsza majoryzowała płeć silniejszą w stosunku 3:2. Jaki cel tej konferencji?

Bardzo ambitny. Przedyskutować sprawy dotyczące ZSAPU i indywidualnych członków w następujących materiach: stosunek do Kraju; problem absolwentów na emigracji; kwestie czysto organizacyjne i tak zwane młodzieżowe. W celu ułatwienia i uporządkowania dyskusji, konferencja była prowadzona w czterech grupach, a przewodniczący każdej grupy w krótkim referacie 20-minutowym podawał swoim słuchaczom zarys problemów pod dyskusję.

Komisję absolwencką prowadził Zygmunt Ławrynowicz, B.Sc. Econ.; organizacyjną — Andrzej Wroński (Imperial College); młodzieżową — Bogdan Watrasiewicz (Woolwich Polytechnic); krajową — Anna Tokarska (St. Anne's College, Oksford). Ciekawą rzeczą było zauważyć, że z początku, ledwo tylko grupy się ukształtowały, słuchacze ciągnęli raczej do komisji młodzieżowej i organizacyjnej, a więc tych, które bezpośrednio dotyczyły hic et nunc studentów i młodzieży na emigracji, i przemawiały bardziej do zmysłu praktycznego niż do sokratycznego „połogu myśli".

To wcale nie znaczy, że szli tam tylko ci, którzy wolą nie myśleć. Sądzę, że bezmyślność jest bardzo równomiernie rozparcelowana wśród wszystkich studentów w ogóle. Powód może leżał w fakcie, że większość uczestników para się naukami ścisłymi, a więc ma nastawienie bardziej praktyczne; interesuje ich przede wszystkim konkret. Może jednak można wyprowadzić stąd wniosek, że młodzież polska na obczyźnie, a więc w danym wypadku kształcąca się w Anglii, dąży przede wszystkim do uporania się ze sprawami w swoim miejscu osiedlenia i że te sprawy w kolejności rozsądku stają do załatwienia najpierw.

Niektórzy dyskutanci wykazali wcale spory zasób wiadomości w sprawach polskich, objawiali zrozumienie dla dzisiejszej sytuacji politycznej Kraju. Pomimo to jednak kwestie polityczne nie zajmowały zbyt dużo miejsca, nawet rozważania nad takimi czy innymi trudnościami gospodarczymi Kraju etc. Zastanawiano się natomiast nad sposobami przychodzenia z pomocą młodzieży studiującej w Kraju, nad wymianą studentów, wysyłką książek i pomocy naukowych, sprawą wyjazdów wakacyjnych do Polski.

W dyskusji ogólnej poruszona została sprawa przyjmowania obywatelstwa brytyjskiego przez polskich absolwentów na obczyźnie, jako procesu najczęściej nieuniknionego. Podkreślano, iż Polak czujący po polsku i mający żywy stosunek do swego Kraju, a posiadający prawa brytyjskiego obywatela, może więcej uczynić dla sprawy polskiej niż przez kurczowe trzymanie się emigracyjnego getta.

Tej sprawie — dobrym i mniej dobrym stronom przyjmowania obywatelstwa — np. czy może powstać konflikt lojalności, albo czy zachodzi niebezpieczeństwo zderzenia się obu kultur itd. — poświęcona była niejedna wypowiedź. Podobnie dyskutowano w sekcji absolwenckiej, której uczestnicy wskazywali, że osiedlanie się zagranicą jest przeważnie nieuniknione. Pomimo tego postanowiono dążyć do założenia w Londynie domu lub klubu „młodej inteligencji polskiej" — bynajmniej nie w przeciwieństwie do „domu studenta polskiego", bo i taki jest w polu widzenia co najżarliwszych optymistów.

Warto też podkreślić, że dużo miejsca zajmowała sprawa „Merkuriusza". — I może to ów „węgiel" naturalnym węgla procesem dodawał szczególnego żaru licznym wypowiedziom. Ale zapalczywi, którzy dowodzili, że „Merkuriusz" utrudnia i hamuje rozwój „Życia Akademickiego" jako organu studenckiego, nie dali planu konkretnego rozwiązania.

Niestety, problemu „Życia Akademickiego", które zdaniem wielu głosów jest tylko ogonkiem „Merkuriusza", nie da się rozwiązać przez proponowane rozdzielenie obu pism. „Życie Akademickie" nie dlatego straciło swoją reprezentatywność studencką, że — jak to mówiono — finansuje „Merkuriusza", ale dlatego, że studenci zbyt rzadko chwytają za pióro, aby chociaż „o węglu" napisać...

Podobnie hiperkrytyczna, niekonstruktywna postawa przejawiała się w dyskusji nad organizacjami młodzieżowymi, które na ogół zostały bezlitośnie „obrobione". Ale rozumne słowo i doświadczenie prof. Ludwika Angerera nieraz zapewniło tryumf rozsądkowi.

Trzeba zaznaczyć, że jako eksperyment, pierwszy tego rodzaju, konferencja bardzo się udała dzięki szczeremu entuzjazmowi uczestników, serdecznej gościnie Ojców Marianów i doskonałej organizacji, która spoczywała w rękach kol. Stefana Trylskiego, prezesa ZSAPU.

Anna Tokarska

Polacy na uniwersytecie londyńskim

Mija już półtora roku od czasu, gdy w emigracyjnej prasie zaczęły się ukazywać wzmianki o SPULu. Z „Życia Akademickiego" dowiadujemy się, że delegaci SPULu biorą czynny udział w walnym zjeździe ZSAP (Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie). „Dziennik Polski" pisał o wystawie polskiej sztuki ludowej w gmachu University of London Union. W ostatnim swoim numerze ŻYCIE umieściło reportaż z dorocznego bankietu SPUL na University College. Wśród polskiej młodzieży akademickiej studiującej na londyńskich uczelniach SPUL wyrobił sobie już markę, ale dla większości Polaków jest to tylko enigmatyczne złożenie kilku liter. Uważam, że jest już najwyższy czas, aby zagadkę wyjaśnić. Co to jest za organizacja? Jakie są jej cele? Jak powstała? Oto pytania, na które postaram się odpowiedzieć w tym artykule.

Aby dokładnie zrozumieć charakter SPUL, musimy umieścić go w szerszym kontekście rozwoju polskich organizacji akademickich na terenie Wielkiej Brytanii od czasu wojny. W latach powojennych widziało się olbrzymi rozkwit polskiego życia studenckiego. W jednym okresie londyńskie koło Zrzeszenia liczyło około 500 członków. Ale po roku 1949 liczba Polaków studiujących na an-

gielskich uczelniach zaczęła gwałtownie opadać. Na uniwersytetach prowincjonalnych likwidowano jedno koło po drugim z braku członków. Członkowie koła Londyn wnet pokończyli studia, a ponieważ nie było świeżego narybku studenckiego, ta ongiś czysto studencka organizacja — stała się kołem prawie całkowicie absolwenckim, co naturalnie jeszcze bardziej odstraszyło studentów. Aby wypełnić lukę, członkostwo rozszerzono poza prawdziwych studentów.

Tymczasem na uczelniach angielskich pojawił się nowy typ polskiego studenta — student, który kończył angielskie szkoły; który miał inne zainteresowania, inne podejście do pracy społecznej, a co najważniejsze, do którego było trudno dotrzeć. Koło Londyn, które działało jedynie na terenie polskim, nie miało w ogóle do niego dostępu. Władze zrzeszenia nadaremnie głowiły się, jak naprawić ten przykry stan rzeczy. Rozwiązanie, jak to zawsze w takich wypadkach bywa, przyszło nie z góry, ale od dołu — od samych studentów.

Na różnych angielskich uczelniach powstały polskie koła i kluby. W odróżnieniu od dotychczasowych organizacji kluby te były ściśle związane z angielskim życiem uniwersyteckim. Były oficjalnie uznane przez władze uniwersyteckie i korzystały z udogodnień angielskich „bratniaków". Tak w Oksfordzie powstał Oxford University Polish Club. W Londynie zorganizowano Imperial College Polish Society, University College Polish Society i Woolwich Polytechnic Polish Society. Jednakże liczebność tych college'owych kół była stosunkowo mała i stąd możliwości ich pracy ograniczone. Wtedy to powstał projekt stworzenia, w oparciu o University of London Union, polskiego stowarzyszenia obejmującego cały Uniwersytet Londyński (SPUL — Stowarzyszenie Polskie na Uniwersytecie Londyńskim, po angielsku: University London Polish Society — ULPS).

Byłem jeszcze w szkole, gdy kolega zaprosił mnie na wieczorek urządzony przez Imperial College Polish Society u techników. Pamiętam swoje wielkie wrażenie na widok przyszłych kolegów. Kolega Klimek przyrządzał tradycyjny "I.C. Cocktail". Ze strony wykładowców byli: pani dr Borucka, państwo Sawistoccy, p. dr Folkierski. Wśród studentów: koleżanka A. Lichtarowicz, koledzy A. Makomaski, R. Sikorski, A. Wroński, A. Malhomme, R. Kulesza i inni. Mówiło się o stworzeniu jakiejś ogólnouniwersyteckiej organizacji.

Od tego czasu minęło już prawie dwa lata. SPUL miał już trzy walne zebrania, urządził cały szereg bardzo udanych imprez, został oficjalnie uznany przez University of London Union oraz odegrał ważną rolę w walnym zjeździe ZSAP.

A teraz kilka słów o stronie organizacyjnej SPUL. Stowarzyszenie jest zorganizowane na zasadzie federacji. W jego skład wchodzą: Polish Societies na Imperial College, University College, Woolwich Polytechnic, Queen Mary College, oraz poszczególni studenci z Royal Free Hospital Medical School, Battersea Polytechnic, Chelsea Polytechnic, Kings College i Kings College Medical School. W obecnej chwili Stowarzyszenie liczy około 100 członków. Każde koło czy grupa studentów wyznacza delegatów do Rady Stowarzyszenia, która z kolei wybiera zarząd. Stowarzyszenie jest oficjalnie związane z angielskim bratniakiem, University of London Union. Do SPUL może należeć każdy student internista uniwersytetu londyńskiego, niezależnie od wyznania, narodowości, czy przekonań — jedynym warunkiem członkostwa jest zainteresowanie sprawami polskimi. Stowarzyszenie działa tak za pośrednictwem poszczególnych kół college'owych jak i bezpośrednio na ogólnouniwersyteckim terenie. Organizuje odczyty o tematyce polskiej, pokazy polskich filmów, wspólne wycieczki i wieczorki towarzyskie. Reprezentuje studentów polskich na imprezach uniwersyteckich, jak na przykład „international week" w University of London Union. Urządza Doroczny Bankiet, na którym gośći wybitne osobistości ze świata naukowego oraz angielskich przyjaciół Polaków.

Cele stowarzyszenia są dwojakie: zajęcie się własnymi członkami, dostarczając im pożywki kulturalnej i życia towarzyskiego oraz zainteresowanie angielskiego społeczeństwa studenckiego sprawami polskimi.

Różni się od innych polskich organizacji tym, że współdziała ściśle z angielskimi instytucjami. Może przez to korzystać z możliwości, które te instytucje ofiarowują: lokale, tablice ogłoszeniowe, pisma studenckie itp. Ma bardziej bezpośredni kontakt ze studentem angielskim. Łączność ze studentami polskimi jest także wielce ułatwiona. Tak na przykład, na początku każdego roku akademickiego wyszukuje się nowoprzybyłych Polaków za pomocą college'owych sekretariatów.

Stowarzyszenie SPUL-u w takiej formie, w jakiej organizacja ta została stworzona, nie jest wynikiem przypadku. S.P.L. jest jeszcze jednym wyraźnym wskaźnikiem kierunku, w którym postępuje ewolucja społeczeństwa polskiego w Anglii. Jest to już organizacja polonijna, nie emigracyjna.

Nie możemy się łudzić: każde nowe pokolenie studentów na angielskich uczelniach będzie bardziej zangliczałe. Jeżeli nie chcemy całkowicie stracić tych studentów dla polskości, musimy dostosować się do nowych warunków.

Moment powstania SPUL-u uważam za opatrznościowy, gdyż trzeba przewidywać następnych kilka lat ubogich (roczniki wojenne), jeżeli chodzi o studentów polskich. A element, który wstąpi na uniwersytety za 3 — 4 lata, będzie już bardzo oddalony od polskości. Obowiązkiem SPUL-u jest przetrwać do tego czasu i zająć się tym elementem. Czy zadanie to wypełni — nie wiadomo.

W tej chwili jest to organizacja bardzo prężna i, wydaje mi się, że nie przesadzam, jeżeli powiem, iż odrodzenie polskiego życia akademickiego, które od jakiegoś czasu daje się odczuwać w Anglii, w dużym stopniu zawdzięczamy SPUL-owi.

Andrzej Busza

DZIENNIKARZ Z POWOŁANIA

Jeden z największych dziennikarzy XX wieku Wickham Steed dał w swych pamiętnikach definicję prawdziwego dziennikarza: Taki, który u schyłku życia, wspominając mężów stanu i innych wielkich ludzi, z którymi się spotkał w swej pracy, może sobie powiedzieć, że nie zamieniłby się z żadnym z nich.

Takim rasowym dziennikarzem był ś. p. Ludwik Rubel, którego śmierć wytworzyła jeszcze jedną bolesną lukę w naszych szeregach. Praca dziennikarska była dlań więcej niż zawodem. Była powołaniem, była jego żywiołem. Żył nią i dla niej i wszystko inne jej podporządkowywał. Historia jego życia to wielki rozdział w historii prasy polskiej. Ludwik Rubel zabrał ze sobą do grobu, wraz z tysiącami anegdot, którymi dzięki fenomenalnej pamięci zawsze sypał jak z rękawa, dzieje największego i najpopularniejszego dziennika dwudziestolecia niepodległości, krakowskiego „Ikaca"; zabrał także dzieje znacznej części prasy wojskowej w latach drugiej wojny światowej — początków „Dziennika Żołnierza" w Szkocji, kanadyjskiej „Odsieczy" czy „Dziennika Żołnierza APW", pism, których był założycielem i redaktorem. Gdyby napisał pamiętniki to byłyby one pasjonującą opowieścią o polskim dziennikarstwie — opowieścią, jakiej bodaj nikt inny napisać by nie mógł. Ale właśnie jako rasowy dziennikarz Rubel nie myślał o pisaniu pamiętników; żył tylko aktualnością, pasjonowała go chwila bieżąca.

Niewątpliwie w życiorysie jego są i inne pozycje poza pracą dziennikarską. Są studia prawnicze i tytuł doktorski, ale nigdy Rubel nie myślał o wykonywaniu zawodu prawnika; jest okres, niezbyt długi, posłowania do Sejmu, do którego wszakże niezbyt wielką przywiązywał wagę; jest przede wszystkim służba żołnierska w latach wojny. W tych latach Ludwik, gdyby mógł, z entuzjazmem zamieniłby pióro na karabin. Z pewnością jednak rozumiał, jak zrozumieli i inni, że również w mundurze mógł więcej zdziałać walcząc piórem, aniżeli z karabinem w ręku.

Od chwili wydania w małej szkockiej mieścinie pierwszego numeru „Dziennika Żołnierza" aż po ostatnie chwile życia, gdy jechał do redakcji „Dziennika Polskiego", aby napisać artykuł wstępny, słowo drukowane było dlań orężem w walce o niepodległość i wolność Polski. W walce tej nie poddawał się ani na chwilę zwątpieniu, choćby nie wiedzieć jak czarne były perspektywy. Wierzył, że prawda i sprawiedliwość muszą zwyciężyć. Gdy dawał temu wyraz w swych artykułach, to nie był to bynajmniej frazes; Rubel wierzył głęboko i ta wiara napawała go otuchą i optymizmem, była jego wielką siłą.

Z usposobienia zresztą był optymistą, człowiekiem pełnym pogody ducha i humoru. Był też do ostatka pełen młodzieńczego entuzjazmu.

Dziennikarze i politycy, dla których słowo drukowane czy mówione jest rzeczą codzienną, są często skłonni do cynizmu: czyż słowa ich i artykuły nie są skazane na to, że przeminą z wiatrem? Jutro, ba, tego samego popołudnia wyjdzie nowa gazeta i któż będzie myślał o artykule z poprzedniego dnia czy choćby poranka? Inaczej Rubel; niepokoił się po każdym artykule, czy aby jasno wypowiedział myśl, denerwował czy złośliwy chochlik drukarski nie zniekształci mu jakiegoś słowa.

Odszedł z naszego grona człowiek dobry, jak rzadko bezinteresowny, przez wszystkich lubiany, życzliwy i koleżeński. Zabraknie go wszędzie, gdzie działał, wszędzie, gdzie na rzecz sprawy wnosił swe zdolności, swój zapał, swoje doświadczenie i ogromną znajomość rzeczy polskich i obcych. Należał do tych, których miejsca pozostają puste, bo nie ma ich komu zastąpić.

Aleksander Bregman

POLACY W MELBOURNE

Przed wojną i w czasie wojny Polaków w Melbourne nie było. Pierwsze transporty z Indii i z Anglii zaczynają przybywać w roku 1946, ale największe nasilenie przyjazdów powojennych emigrantów dopiero ma miejsce w latach 1949 i 1950. Początkowo ci Polacy zgrupowani są po hostelach, lub pracują w australijskim „bushu", a dopiero stopniowo zaczynają przechodzić na „prywatki", kupować działki budowlane na odleglejszych przedmieściach metropolii i nawet nabywają domy w tańszych dzielnicach.

Polonia jest młoda. Powstają pierwsze polskie organizacje, zjeżdżają polscy księża i zaczynają się polskie nabożeństwa, gdzie ludzie spotykają się z sobą i mają możność nawiązania nowych znajomości. Powstają też polskie pisma, które z rozmaitym szczęściem rozwijają się, lub prędko nikną. Nie lepiej jest z organizacjami: zawiązują się, rozwijają, nikną, dzielą się...

Dopiero lata 1951-52 przynoszą konsolidację pracy społecznej. Rozbite organizacje Związku Polaków i Stowarzyszenia Polaków łączą się w jeden Związek Polaków w Wiktorii. Organizacje religijne zaczynają wspólnie działać jako Sodalicja Mariańska. Powstają koła następujących organizacji: SPK, AK, Lotników i Karpatczyków.

Młodzież grupuje się w drużynach harcerskich, a nieco starsi w tzw. Gronie Młodych przy Związku Polaków.

Dom Polski. Przy wspólnym wysiłku tych organizacji dochodzi do urzeczywistnienia inicjatywa w sprawie Domu Polskiego: powstaje spółdzielnia „Dom Polski im. Tadeusza Kościuszki". Spółdzielnia, której dwa tysiące udziałów 5-funtowych miało być rozprzedanych wśród Polaków zamieszkałych w Melbourne i okolicy, postawiła sobie za zadanie nabycie domu, gdzie wszyscy mogliby znaleźć odpowiednią rozrywkę, spotkać się ze znajomymi, poczytać polskie gazety i przede wszystkim mieć atmosferę czysto polską.

Akcję spółdzielni poparł bardzo czynnie ksiądz proboszcz, o. Janus, S.J. i dzięki niemu same organizacje katolickie zakupiły akcji za £ 800. Zbiórka pieniędzy szła szybko, tak że w roku 1955 można już było zakupić dom przy 445 Royale Parade, Parkville, gdzie obecnie odbywają się zebrania i gdzie znajduje się sobotnia szkoła polska; tam też teatr ze swą grupą taneczną odbywa próby, jest czytelnia, biblioteka i księgarnia. Tam (na świeżym powietrzu) odbył się obchód 50 rocznicy śmierci Wyspiańskiego i zostały wystawione urywki z „Wesela".

Obecnie Związek Polaków, to organizacja, która ma możność istnienia, nawet gdy obecne pokolenie przejdzie do lepszego świata. Toteż w Związku widać szereg działaczy młodych, którzy częstokroć już Polski nie pamiętają, tym niemniej oddają swe siły i czas, by polskość wśród młodego pokolenia zachować.

Dom Dziecka Polskiego. Piękną pracę dla polskości robią również siostry zmartwychwstanki. Przybyło ich kilka w r. 1952. Arcybiskup Melbourne zagwarantował ich pożyczkę na piękny dom, który miał być dla 30 dzieci polskich, przede wszystkim dla sierot i półsierot, a — jeśli miejsca starczy — także i dla dzieci małżeństw pracujących.

Dziś dom ten jest rozbudowany, kupiona została posesja sąsiednia na konwent dla sióstr, przebudowano stajnię na kaplicę, zbudowano nowy budynek szkolny.

Dom powiększył ilość stałych mieszkańców do 70 i około 30 dzieci dochodzi do szkoły i przedszkola. W Domu Dziecka jest pełnoprawna szkoła australijska, gdzie jednak znajduje się miejsce i czas na naukę przedmiotów ojczystych.

Szkolnictwo polskie. Najważniejszą i najtrudniejszą sprawą do rozwiązania było zorganizowanie nauczania języka polskiego, polskiej historii i geografii wśród dzieci. W grę wchodzi już pokolenie urodzone na obczyźnie, wychowane przez szkoły australijskie. Rodzice bardzo rzadko zdobędą się na to, by po pracy i zajęciach domowych uczyć swe dzieci czytania, pisania i historii Polski.

Trzeba było na olbrzymich przestrzeniach Melbourne zorganizować szkoły sobotnie, by choć raz w tygodniu przez kilka godzin dzieci mogły się uczyć po polsku.

Założono osiem szkółek. Trzy z nich prowadzą siostry zmartwychwstanki, resztę — Związek Polaków. Niestety, ludzi chętnych do pracy jest niewielu, toteż są tacy, którzy muszą jeździć z jednego końca miasta na drugi, aby dzieci we wszystkich dzielnicach mogły się uczyć. Ogółem do szkół polskich uczęszcza 800 dzieci.

Z.

„GALWANIZACJA METODĄ DOMARA"

Jeszcze jeden biuletyn? Jeszcze jedna organizacja, nie nowa, ale wznawiająca działalność? Tak, ale równocześnie ciekawy i udany eksperyment z zakresu inżynierii społecznej w tym cennym tworzywie, jakim są przyjaźń koleżeńska i solidarność zawodowa. Ponieważ zaś do powyższych ważkich określeń — przyjaźń, solidarność, praca zawodowa, można i trzeba dodać przymiotnik „polski", więc zjawisko tym bardziej zasługuje na uwagę.

Co? Jak? Po prostu grupa polskich lekarzy zaczęła „gwarzyć" poprzez kontynenty i oceany. Lekarze ci — to b. wychowankowie S.P.San. — Szkoły Podchorążych Sanitarnych.

Związek został odnowiony na obczyźnie w r. 1947, na swoje 17-lecie. Powstał bowiem w r. 1930 z inicjatywy pierwszej promocji S.P.San. Zebrano się, były zjazdy, ale członkowie zaczęli się rozjeżdżać, dosłownie na cztery strony świata; jak wiele polskich organizacji, związek przysnął...

W r. 1956 powiał inny duch. Bo „żelazna gwardia" miała dosyć udawania, że coś jest, że coś się robi, i postanowiła podjąć próbę, pomimo czasu, pomimo odległości, pomimo nowych zajęć i egzotycznych placówek roboty, gdzie nowe rodziny zaczęły zapuszczać korzenie. A próbę pomyślano jako — klub: „Klub S.P.S."

„Żelazna gwardia" utworzyła komitet: doktorzy A. Domar, A. Firlej, W. Kessling, T. Kuźmierkiewicz. Komitet wydał biuletyn. Tylko, że ten biuletyn powiedział wszystkim nie tylko czego komitet chce, ale czego oni sami chcieli. „Zwrócił się" nie tylko z apelem, ale z energicznym przyjacielskim „ruganiem", w imię wspólnoty tradycji i żywych możliwości zwierania się i wspólnego działania.

I biuletyn wywołał reakcję. Kto zajrzał do jego prostych, bezpośrednich kartek, ten się nie dziwi, że zaczęły przychodzić listy z W. Brytanii i Gujany, Stanów Zjednoczonych i Francji, Kanady i Złotego Wybrzeża, z Hondurasu i... św. Heleny! Zastosowano „chwyt" niezwykle skuteczny; biuletyn ogłaszał wszystkim listy od wszystkich. Na jego łamach zaczęła się pogwarka o zasięgu globalnym, całkowicie szczera korespondencja o dawnych czasach i tradycjach S.P.San. i o nowej pracy, o tęsknocie i „podciąganiu w górę", o zadaniach klubu...

Skrzyknięto się z szerokiego świata. Zjazd w czerwcu 1956 pod przewodnictwem dr. B. Tomaszewskiego, w obecności ostatniego komendanta Szkoły, płk. lek. Ksawerego Maszadro, zatwierdził istnienie Klubu S.P.S. Jego cele: utrzymanie więzi koleżeńskiej, samopomoc, odtworzenie historii szkoły. Niewiele, ale dosyć, by powstawało narzędzie, którego do wielu poczynań będzie można używać.

Biuletyn służy jako „skrzynka pocztowa" dla członków klubu zza mórz i zza gór. Z humorem i radością odnajdują się starzy koledzy, napływa materiał do historii Szkoły i jej roczników — „obrazki" z kampanii wrześniowej i diaspory lekarskiej, wspomnienia o zmarłych, „biografie" żywych i ... imponująco zatrudnionych. Silny akcent rodzinny, zainteresowanie młodym pokoleniem... Zainteresowanie Krajem... — W jednym z listów znalazła się najlepsza laurka dla pracowitego komitetu: „...galwanizacja metodą Domara — pisał jeden z kolegów — poruszyła żywego nieboszczyka...!"

Rośnie lista członków: 63, 75, 94... Korespondencja zaczyna przynosić ciekawe dane fachowe, informacje o lekarskich zjazdach międzynarodowych; wielu zajmuje kierownicze stanowiska o tysiące mil od Polski, są pracownicy ONZ; sygnalizuje się możliwości pracy; początki lekarskiego „Rotary Club"...

O swojskim klimacie w klubie świadczą choćby takie akcenty. Jeden psioczy, że któryś z kolegów pisze „po angielsku do jasnej cholery"; ale on, okazało się, ani po polsku nie zapomniał, ani się nie obraził, tylko... miał angielską sekretarkę. Z Australii pisze inny o „odgrzebaniu tego wszystkiego co niewątpliwie żyje w nas wszystkich bez względu na to czy życzymy sobie tego, czy się odrzekamy..." Życzenia świąteczne klubu przypominały o „przekazaniu dzieciom rozumienia najpiękniejszego święta ku czci Małego Dzieciątka, które odkupiło świat..."

W r. 1957, zamiast zjazdu, wzorowo przeprowadzone korespondencyjne wybory powierzyły kierownictwo „galwanizatorowi" i kolegom z dodaniem dr. F. Nitzke. Sprawozdanie wykazało m.in. 632 listów wysłanych, 322 otrzymanych, 586 egzemplarzy biuletynu rozkolportowanych.

Zarząd pisał w lutowym numerze, że „biuletyn rzeczywiście spełnia swe zadanie łącznika pomiędzy kolegami... Dociera on również do kolegów w Kraju... Więzy przyjaźni, zadzierzgnięte w młodości podczas pobytu w Szkole, przetrwały wojnę, łagry, obozy, okupacje i wreszcie — okres powojenny..."

Kontakt z Krajem! Stamtąd otrzymał biuletyn najpiękniejszy komplement: list z Polski pisał o „zainteresowaniu wśród kolegów; dużo absolwentów S.P.S. zajmuje obecnie nawet najwyższe stanowiska zarówno w wojsku jak i w cywilu..." — Organizuje się wymiana pism fachowych między Krajem a zagranicą. Klub zaczyna służyć nie tylko członkom.

Zrobiono dobrą robotę. Pomnożono w zbiorowym zespoleniu dorobek i możliwości indywidualne. Powstało narzędzie, które zaprząc będzie można do działania w dobrej sprawie. Dokonano ewidencji polskiego stanu posiadania na ważnym odcinku. Ożyła cząstka organiczna społeczności polskiej.

Życzymy najlepiej Klubowi S.P.S. na VI zjazd w Zielone Święta 1958 r. w Londynie.

W.I.

FLORIAN ŚMIEJA

CZEKAJĄCEMU

O ty co czekasz wieczności
bezłroski
spójrz na pająka:
oto i on czeka
chociaż na dzisiaj
porozwieszał sieci
chwytliwe.

Ptaszek najlichszy
nim drzewo obalą
wywiedzie ciepłych piskląt
pełne gniazdo.

I kwiat zakwita
w odrobinie ziemi
między kamienie nawianej.

Ty chcesz wieczności
doczekać bez spełnień:
niczego nie wiedziesz
nie siejesz ni orzesz
ani nie ufasz Ojcu Niebieskiemu.

NA PARKANIE NIEBA

O nieprzemierzanie kłamliwych
[dróg
o rozwidnienie zmierzchu

żeby nie być sobą:
wiecznie dybiącym zza rogu
[gnuśnych godzin
żeby spadł martwy liść
[dwulicowości
poza zasięg ręki
by za widnokrąg myśli
cofnął się zgrzyt codziennych
[spraw:

o wolność niewybierania
maluję rozpaczą
na parkanie nieba.

PUKAJ

Pukaj do wszystkich drzwi
aby w ważnej godzinie
uchyliła się brama jedyna.
Chowaj słowo, którym zwiążesz
co idzie w parze.
Potrzebującemu pomocy
ręki nie odmawiaj.
Próbuj zrozumieć
co się na pozór
w głowie nie mieści;
ukochać
co w piersi twojej
oddźwięku szuka daremnie.

Złośników i ust oszczerczych
nie lękaj się wcale:
w ich małym krzyku
usłyszysz ciszę twojego serca.

I to wystarczy.

Pamięci Henryka Grunwalda

Henryk Grunwald nie żyje. Zmarł w Warszawie, w 54-tym roku życia, złożony nieuleczalną chorobą raka. Pozostawił po sobie bogatą spuściznę w postaci prac w metalu, obrazów, rysunków i poezji.

Urodził się pod Warszawą. Po ukończeniu szkoły średniej, rozpoczął studia prawnicze, lecz porzucił je, poświęcając się sztukom plastycznym

W 1924 r. wstąpił do warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych kształcąc się u profesorów: Kotarbińskiego, Czajkowskiego i Tichego. Już w tym początkowym okresie uzyskał kilka nagród na wystawach w Akademii. W 1928 r. otrzymał stypendium, które wykorzystał na studia malarskie we Francji; zwiedził przy tej sposobności inne ośrodki sztuki, Brukselę, Antwerpię, Wiedeń i Berlin. Po powrocie do kraju, był asystentem prof. Kotarbińskiego, a potem Stryjeńskiego, prowadząc równocześnie pracownię sztuki złotniczej w Akademii. W kilka lat później nazwisko jego było znane w całym kraju i nawet zagranicą. Prace w metalu, jak bramy i kraty, lub „pieski" przed kominki kute w żelazie, naczynia trybowane w srebrze czy też w miedzi, klamry do pasów, ozdobniki, biżuteria i inne, zdobywały mu coraz to większy rozgłos, przynosząc zarazem zasłużoną chwałę.

Entuzjastyczną krytykę uzyskały prace w żelazie dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. W 1939 r. powierzył mu Komitet Organizacyjny Międzynarodowych Zawodów Narciarskich FIS w Zakopanem, wykonanie honorowych nagród ministra Spraw Wojskowych i ministra Kultury, Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Były to dwie tace kute w miedzi, jedna prostokątna, z dekorem ornamentacyjnym przedstawiającym herby miast Polski, druga okrągła ze znakami Zodiaku.

Gdy Wielka Brytania przyjmowała w 1936 r. polskiego ministra Spraw Zagranicznych, małżonka jego wzbudziła zainteresowanie całej prasy diademem wykutym w miedzi przez Grundalda.

Na Międzynarodową Wystawę w Nowym Jorku artysta wysłał trzysta kilkadziesiąt prac; niestety wszystkie te dzieła przepadły bez wieści. Liczba eksponatów świadczy o płodności artystycznej Grunwalda, ale przede wszystkim dowodzi, jak bardzo ceniono jego dzieła, skoro komitet wystawy przyznał potrzebną przestrzeń w dziale sztuki na



ich pomieszczenie. Talent jego był wybuchowy, wulkaniczny.

Teki w pracowni artysty zawierały setki rysunków, które lubił przeglądać, przeżywać, wartościować; nie chwalił się nimi, ale pokazywał je chętnie przyjaciołom, znawcom, krytykom i nie zrażał się uwagami, lecz wyrażał wdzięczność za słowa prawdy.

Z nielicznych rysunków dostępnych w Londynie, a znajdujących się w zbiorach prywatnych, można ocenić wartość sztuki Henryka Grunwalda. Cechuje je znajomość anatomii i nieomylna kreska. Pełen wymowy jest rysunek młodego powstańca warszawskiego z 1944 roku. Przedstawia pacholę, na którego twarzy maluje się dojrzałość i zdecydowanie, a zarazem ból i tęsknota.

W 1947 wystawił Grunwald ponownie w Warszawie swój dorobek artystyczny, a w dwa lata później, z inicjatywy Węgierskiego Instytutu Wymiany Kulturalnej, otworzono wystawę dzieł jego w Budapeszcie. W 1953 r. odbył się pokaz przeglądowy dzieł Grunwalda w Zachęcie warszawskiej. Były to świetne ilustracje do Gogola z okazji setnej rocznicy śmierci wielkiego pisarza; cykl „Gogoliana" liczył ponad 50 rysunków. Dalej cykle: „Ludzie spółdzielni", „Notatnik mazowiecki" obejmujący krajobrazy, kwiaty, dzieci; „Zwierzęta"; dział „Satyra" — razem z innymi 250 pozycji. Rysunki do „Zbrodni i kary" Dostojewskiego są arcykomiczne w treści i ujęciu artystycznym; typy bez reszty rosyjskie, prawie że czuć od nich machorkę. Jakże syntetycznie ujęte charaktery! Grunwald podpatrzył wnikliwie cechy osobowości.

W 1952 r. Henryk Grunwald został przewodniczącym sekcji plastycznej ZAIKS, a w 1953 przewodniczącym podsekcji Satyry Związku Polskich Artystów Plastyków w Warszawie. Był utalentowanym satyrykiem. Po wojnie współpracował z redakcją tygodnika „Szpilki" niezależnie od organizowania wystaw i wykonywania zamówień z zakresu metaloplastyki oraz złotnictwa. Te dwie dziedziny interesowały go właśnie najbardziej i stanowią poważny dział jego twórczości, zwłaszcza przedwojennej. Żelazna kurtyna, dzieliła go od Zachodu; zwiedził za to Czechosłowację, Jugosławię, Bułgarię i Węgry, przywożąc bogaty plon.

Brał udział we wszystkich ogólnopolskich wystawach plastyki. Na trzeciej otrzymał wyróżnienie, a w 1950 r. uzyskał nagrodę państwową II stopnia w dziale architektury wnętrza. W 1955 r. Związek Polskich Artystów Plastyków w Warszawie wystawił jego tekę Dostojewskiego, tekę bułgarską, oraz liczne rysunki o tematyce wyłącznie polskiej, ogółem 80 eksponatów. Grunwald odznaczony był za pracę artystyczną dwukrotnie: komandorskim krzyżem Orderu Polonia Restituta i Złotym Krzyżem Zasługi.

Warunki powojenne zahamowały jego prace w dziale metaloplastyki i złotnictwa. Zmienione oblicze Polski nie dopuszcza do twórczości związanej z „luksusem". Diademów nawet ze stali nikt teraz nie używa... Grunwald wypowiadał się w rysunkach i akwarelach. Nie mogąc zaś w ostatnich czasach ani kuć ani malować, lub rysować, począł pisać wiersze w łóżku. W ten sposób wyżywał się jego geniusz artystyczny.

Po „odwilży" politycznej planował podróże. W 1957 r. pisał: „...trzy miesiące czekają mnie w Rosji: wrzesień, październik i listopad. Ciągle choruję — straszne! Ale robię dobrą minę..." „...Chcę się przedstawić Zachodowi..." Zamierzał urządzenie wystawy w Londynie w 1957/58 r., która byłaby przyszła do skutku, gdyby nie ciężka choroba artysty. Zamierzał jechać do Włoch dla poratowania zdrowia. Cieszył się tymi planami,, a w listach, gdy o tym pisał, czuło się uśmiech, radość i szczęście.

Nie zdawał sobie sprawy z nieuleczalnej choroby, tym mniej jeszcze z bliskości śmierci. Do ostatniej chwili planował, zrywał się do lotu, do coraz to nowych prób artystycznych. Snuły mu się myśli o wyjeździe do Pekinu, by nadzorować pracę nad wykonaniem zaprojektowanej w ubiegłym roku żelaznej bramy w ambasadzie polskiej.

Poezje Grunwalda znalazły duże uznanie w świecie literackim. Londyńskie „Wiadomości" pierwsze drukowały zagranicą jego wiersze. Niestety, ani jeden oryginalny egzemplarz wspomnianego tygodnika nie dotarł do poety. Ale wiadomość o pojawieniu się w nim w grudniu ubiegłego roku pierwszego jego wiersza tak go ucieszyła, że zerwał się z łóżka i odnalazł siły na chodzenie po pokoju.

Pierwszy tomik poezji Grunwalda przygotowuje Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie. Będzie to bibliofilskie wydawnictwo z autoportretem autora. Nad całością publikacji czuwa prof. Radwan, kierownik artystyczny Drukarni Akademii.

Zmarły pozostawił żonę Wandę, nieodłącznego przyjaciela, z którą dzielił szczęście i radość w okresie lat powodzenia, a która była mu natchnieniem do ostatniej chwili życia, wiernym i oddanym towarzyszem.

Odszedł szlachetny i uroczy człowiek, twórczy i oryginalny artysta: kowal, złotnik, malarz, rysownik i poeta.

Alfred Holiński

KSIĄŻKI

„WYSPIAŃSKI ŻYWY"

W pięćdziesięciolecie śmierci Wyspiańskiego Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie wydał książkę zbiorową swoich członków pt. „Wyspiański żywy".*) Serię tych „żywych" pisarzy, których związek literatów emigracyjnych czci swymi wydawnictwami w okrągłe rocznice śmierci, zaczął Mickiewicz. Po Wyspiańskim przyszła kolej na Conrada, a w przygotowaniu jest tom poświęcony Krasińskiemu. Pomysł godny i ciekawy. Do książki zbiorowej wchodzą prace krótkie, nabrzmiałe treścią uczuciową lub wypowiadające zwięzłe myśli, nie ograniczone ani rodzajem ani formą literacką. „Mickiewicz żywy", mimo uderzającej nierówności prac, był dlatego książką wartościową i zajmującą, poza tym starannie wydaną.

Przedsiębiorczemu i energicznemu wydawcy, Bolesławowi Świderskiemu, również „Wyspiański żywy" zawdzięcza szatę schludną i estetyczną. Kto się uważa za Polaka, żeby tak rzec, praktykującego, powinien uczcić rocznicę wielkiego artysty narodowego wyłożeniem trzydziestu szylingów na tę ładną książkę.

Znajdzie w niej przede wszystkim 10 kredowych plansz ze ślicznymi reprodukcjami dzieł malarskich Wyspiańskiego, nie licząc kilku przerywników w tekście książki. Dla samego posiadania „Achillesa rażącego gromami pomoru", „Z okien pracowni", „Ostatniego autoportretu" i dwu „Macierzyństw" warto nabyć „Wyspiańskiego żywego", aby zaglądnąć do książki, gdy żal za domem ostrzej dobierze się do serca.

Pod względem literackim książka jest, niestety, nie najudańsza, aczkolwiek zawiera kilka bardzo cennych prac. Redaktorka, Herminia Naglerowa, nie miała już sił i czasu, aby nakłonić do uczczenia piórem Wyspiańskiego innych jeszcze prozaików i poetów emigracyjnych, których nie ma w spisie autorów, rezygnując z prac słabszych. Włożyła w tę książkę ostatnie lato swojego pięknego i pracowitego żywota. Niesposób, biorąc „Wyspiańskiego żywego" do ręki, nie uczcić równocześnie pamięci jego redaktorki. Jej wytrawną rękę znać w wyborze reprodukcji, w porządnym i przejrzystym, jak każda praca Naglerowej, układzie książki, wreszcie we wzruszającym, jej pióra, wspomnieniu z rzymskiego Pincio. To ostatnia karta bogatej twórczości pisarki. Wspomnienie winno się było znaleźć na końcu tomu, lecz szlachetnym gestem Naglerowa dała jeszcze po sobie miejsce szkicowi Stefanii Zahorskiej.

Tom składa się z dwojakiego rodzaju prac: autorów, którzy mieli coś do powiedzenia, i z takich, którzy uważali, że należy koniecznie, choć bez przygotowania, rocznicę Wyspiańskiego „obejść". Przejawiło się to przede wszystkim w niejasności wyrażanych myśli. Im autor ma mniej do powiedzenia, tym bardziej bałamutne i zagmatwane jego myśli. Przede wszystkim poeci. Boże im odpuść, jeśli któryś z nich rozumie, o co mu we własnym wierszu chodzi. Wyłączyć trzeba tylko Stanisława Balińskiego. Ale nie brak i paru prozaików godnych pióra hermetycznych poetów. W ogóle na większości prac zaciążył wysiłek, aby wycisnąć z siebie jakiś trybut rocznicowy bez wewnętrznego przekonania. Stąd pozornie intelektualne wytłoki, które by można, bez większego zresztą pożytku dla czytelnika, przełożyć na bardzo proste zdania i sądy. Pewnym pisarzom zdaje się, iż budzą podziw dla swych tworów, jeśli nadają im formę niejasną i zawiłą.

Dwadzieścia trzy prac prozą dzieli się na beletrystykę i szkice krytyczne lub historyczno-literackie. Oczywiście, beletryści nie wnoszą do wiedzy o Wyspiańskim wiele nowego, jednak jasnością myśli, a więc formą literacką, górują w tej czytance nad krytykami. Zupełnie niepretensjonalne i dlatego nadzwyczaj zgrabne i wzruszające jest opowiadanie Jadwigi Tetmajer-Naimskiej, Isi z „Wesela", pt. „Bronowice dzisiaj". Do tej kategorii należą poza tym wspomnienia: Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej: „Prapremiera Wesela w salonach panny Florentyny" w Warszawie, barwny obrazek, choć bez puenty, Jana Chmielińskiego: „Monsieur Sibousky", o Adamie Ładzie Cybulskim, który poświęcił życie idei udostępnienia dzieł Wyspiańskiego Francuzom, Teodozji Lisiewicz: „Czarna Rachel", o Wandzie Siemaszkowej, odtwórczyni ról Wyspiańskiego w teatrze lwowskim, Józefa Andrzeja Teslara: „Wyspiański polski i obcy", o dziecinnych spotkaniach Poety w teatrze i życiu, oraz o późniejszym zawodzie, doznanym na przedstawieniu „Wesela" w

---

*) **WYSPIAŃSKI ŻYWY. Książka zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Redaktor: Herminia Naglerowa. Str. 233+3 nlb+10 wkładek kredowych z reprodukcjami dzieł malarskich St. Wyspiańskiego. Obwoluta Z. Turkiewicza. Wydawca: B. Świderski. Londyn 1957. Cena: 24/6, opr. 30/-.**

teatrze francuskim, Juliusza Sakowskiego: „Kim była Karolina Lorenz?" — o obsadach warszawskich premier sztuk Wyspiańskiego; bardzo pięknie opisał Jan Fryling w „Spotkaniach" gimnazjalne zachwyty nad poetą oraz jego pogrzeb na Skałce. Wreszcie Herminia Naglerowa. Jej szkic jest literacką koroną „Wyspiańskiego żywego".

Prace historyczno-literackie i krytyczne również nie wnoszą do wiedzy o Wyspiańskim wiele nowego, niektóre jednak dają ciekawe naświetlenia. Wymienić zwłaszcza trzeba trzy szkice: belgijskiego polonisty Claude Backvisa o „Aktualności teatru Wyspiańskiego", Wiktora Weintrauba jasną i przekonywującą pracę o „Kompleksie Mickiewicza", w której autor udowodnił tezę, że „Mickiewicz miał więcej szczęścia do swoich przeciwników niż do wielbicieli", a więc i do Wyspiańskiego, zmagającego się z nim i równocześnie przytwierdzającego wielkość antagonisty, wreszcie Mariana Pankowskiego essay: „ Patrzę się inaczej..." Młody krytyk wyraża żal, że Wyspiański był „więźniem" tradycyjnej polszczyzny i że „Kraków nie dał mu rozwinąć szczerej, męskiej weny i ostrego widzenia świata, ani też nowoczesnej schludności polszczyzny". Z listów prywatnych i wiersza „Die Sonne nie tak świeci jak słońce", zresztą również umieszczonego w liście do Stanisława Eliasza Radzikowskiego, przytacza Pankowski przykłady „poezji nowoczesnej", nierozwiniętej nigdy w pełni „na morzach religianckopiastowskiej mętnoty". Pomijając to, że Wyspiańskiego język był zupełnie swoisty, a więc jego własny, i to, że współwinę za konserwatyzm światopoglądu poety łączy z Krakowem, i Norymberga, i Paryż, nie można bez zastrzeżeń poddać się smakowi młodego krytyka, zresztą wykształconego również w Krakowie, poczytującego jeden z najwspanialszych wierszy w liryce polskiej: „I ciągle widzę ich twarze" za „miedzią brzęczące pustosłowie". W każdym razie ujęcie Pankowskiego jest oryginalne i odświeżające.

W śmiałym szkicu pt. „Kilka słów o magii" Józef Wittlin porusza również zagadnienie poezji i piękna poetyckiego dramatów Wyspiańskiego, uważając jego poezję za „libretta wizyj", za swoistą mieszaninę „słowa, gestu, ruchu, kostiumów i dekoracji". „Samo słowo tego poety, oderwane od sceny i ruchu, wyprute z obrazu, sam jego wiersz często zabija magię." I znowu, rzecz gustu. „Zstąp, Gołębico" uważa Wittlin za słaby tekst poetycki.

Tymon Terlecki dał zbyt pośpiesznie napisaną, lecz celną syntezę twórczości, a Władysław Günther żarliwie napisany życiorys Wyspiańskiego. Wit Tarnawski naświetlił dwa drobne, lecz interesujące szczegóły o podobieństwie „Warszawianki" i „Lilli Wenedy" oraz o zachwycie Józefa Conrada dla „Warszawianki", którą Conrad zamierzał przetłumaczyć na język angielski. Marian Bohusz-Szyszko naświetlił przekonywująco, choć może zbyt ogólnikowo, wielkość wizji i formy plastycznej Wyspiańskiego, a Stefania Zahorska system pojęć chrześcijańskich w „Sędziach". Praca Józefa Bujnowskiego: „Wyspiański spętany", napisana z temperamentem, w pewnych ujęciach wydaje się bezsporna, w innych wątpliwa. Bujnowski pozwalał wszystkie kapliczki postawione Wyspiańskiemu, aby je wznieść na nowo własnymi rękami. Poza tym przypisał poecie tak nieprawdopodobnie skomplikowane bogactwo koncepcji, że dramaty Wyspiańskiego trzeba by rozwiązywać przy pomocy rachunku różniczkowego i całkowego. Niemniej w pracy Józefa Bujnowskiego jest sporo przypomnień i stwierdzeń cennych.

Treść odpowiada na ogół tytułowi „Wyspiański żywy". Większość prac cechuje bowiem świeżość spojrzenia na dzieło poety.

J. B.

„CMENTARZE"

MARKA HŁASKI

Przyznanie Markowi Hłasce nagrody literackiej dla pisarza krajowego „Kultury" zbiegło się z wybraniem przezeń wolności. Nagrodę otrzymał Hłasko za opowiadanie „Cmentarze", którego w Polsce cenzura ogłosić nie pozwoliła. Biblioteka „Kultury" wydała je razem z opowiadaniem „Następny do raju", drukowanym poprzednio w Polsce pt. „Głupcy wierzą w poranek".*)

25-letni Hłasko jest dziś najbardziej popularnym pisarzem w Kraju, a szeroki rozgłos zdobył również wśród obcych. Przed dwoma laty wyszła pierwsza książka Hłaski pt. „Pierwszy krok w chmurach", zawierająca kilkanaście różnego stylu i wartości literackiej opowiadań, i od razu zdobyła niebywałe powodzenie wśród czytelników, głównie dzięki nieokiełznanemu naturalizmowi i brutalizmowi treści i języka, obrazującym życie współczesnej Polski. Wśród późniejszych prac Hłaski wyróżnił się ogłoszony w „Twórczości" „Ósmy dzień tygodnia". Rozgłos autora porównuje się w Kraju i za granicą do sławy Francuzki Franciszki Sagan. Oboje łączy młody wiek i brutalna szczerość. Opowiadania Hłaski mają się niebawem ukazać we wszystkich prawie językach europejskich. Jedno z jego opowiadań, „Pętlę", sfilmowano w Polsce. Przed wyjazdem z Kraju Hłasko otrzymał nagrodę wydawców, a obecnie dostaje wysoką nagrodę emigracyjną. Młody człowiek, bez wykształcenia, który kolejno był chłopcem w barze, uczniem ślusarskim, praktykantem na barce, furmanem, mechanikiem samochodowym i kierowcą, osiągnął więc niezwykłą, prawie zawrotną karierę.

Czy istotnie jest to pisarz tak wybitny? Po „Cmentarzach", a zwłaszcza po „Następnym do raju" można śmiało stwierdzić, że talent posiada nie byle jaki. Surowość jego pióra, brak szerszego oczytania i kultury literackiej, naiwność łatwo dostrzegalna pod powłoką brutalizmu sprawiają, że poza tym jest to talent świeży i oryginalny, zapowiadający duże osiągnięcia, przy tym jednak niedojrzały, nieuporządkowany, rozwichrzony, niesforny. „Pierwszy krok w chmurach" zawiera tylko kilka opowiadań nieprzeciętnych, większość wszakże to socrealistyczny lub na odmianę naturalistyczny banał. Najciekawsze literacko opowiadanie, osiągające zarazem dno naturalistycznej brutalności, to niewątpliwie „Ósmy dzień tygodnia", aczkolwiek i ono nie jest wolne od łatwizn i naiwności, a zwłaszcza sztuczności w dialogach. Na poziomie tego opowiadania stoi inne: „Następny do raju".

Jest to opowiadanie o życiu i pracy kierowców zwożących drzewo z wysokich gór (Karkonoszy) starymi samochodami, wśród tysiąca niebezpieczeństw, a zarazem dzieje rozwianej wiary w sens poświęcenia dla nie-

*) Marek Hłasko: CMENTARZE. NASTĘPNY DO RAJU. Biblioteka „Kultury", tom XXVIII. Instytut Literacki, Paryż 1958. Stron 260.

WIECZORY TEATRALNE

„Kowal, pieniądze i gwiazdy"

W styczniu b. r. obchodzono w Warszawie jubileusz czterdziestolecia twórczości dramatycznej Jerzego Szaniawskiego. Teatr Polski w Londynie, pod dyrekcją Leopolda Kielanowskiego, uczcił ten jubileusz wystawieniem ostatniej sztuki Szaniawskiego pt. „Kowal, pieniądze i gwiazdy". Kielanowski wystawił ten dramat bardzo uroczyście, co uwydatniło się w reżyserii, doborze obsady i słowie wstępnym Tymona Terleckiego przed premierą prasową. Terlecki trochę arbitralnie nazwał Szaniawskiego najwybitniejszym z żyjących dramatopisarzy polskich, ale nie ulega wątpliwości, że można by się o taką lokatę spierać. „Most" należy do arcydzieł dramatu światowego. Napisał też jednak Szaniawski niemało sztuk (a pisał ich wiele) słabych. Toteż wątpliwe, czy na jubileusz należało wybierać właśnie ostatni dramat jubilata.

Sztuka pt. „Kowal, pieniądze i gwiazdy" jest istotnie utworem scenicznym o kowalu, pieniądzach, gwiazdach i kilku jeszcze innych rzeczach. Nie pozbawiona wielu walorów i dużego wdzięku, jest to jednak rzecz zdecydowanie chaotyczna i bez logiki dramatycznej. Można by ją określić jako zbiór wycinanek albo obrazków scenicznych, kalejdoskop sceniczny.

Składa się zresztą ze wszystkich pierwiastków chemii Szaniawskiego: romantyzmu, symbolizmu, realizmu. Wszystkie one występują w sztuce w całej wyrazistości, ale raczej jako mieszanina niż jako związek chemiczny. Lata wojny i powojnia rozwinęły w Szaniawskim szczególnie zmysł realizmu. Postacie kowala i kupca koni oraz pary kochanków: kowalowej i grajka, narysowane są z odkrywczą wnikliwością i zapowiadają ciekawy dramat. Niestety, zawiązane w pierwszym akcie węzły dramatu rozsupłują się od razu bez dalszego ciągu, a sztuka ześlizguje się w Szaniawskie symbolizmy, wyjątkowo zresztą niepociągające i grubo szyte. Po czym w miarę pojawiania się nowych postaci i nowych problemów sztuka rozsypuje się w drobny piasek piękności i tanich świecidełek. Kończy ją kilka luźnie przyklejonych poetyckich frazesów.

Aktorzy grali z wielkim przejęciem, jakby szło o nieprzeciętne arcydzieło. Kielanowski nie mógł się zdecydować: realizować czy symbolizować. Wybrał drogę pośrednią, ale zaprawił sztukę przesadzonym, chwilami nawet rażącym, patosem i pompą. Poza tym wiele wagi przywiązał do rozwiniętej przez siebie „teorii milczenia" w dramacie Szaniawskiego.

Z aktorów wysunął się na czoło niezwykle sumienną, prawie rzeźbioną grą Artur Butscher, niezrównany odtwórca ról chłopskich. Wyjątkowo szlachetnie, głównie dzięki stonowaniu głosu i gestu, wypadła rola Zięciakiewicza (kupca). Barbara Galicówna dała piękną sylwetkę rozmarzonej młodej chłopki, a Ewa Suzin romantycznego dziewczęcia. Krystyna Dygatówna i Wojciech Wojtecki włożyli w grę bardzo wiele wysiłku i inteligencji, ale postacie papierowe są pozycjami z góry straconymi.

Piękna, naprawdę piękna dekoracja Tadeusza Orłowicza.

J. B.

sprawdzalnej idei komunizmu oraz jego metod wypruwania wszystkich sił z ludzi. Sam autor nazywa tę książkę „pękniętą i nierówną, ni to relacją z własnego życia, ni to fantazją, gdzie wszystko pomieszało się z sobą i nikt już się w tym nie rozezna". W „Ani wstępie ani posłowiu" daje również Hłasko do zrozumienia, że opowiadanie to jest jakby korekturą innego, które autor uważa za „hańbę swojego życia". Chodzi niewątpliwie o „Bazę Sokołowską", uformowaną wedle klasycznych założeń socrealizmu; kierowcy „Bazy" to nie żywi ludzie, lecz liczmany z komunistycznych manifestów. „Następny do raju" natomiast to obraz straszliwej omyłki budowania rzeczywistości fantomami i realizowania urojenia za każdą ludzką cenę. „Każda ziemia, choćby najgorsza, jest prawdą; a każdy raj, choćby najlepszy, jest, mimo wszystko, kłamstwem". „Następny do raju" to też, zdaniem samego autora, owoc „wielkiej miłości do samochodu, najpiękniejszej rzeczy, jaką wymyślił człowiek dwudziestego wieku". Opowiadanie miejscami świetne, dzieło prawdziwie rasowego pisarza, pisane jednakże zbyt żywiołowo, bez hamulców, bez kontroli, bez oglądania się na rzeczywistość i prawdopodobieństwo. Toteż mocny realizm i naturalizm tej literatury przechodzi raz po raz w groteskę, a nawet w surrealizm. Sprawiedliwy sąd nad życiem zmienia się miejscami w szarże filmów z Dzikiego Zachodu czy wręcz fantastycznych. Plastyczne charaktery przystraja autor, poniesiony temperamentem, w cechy z nieziemskich wymiarów. Wielka szkoda, że Marek Hłasko nie umie utrzymać w cuglach swojego realizmu.

Ale i to, co nam dał w „Następnym do raju", połyskuje, jak złoto w błocie, szlachetnym humanizmem. W cynizmie i brutalizmie Hłaski kryje się tęsknota za moralnością, za utraconym rajem dobra. Bohaterowie jego opowiadań powracają ciągle do spraw Boga i religii, choć z całą pewnością te ich drogi nie są budujące. Ateusz-komunista wypełnia w „Następnym do raju" ostatnią wolę umierającego towarzysza kierowcy i odmawia z jego książeczki modlitwę za konających, dodając od siebie: „Daj im ziemię bez gwałtu, na której mogliby czynić i robić to, co myślą, co czują, czego pragną, spraw, aby zapomnieli o broni, gwałcie i przemocy". Modlitwa niewierzącego świadczy, że przecież w popiołach tlą jeszcze iskry. W polskim ateizmie te iskry nie mogą wygasnąć, chociażby przez ustawiczne powracanie do imienia Bożego.

„Cmentarzy" nie można zaliczyć do najlepszych utworów Marka Hłaski. Jest to jeszcze jedna alegoria załamanej wiary w komunizm oddanego, lecz zawiedzionego wyznawcy. „Następny do raju" posiada charakter ponadczasowy, „Cmentarze" skonstruowane są z materiału aktualnego, przemijającego. Najplastyczniej i najartystyczniej wypadają w nich partie satyryczne i groteskowe, wkraczające w surrealizm. Temat „Cmentarzy" zresztą nie jest nowy. Utwór nie dorównuje literacko „Kociołkowi na Ziemowita" Straszewicza, ale jest w nim więcej bólu. Puenta „Cmentarzy" nie jest zupełnie przejrzysta. Można ją czytać w ten sposób, że jedyną możliwą postawą życiową w Polsce dzisiejszej jest oportunizm i zdolność przystosowania się do ogólnego pozorowania wiary w komunizm. Ale można też czytać ją zupełnie inaczej: że tylko jawne przeciwstawienie się pociąga szacunek zakłamanych. Byłaby to bardzo niebezpieczna teza, aczkolwiek w praktyce Polacy próbują i tej drogi, masowo porzucając legitymacje partyjne.

Nowa książka „Kultury" rzuca na szale polskiej rozprawy z komunizmem tom dobrej prozy i gorący dokument zawiedzionej wiary. Tragiczne świadectwo polskiej „drogi do socjalizmu". Markowi Hłasce otwiera nową drogę w świat, na której będzie mu z pewnością trudniej wykonać pierwszy krok, już nie w chmurach. W świecie, który posiada ustalone wartości.

J. B.

CUD NAD WISŁĄ

Autor rozważań o Cudzie nad Wisłą*) dał zamiast przedmowy wyciąg z kazania ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza, wygłoszonego podczas nabożeństwa dziękczynnego w roku 1920. Kaznodzieja na przykładzie walki Izraela z Amalekitami wykazał, że w czasie bitwy „sprzęgły się i wzajem wspomogły duch męstwa żołnierza i duch modlitwy". W historiozoficznym skrócie scharakteryzował, jak niewidzialny Wódz „podług miary i wagi układa sam swój plan bitwy. Nie miesza się On cudownie w zastępy walczących, nie zsyła Aniołów swych z nieba, by hufce mdlejące zasilali, bierze jednak w swe ręce to, co się wymyka z wszelkich i najlepszych obliczeń rycerskich dowódców i czego nie dosięgnie ni zapał, ni bohaterstwo żołnierzy; bierze On w swe ręce to, co się wydaje czystym przypadkiem albo jakimś niedopatrzeniem czy niedoliczeniem, i wciąga to w swój rachunek, w swój plan, i albo daje przegraną albo też darzy zwycięstwem." (str. 15)

To samo zdanie wypowiada autor książki, mianowicie, że na polu bitwy decyduje nie tylko wola wodzów, ale także wiele czynników od nich niezależnych, a często im nawet nieznanych. (str. 31) I właśnie omawiana książka wykazuje, że w wypadku bitwy warszawskiej w roku 1920 były takie czyste przypadki, niedopatrzenia czy niedoliczenia, a więc to, co się wymyka z obliczeń dowódców. Autor omawia 7 takich „przypadków", jakimi „los" nas obdarzył. I zaznacza, że „gdybyśmy jednak wszystkie te wydarzenia niezwykłe, które grały na naszą korzyść, nazwać chcieli przypadkami, albo zaliczyć je chcieli do imponderabiliów, to obliczenie prawdopodobieństwa zbiegu aż siedmiu szczęśliwych dla nas wypadków (na siedem numerów wylosowanych siedem trafionych) wykazałoby nam, że jest ono jak 1:16 miliardów, czyli że nie ma już prawdopodobieństwa realnego. Takie szczęście trudno sobie wyobrazić. Za takie szczęście trzeba Panu Bogu dziękować." (str. 173-174, 188)

Ale — co niemniej ważne — praca omawia drugie istotne zagadnienie, mianowicie, że początek zwycięstwa nastąpił r z e c z y w i ś c i e w samym dniu święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. (por. str. 25 i 155) Ofensywa Tuchaczewskiego zaczęła się według jego planu 14 sierpnia, a Piłsudskiego znad Wieprza miała zacząć się 17 sierpnia, faktycznie zaczęła się 16 sierpnia. (str. 141) Ale już w dniu poprzednim, a więc w samo święto Matki Boskiej, zaszły właśnie takie nieprzewidziane wypadki, które, zdaniem Tuchaczewskiego, dały początek katastrofalnemu dla wojsk rosyjskich przebiegowi dalszej walki i wytworzyły, również zdaniem Tuchaczewskiego, ich położenie wprost potworne i nie do pomyślenia. (str. 49-50) Wypadki te nastąpiły w czasie, gdy niejedne plany bitewne i rozkazy operacyjne stały się nieaktualne w chwili ich opracowania lub wkrótce potem, albo nie dotarły do odpowiednich jednostek wojskowych. (str. 54, 55, 62, 64, 65, 66, 89, 95) Wypadkami tymi były: kompletne zaskoczenie 15-ej armii bolszewickiej przez naszą 18 dywizję piechoty, raid VIII brygady kawalerii na Ciechanów i zniszczenie radiostacji 4-ej armii bolszewickiej, akcja porucznika Pogonowskiego pod Wólką Radzymińską. Te wypadki, jako też rozkaz Piłsudskiego „nonsensowny", jak sam Piłsudski go nazwał, zaskoczenie Tuchaczewskiego przez wielką kontrofensywę „w takcie wściekłego galopu" i wyeliminowanie z bitwy o Warszawę armii konnej Budiennego i 12-ej armii bolszewickiej — oto treść pracy pułkownika Arciszewskiego, którą zwłaszcza winni przeczytać i przestudiować ci, co chcą zrozumieć, że — jak kończy autor swą pracę — „wydaje się więc, że popularne w Polsce nazwanie zwycięstwa CUDEM NAD WISŁĄ ma swoje uzasadnienie. A słowa modlitwy naszej, wyrażające wiarę w to, że Bóg przez tak liczne wieki osłaniał Polskę «tarczą Swej opieki od nieszczęść, które przygnębić ją miały», mają — w odniesieniu do omawianej bitwy pod Warszawą 1920 roku — poważne oparcie o fakty historyczne".

Dr Władysław Jelonek

*) **Franciszek Adam Arciszewski: CUD NAD WISŁĄ. Rozważania żołnierza.** Tom V serii zielonej „Biblioteki Polskiej". Stron 196, 8 szkiców. Oprawa płócienna, obwoluta. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w Londynie, 1957. Cena 15/-.

LEON KOCZY

SMĘTNY KRAJ

Tak chciałoby się nazwać ziemię, której swe pióro poświęcił ostatnio Jędrzej Giertych.*)

Zacznę omówienie jego książki od pytania: jak można było do dzieła, traktującego o podziałach szczepowych obcego i nie istniejącego ludu, o granicach przepadłych diecezyj i o historii kraju, który ostatecznie zniknął z mapy Europy, a w ciągu stulecia zmieniał nazwy geograficzne: pruskie, polskie i niemieckie, jak można było — pytam — do takiej książki nie dodać co najmniej dwu map, jednej polityczno-kościelnej ze średniowiecza, drugiej, ludnościowej, z czasów nowożytnych — trudno zrozumieć. Mało też będzie historyków, którzy treść książki śledzić będą mogli bez trudności, nie będzie nikogo, kto by dla braku mapy, nie czytał jej miejscami z pewnym nawet zniechęceniem. Nie wiemy czyja to wina, ale czyjakolwiek jest, jest to wina nie do wybaczenia. Niech tedy redaktorzy „Sacrum Poloniae Millennium" usłuchają życzeń czytelnika i pomieszczą takie mapy na końcu tomu, na co jeszcze jest czas, bo na opatrzenie w nie odbitek jest już za późno.

Druga uwaga jest natury ogólnej i tyczy się, jakby rzec, stylu wydawnictw Instytutu SPM. Ich celem jest uświadamianie Pola-

*) Oblicze religijno-narodowe Warmii i Mazur, ziem etnicznie polskich na podłożu pruskim. Sacrum Poloniae Millennium. Rzym 1957, str. 171, w tym pom. streszczenie.

ków, co w ciągu lat tysiąca Kościół dał Narodowi, a Naród Kościołowi. Hołdując takiemu celowi, twórcy SPM nie powinni oglądać się zbytnio na poczytność wśród zawodowych historyków, co żadną miarą nie oznacza obniżenia naukowych wymogów i poziomu badawczego, a za to jak najbardziej upoczytnić swe wydawnictwa wśród szerszych warstw społeczeństwa. Mając na uwadze ten cel, należałoby wprowadzić czytelnika w stan badań nad przedstawionym zagadnieniem i wskazać na własne trudy pisarskie, niewspółmiernie większe w dziedzinie historii ojczystej — na emigracji, niż w Kraju.

Takie wprowadzenie we wstępie przydałoby się tym bardziej omawianej tu książce, która przedstawia zagadnienie nowe, trudne i w pewnym stopniu obce. Obce, bo społeczność polska na Mazurach i Warmii, żyjąca przez wieki własnym życiem, w oderwaniu od macierzy, była dla nas Polaków długo obcością, tak jak obcością były Prusy Wschodnie dla Niemców na zachodzie; trudne, bo autor musiał iść własną drogą, której mu nie ułatwiały przypadkowe zasoby polskie w bibliotekach londyńskich; wreszcie nowe, bo Mazury są na pewno zagadnieniem w naszej nauce najpóźniejszym, w każdym razie nowszym od Śląska i Pomorza nawet. Wystarczy zajrzeć do spisu źródeł i literatury w rozprawie Marzeny Pollakówny (nie dostrzegam jej u autora), aby nabrać wyobrażenia o trudnościach opracowania jednego z zagadnień, które wejść musiało do niniejszej książki. Nie mówiąc o źródłach, w całości wydanych przez Niemców, na 102 opracowania do „osadnictwa Warmii w okresie krzyżackim", zaledwie 34 prac jest polskich, do tego 10 jednego autora (H. Łowmiańskiego) — reszta to prace niemieckie. Instytut Zachodni w Poznaniu i Instytut Mazurski w Olsztynie odrabiają tę wiekową niewiedzę, pierwszy przez obszerną monografię o Warmii i Mazurach, drugi przez swe od roku 1946 wydawane Komunikaty Mazursko-Warmińskie. Tym niemniej, przy tych wszystkich wysiłkach są i będą trudności z poznawaniem dziejów żywiołu polskiego w Prusach Wschodnich, boć archiwalia królewieckie — dostały się do Niemiec a bez nich trudno mówić o pełni podstawy źródłowej do dziejów Prus Wschodnich.

Autor nie przedstawił nam tych trudności — tylko z ujmą dla siebie. Tym bardziej trzeba podziwiać jego odwagę, że nie bacząc na przeszkody, podjął się opracowania spraw religijno-narodowych na Warmii i Mazurach i to na długiej przestrzeni czasu od pogańskich Prusów do ostatnich dni. Mógł się uchylić od źródłowych badań, jeśli chodzi o okres krzyżacki, z uwagi na liczne opracowania tego tylko okresu przez naukę polską i niemiecką. Jeśli chodzi o czasy najnowsze, to był do ich przedstawienia przygotowany naukowo i praktycznie nawet, bo jako jeden z nielicznych Polaków poznał Warmię i Mazury w trudnym okresie ich narodowego przesilenia.

Nie mam zamiaru streszczać niniejszej książki, którą trzeba czytać koniecznie. Autor zbierał wszystko, co by trzeba było zebrać na przedstawienie związku między narodowością a religią pod obcym panowaniem, w oderwaniu od macierzy, pod obuchem obcej kultury i przemożnej państwowości. Z jego dociekań wyziera potoczna teza, że katolicyzm jest równoznaczny z polskością, luteranizm z niemczyzną. Teza ta, obok innych narzuciła J. Giertychowi konieczność rozbicia pracy na dwie części — jednej o Warmii, drugiej o Mazurach, które, gdyby nawet nie były różne religijnie, były różne w genezie, historycznym rozwoju i ustroju społecznym. Ze stanowiska polskości obie ziemie przedstawiały pewien paradoks.

Warmia, późniejsza narośl na niemieckim już pniu, pozostawała przez trzy wieki pod polskim panowaniem (1466-1772) i miała zawsze silne związki z Polską. Będąc przy tym „bardziej ortodoksyjnie katolicką niż właściwe kraje krzyżackie", przekształciła się głównie dzięki działalności Hozjusza na „wzorowy kraik epoki kontrreformacji, świecący przykładem całej Europie" i promieniujący kulturą katolicką daleko poza granice diecezji i kraju. „Rządy polskie stworzyły nowoczesną Warmię katolicką i to tchnienie katolicyzmu, najściślej związanego z polskością, wywarło wpływ tak silny na życie ludu warmijskiego, że uodporniło mówiący po polsku odłam tego ludu na wpływy germanizacji także i na trudny okres zaboru pruskiego" (79, 82). Ten wkład wrócił się Polsce w pewnej mierze w roku 1920, w czasie plebiscytu, kiedy to na Warmii, stanowiącej wyspę katolicką w protestanckich Prusach, bez porównania większy odsetek głosował za Polską niż na Mazurach (154-5).

Mazury wprawiły Naród w bolesne osłupienie, głosując prawie w całości za Niemcami w tym samym roku 1920. Plebiscyt, jak stwierdza autor, był „w istocie tylko parodią rzeczywistego wyrażenia woli ludności" (151), ale trudno zaprzeczyć, że sama proporcja głosów polskich w obu ziemiach, przemawia na niekorzyść patriotyzmu Mazurów w stosunku do Warmiaków. Skutki plebiscytu były fatalne: zdziwiły obcych, upoiły Niemców, a Mazurom odebrały wiarę w samych siebie. Bo tylko tak można sobie wytłumaczyć germanizację Mazurów w okresie między wojnami, którą autor, troskliwy w zbieraniu dowodów a ostrożny we wnioskach, mógł unaocznić statystyką" (157-158). „Mazury zostały uratowane przed ostateczną germanizacją przez przyłączenie ich do Polski — dosłownie w przededniu końcowej fazy ich zagłady" (160).

Autor starał się dociec przyczyn zjawiska i trzeba się na nie zgodzić. Stanowiły je zobczenie wobec Polski pod wrogim Polsce panowaniem, brak przywódców, słabość kultury rodzimej, ucisk germanizacyjny, nade wszystko odmienne wyznanie. Jeden z synów Mazur, którego sylwetkę autor barwnie nakreślił, Marcin Giersz (1808-1895), — „na swój sposób patriota polsko - mazurski",*) powiedział krótko, że „Mazurzy są protestantami... Mazurzy są rojalistami. Kto by ich począł raptem nakłaniać do Polaków i nienawiść w nich budzić do króla, tego by za nic nie mieli..." (113, 111)

Jest to cała prawda: główną przyczyną zaniku polskości u Mazurów było ich ługnie-

*) Autor wydostał m. in. takie wyznania Giersza z jego korespondencji: „I kocham polski język nade wszystko. A każda księga polska jest mi skarbem nieocenionym". „Chciwość i żądza na księgi polskie jest u mnie niezmierna". „Radością dla mnie są księgi polskie... I niemieckie, i wszelkie inne księgi mam w wielkiej powadze, ale polskie w największej: bo polska mowa jest moją mową macierzyńską." „Kocham bardzo mowę polską, bo śliczna, jakby ją filozofowie utworzyli. I moja mowa macierzyńska jest polska, choć mazurska" (114).

nie do pruskiej monarchii, do protestanckiego wyznania, do prusactwa.

Dziwny to zaiste lud, ci Mazurzy, „krew z krwi i kość z kości synowie i córki mazurskiego ludu". Nawróceni gwałtem prawie na protestantyzm, niemczeni przemocą iście pruską, zachowali dla ciemiężców wierność nawet w chwili, gdy na tych ostatnich przyszły wyroki. Za to nie mieli ofiarnej miłości dla Polski, gdy ta się krwawiła w roku 1920, nawet dla Niemców, którzy tymczasem gotowali Narodowi gorszy los niż im samym. Drogo za to zapłacili. Mazurzy się już nie podniosą, choć autor sam, a my z nim, chcielibyśmy ich wydźwignięcia i odrodzenia. Co tu dużo mówić. Według obliczeń autora, „80 albo 90 % potomków dawnej ludności mazurskiej zostało z Mazur wymiecione" (163), w ciągu lat 1944-1946. To co nie wyginęło, nie poszło na Sybir, albo nie uszło do Niemiec, zostało jako mniejszość na swojej ziemi, ziemi ongiś pruskiej, ziemi, która była ich krwawicą pod twardą ręką krzyżackich i pruskich rządców ziemią, która wbrew nim dostała się Polsce.

Dziwny to zaiste lud, jak dziwny to kraj, Prusy Wschodnie. Trzy razy zmienił żywioł, trzy razy odmienił religię i trzy razy przechodził obce panowanie. Nie ma w Europie drugiego takiego kraju, który przy tym nie jest krajem mlekiem i miodem płynącym, więc by się wydawać mogło, że i o jego ziemię nie bardzo warto zabiegać.

Po pogańskich tubylcach została tylko nazwa, przeniesiona na lud, o którym nikt nie powie, że ma korzenie zapuszczone w szczep. Jego zdobywcy, krzyżacy, wycięli w pień całe plemiona Prusów, aby zrobić miejsce dla krzyża i niemieckiego pochodu. W latach 1520-1525 zdradzili oni to wszystko, co ich przyniosło na wschód — misje, Rzym i cesarstwo, nie zdradzili tylko niemczyzny, która na ziemi Prusów przerodziła się w niszczycielskie prusactwo.

Śledząc dzieje narodowe i religijne pruskiego kraju nie podobna w jego procesie historycznym nie dostrzec zwycięstwa państwa nad narodowością, języka najeźdźców nad tubylczą mową, herezji nad wiarą i obcej kultury nad rodzimym obyczajem, jednym słowem — zwycięstwa siły nad pierwiastkami duchowymi, zła nad dobrem. Sześć wieków trwał ten proces na utratę wierzeń nam drogich i tej, w którą wierzymy, sprawiedliwości dziejowej. Aż stało się jej zadość. To co nastawało siłą, siłą odstało aż do zupełnej próżni. Została ziemia jako wszystko, bo o ziemię wszystko idzie na świecie. Tę ziemię orze polski chłop z właściwą Słowianom miłością do ziemi. Zostały relikwie Mazurów, tych, co przetrwali działanie sił obcych i szli za zewem krwi, wnosząc do macierzystego wiana swój skromny, ale żywy, rodzimy wkład. I oni są gospodarzami tej ziemi pruskiej, bo to co zostało po Prusach należy do filologów, to co zostało po Niemcach należy do archeologii.

Autor zaciągnął poważny dług wobec badaczy w Kraju takich jak: A. Rogalski, H Łowmiański, K. Piwarski, E. Serwański i zwłaszcza Władysław Chojnacki. My, czytelnicy, poczuwać się będziemy do wdzięczności wobec Instytutu Sacrum Poloniae Millennium za pamięć o smętnej ziemi, a wobec autora za trud przedstawienia jej dziejów, które przy całym swoim tragizmie zawierają tę ważną naukę, że katolicyzm i polskość to jakby ramiona jednego krzyża i wszystkiego co się za nim kryje.

Leon Koczy

TADEUSZ FELSZTYN

DZIESIĘĆ LAT CYBERNETYKI

Kiedy Watt około roku 1770 wynalazł swój mechaniczny regulator obrotów koła maszyny parowej, a Leibnitz w 1671 roku swoje liczydło mechaniczne, z pewnością się im nawet nie śniło, że oba te wynalazki mogłyby mieć coś wspólnego ze sobą. Nawiasem mówiąc, liczydło Leibnitza było udoskonaleniem znanego nam wszystkim liczydła ręcznego, wymyślonego jeszcze przez Sumerów, poprzedników Babilończyków z lat około 3.000 przed narodzeniem Chrystusa.

„MÓZGI" KTÓRE MYŚLĄ

Przez długie lata każdy z tych wynalazków rozwijał się oddzielnie. Powstawały coraz liczniejsze urządzenia samoregulujące, mechaniczne, następnie elektryczne, a ostatnio elektronowe, jak np. automatyczny pilot w samolotach, lub rakieta samokierująca się na cel. Również i liczydła mechaniczne od najprostszych typów, wykonujących tylko elementarne operacje dodawania i odejmowania, udoskonalały się coraz bardziej, przechodząc wreszcie w nowoczesne liczydła elektronowe, niesłusznie zwane „mózgami elektrycznymi".

Te liczydła przecież nie „myślą", lecz tylko wykonują zadania w zasadzie niezmiernie proste. Jeśli bowiem chcemy przeprowadzić jakiś bardzo złożony rachunek, możemy go rozbić na proste stopnie. I tak np. przed wojną, przy obliczaniu tabel strzelniczych we Francji i w Polsce stosowano system drukowanych formularzy, w których mówiono rachmistrzowi: „1. Weź wartość z poprzedniego rachunku, 2. Wypisz odpowiadającą jej wartość z tabeli A, 3. Dodaj te wartości do siebie, 4. Weź z tabeli B wartość odpowiadającą sumie" itd. Rachmistrz nie wiedział co robi, zadanie to mogła wykonać nawet dziewczyna z zaledwie ukończoną szkołą powszechną, gdyż każdy krok był tylko prostą, nieomal że mechaniczną czynnością. Jeśli zaś te wszystkie tak proste czynności dawały w ostatecznym rezultacie rozwiązanie zawiłego zagadnienia, to nie była to zasługa owej rachującej dziewczyny, lecz matematyka, który ten formularz prostych czynności obmyślił i opracował.

MASZYNA, KTÓRA LICZY PRĘDKO I „WYBIERA"

To samo jest z liczydłem elektrycznym. To matematyk ustala jego program pracy i co do najmniejszych szczegółów przewiduje poszczególne jej stopnie, równie proste, jak te, które wykonać miała owa rachująca dziewczyna. Jeżeli więc liczydło elektroniczne może obliczać bardzo zawiłe problemy, tak zawiłe, że bez jego pomocy ich rozwiązanie nie byłoby możliwe, to bynajmniej nie dlatego, jakoby pracowało lepiej niż umysł ludzki, ale dlatego, iż pracuje prędzej. To bowiem, co człowiek obliczyłby w ciągu roku, liczydło elektronowe liczy w ciągu minut.

Ale liczydło elektronowe może nie tylko liczyć. Obliczając np. czas potrzebny na dojście do pewnego celu rozmaitymi drogami, liczydło to może, jeśli konstruktor je tak zbudował, „wybrać" drogę najszybciej wiodącą do celu. Podobnie, jeśli np. utrzymanie temperatury wewnętrznej pewnego urządzenia zależy od wielu zmiennych czynników, może liczydło elektryczne „wybrać" ten czynnik, który w danej chwili wykona to najbardziej ekonomicznie itp.

CO TO SĄ UKŁADY DOCELOWE?

I tu liczydła elektronowe łączą się z urządzeniami samoregulującymi. Jeśli np. chcemy zbudować urządzenie, by samoczynnie sterowało łodzią wśród skał, raf podwodnych i płynącej kry, odpowiednik licznik elektronowy musi nieustannie przeliczać przyszłe położenie łodzi, zależnie od jej kierunku i szybkości ruchu oraz przyszłe położenie kry, a odpowiedni mechanizm samoregulujący musi szybkości i kierunkowi łodzi nadawać takie wielkości, aby łódź nie zetknęła się ani z przeszkodą stałą, ani z ruchomą.

Tego właśnie rodzaju urządzenia zwane układami docelowymi, są przedmiotem nauki, zwanej poprzez jej twórcę Norberta Wienera (profesora w Massachussets Institute of Technology) cybernetyką*). Wiener wykrył wspólne elementy we wszystkich układach docelowych, zbadał ich zasady działania i współpracy, ustalił rządzące nimi prawa matematyczne i w ten sposób stworzył podstawy naukowe przez coraz szerzej obecnie rozwijającą się automatyzację.

Gdy się dziś widzi tak szerokie rozpowszechnienie cybernetyki i tak obfity jej zakres, to trudno uwierzyć, że jest to nauka bardzo młoda, licząca zaledwie dziesięć lat. Pierwsze podstawy cybernetyki stworzył bowiem Wiener dopiero w 1948 roku, wydając swoją, dziś już klasyczną, książkę pod tym tutułem.

SUKCESY CYBERNETYKI

W ścisłym tego słowa znaczeniu cybernetyka jest nauką o kierowaniu maszyn lub ich układów. Ponieważ jednak to kierowanie nie jest możliwe bez przekazywania informacyj o warunkach wewnętrznych i zewnętrznych, w jakich pracuje dana maszyna, więc z konieczności rzeczy cybernetyka w szerokim tego słowa znaczeniu wchłania w siebie zarówno wcześniejszą od niej teorię informacyj, powstałą w latach 1940 do 1948, jak i teorię komunikacji, której twórcą zresztą jest również Wiener (1942), obok Gabora w Londynie i Shannona w Stanach Zjednoczonych. Ponadto, jak to już wspomnieliśmy, układy docelowe muszą nie tylko „znać" warunki otoczenia i swego stanu wewnętrznego, ale i równocześnie i kierować zachodzącymi w nich procesami fizycznymi i chemicznymi w taki sposób, aby osiągnąć cel, dla którego zostały stworzone. Każdy więc układ docelowy musi na dany system bodźców zareagować w sposób najlepiej odpowiadający jego celowi. Tym samym więc musi „podejmować decyzje". Nie dziw więc, że i teoria decyzji stanowi część cybernetyki.

W tym szerokim pojęciu cybernetyka uczy np. jak najekonomiczniej przekazywać informacje, jak uniknąć przeszkód w ich odbiorze, jak najprościej rozwiązać zawiłe problemy samokierowania, samoregulacji, wyboru najlepszej ewentualności z wielu możliwych itp. Coraz bardziej doskonalące się teorie matematyczne (a wśród twórców ich nie brak i matematyków polskich) dają konstruktorom niezawodne narzędzie do ręki i cybernetyka staje się dla automatyzacji tym, czym ongis termodynamika była dla silników cieplnych, a teorie elektromagnetyczne dla silników elektrycznych.

CYBERNETYKA A ISTOTY ŻYWE

Ale ambicje Wienera i jego zwolenników idą znacznie dalej. Każda istota żywa jest niewątpliwie swego rodzaju układem docelowym, skoro jej czynności życiowe mają na celu zachowanie własnego życia i utrzymanie gatunku wbrew szkodliwym czynnikom otoczenia. Toteż cybernetycy zaczęli stosować swą naukę i do istot żywych.

I na tym polu może cybernetyka pochwalić się niejednym sukcesem. Zrozumienie zawiłego procesu reakcji organizmu żywego na zmienne bodźce posunęło się dzięki cybernetyce daleko, a liczne wymyślne modele, które samorzutnie wykonują pewne fragmenty czynności, jakie dawniej uważaliśmy za wyłącznie związane z istotami żywymi (jak np. mechanizmy unikające przeszkód lub też urządzenia elektronowe, które mogą się „uczyć" pewnych bardzo prostych czynności) pozwalają nam lepiej zrozumieć, co dzieje się w układzie nerwowym i mózgu zwierzęcia w analogicznych wypadkach.

Trudno zresztą się temu dziwić. Dokładniejsza znajomość mechaniki pozwoliła nam zrozumieć działanie układu mięśniowego zwierząt i ludzi, znajomość pomp — działanie serca, lot samolotu i szybowca — rolę skrzydeł u ptaków i owadów. Nie dziw więc, że cybernetyka jest doskonałym narzędziem do poznania budowy i pracy układu nerwowego zwierząt i ludzi.

Niektórzy jednak cybernetycy, zachłysnąwszy się swymi powodzeniami, doszli do przeświadczenia, że poznali tajemnicę życia, że cybernetyka więc jest kluczem, otwierającym wszystkie drzwi. I tu — pycha jest złym doradcą — leży słaby punkt nie tyle cybernetyki, ile wielu jej adeptów.

ZASADNICZA TEZA FILOZOFII CYBERNETYKI

Podstawowym pojęciem cybernetyki, jako ścisłej nauki matematyczno-przyrodniczej, jest sprzężenie zwrotne. Jest to (por. mój „Świat w oczach nauki współczesnej", wyd. 2, str. 245) takie urządzenie samoczynne, które reaguje na informacje i bodźce, wyprowadzające pewien układ ze stanu, który jego konstruktor określił jako jego „cel", w taki sposób, aby zniwelować skutki owych wpływów odcelowych i w ten sposób naprowadzić dany układ z powrotem do stanu, dla jakiego został on stworzony. Jest to zupełnie zrozumiałe dla wszelakiego rodzaju maszyn i mechanizmów, jak termostat, czy też rakieta samokierująca się na samolot. Wiener i niektórzy jego zwolennicy idą jednak dalej, wyciągając z tych założeń wnioski o charakterze już filozoficznym. Twierdzą mianowicie, że zasada sprzężenia zwrotnego

---

*) Od greckiego słowa kybernetes, to znaczy sternik, po łacinie gubernator. Nie jest to zresztą nazwa nowa. Jak podaje Wiener, stosował ją już uprzednio Ampére oraz — nie wymieniony przez Wienera imiennie — uczony polski.

daje się również zastosować do takich działów nauki jak psychologia, socjologia, a nawet ekonomia polityczna.

Zasadniczą więc tezą filozofii wyłonionej z cybernetyki jest, że w „postępowaniu" nie tylko maszyn i mechanizmów (słowo „postępowanie" jest tu oczywiście użyte w znaczeniu przenośnym), ale i zwierząt, ludzi, a nawet całych społeczeństw, zjawisko sprzężenia zwrotnego jest zjawiskiem podstawowym, wyjaśniającym wszystkie jego objawy.

Już to samo uogólnienie musi budzić poważne zastrzeżenia. Wiemy przecież dobrze, ile szkody wyrządziło stosowanie trafnych nawet uogólnień, jako jedynej podstawy bardzo zawiłych zjawisk, owe „nothing but", jak to mówią Anglicy.

CZYM JEST MYŚLENIE?

W szczególności, czy rzeczywiście do tak zawiłego zjawiska psychicznego, jakim jest myślenie, wolno całkowicie stosować zasady cybernetyki? Jak słusznie pisze Władysław Sluckin („Minds and Machines", 1954, str. 123), nie ma dotąd żadnego dostatecznego dowodu na to, aby myślenie było tylko sprzężeniem zwrotnym. Zapewne, obserwacja pracy systemu nerwowego, choć znamy ją w bardzo ogólnych tylko zarysach, mogłaby może pozwolić na stosowanie pojęcia sprzężenia zwrotnego do odruchów bezwarunkowych, a może częściowo i warunkowych, choć i tu wiemy zbyt mało o nich, aby uważać tę hipotezę za coś więcej, niż za dogodne narzędzie badawcze. Stosowanie go jednak do ludzkiego myślenia jest na pewno zbyt daleko sięgającym i zbyt upraszczającym uogólnieniem. Poza bowiem dochodzącymi do mózgu informacjami o świecie zewnętrznym, na naszą decyzję, na nasze myślenie, wpływają takie czynniki, jak nasze uczucia i nasza świadomość. Najdoskonalszy zaś układ samoregulujący nie ma ani czucia ani świadomości.

Temu zdawałoby się oczywistemu wnioskowi przeczą zwolennicy owych psychologicznych zastosowań cybernetyki. Skąd o tym wiemy, że człowiek czuje i ma świadomość? — pytają oni. Jeżeli wykluczyć introspekcję, to o tym co człowiek czuje i myśli wiemy jedynie z jego postępowania. Jeśli więc postępowanie pewnej maszyny jest analogiczne do postępowania człowieka, to możemy śmiało powiedzieć, że maszyna ta „czuje" i ma „świadomość", lub też że — na odwrót — uczucia i świadomość ludzka są tylko inną nazwą pewnych stanów naszego mózgu.

Takie jednak stawianie sprawy jest niewątpliwie wykręcaniem się sianem. O tym, że inny człowiek czuje i ma świadomość wiemy z własnego doświadczenia, a więc z introspekcji. A tego źródła naszych wiadomości o istocie człowieka nie wolno wykluczać z pola naszych informacji o świecie, jak to czynią niektóre szkoły psychologii. Ostatecznie bowiem wszystkie bez wyjątku nasze wiadomości o świecie pochodzą z tego właśnie źródła. Przecież to co widzimy i słyszymy, widzimy i słyszymy nie poza nami, ale wewnątrz naszego umysłu. Dlaczegóż więc jedne źródła naszego wewnętrznego poznania mamy uważać za „naukowe", a inne nie?

Sprowadzanie więc myśli i uczuć wyłącznie do fizycznego stanu naszego mózgu, indetyfikowanie ich z procesami elektronowymi układów docelowych jest tezą najzupełniej dowolną, opartą jedynie o aprioryczne przesłanki filozoficzne jej zwolenników.

„UCZENIE SIĘ" MASZYN I ZWIERZĄT

Nawet znacznie prostszego problemu niż myślenie, a mianowicie zagadnienia uczenia się, cybernetyka nie potrafi całkowicie wyjaśnić swym pojęciem sprzężenia zwrotnego. Uczenie jest w swej istocie, mówią jej adepci, procesem „próby i omyłki" (trial and error). Istotnie, mamy dziś już wiele maszyn, które potrafią się na tej zasadzie „uczyć", jak np. elektronowy szczur Deutscha, który „uczy się" wychodzenia z labiryntu znacznie szybciej niż szczur żywy.

Ale uczenie się, to nie tylko „trial and error". Weźmy przykład szympansa, który, sprawdziwszy, że danym mu kijem nie potrafi dosięgnąć banana na szczycie klatki, po długim namyśle łączy ze sobą dwa kije do tego celu. Żadna maszyna nie potrafi tego dokonać, chyba, że jej konstruktor przewidział ten wypadek i wbudował go w system maszyny. Tymczasem jednak przyroda (w postaci ewolucji) na pewno nie „wbudowała" w mózg szympansa dwu kijów, które można wkładać jeden w drugi, gdyż przedmiotów tego typu szympansy nigdy nie mogły spotkać w ciągu milionów lat swego istnienia na ziemi.

I tu widzimy zasadniczą różnicę między umysłem, nawet zwierzęcym (a cóż dopiero ludzkim), a maszyną. Maszyna bowiem potrafi reagować tylko na bodźce, które przewidział jej konstruktor, umysł zaś zwierzęcia, a tym bardziej człowieka, potrafi reagować na sytuacje zupełnie nowe.

Słusznie więc pisze wspomniany wyżej Sluckin (str. 31): „...Nawet gdyby umysł i maszyny miały taką samą zdolność rozwiązywania problemów, czego zresztą prawdopodobnie nie posiadają, to i tak twierdzenie, że umysł jest w swej istocie identyczny z maszyną, jest po prostu sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem".

FAŁSZYWE WNIOSKI FILOZOFICZNE

To opieranie się na zbyt jednostronnej analogii prowadzi zwolenników cybernetyki do całkowicie nieraz mylnych wniosków filozoficznych. „Tak więc tradycyjny problem, jak organizm może wykonywać celową czynność bez współdziałania teleologicznych (celowych — mój przyp.) przyczyn został rozwiązany (przez cybernetykę — mój przyp.) na korzyść naukowego materializmu" pisze inż. A. Syski, w doskonałej zresztą pracy „Stan rozwoju teorii informacji" (Biuletyn Stow. Techników Polskich w Wielkiej Brytanii, nr 3/55-56, str. 31).

Nic bardziej fałszywego niż ten wniosek. Jak słusznie bowiem pisze wspomniany wyżej Sluckin (str 196), „maszyny nie tworzą swych celów, tak jak istota ludzka. Cel danej maszyny ustalony został przez jej konstruktora, czy też operatora".

I o tej zasadniczej prawdzie z reguły zapominają ci filozofowie cybernetyki, którzy — konstruując coraz doskonalsze i coraz bardziej wymyślne maszyny naśladujące zachowanie się zwierząt — chcą widzieć w nich dowód, że „celowość" w postępowaniu zwierząt nie świadczy o odrębności życia od przyrody martwej. I ten ich wniosek jest również — na tle tego, co wyżej powiedzieliśmy — całkowicie mylny. Raczej na odwrót, w wyniku ich doświadczeń rodzi się pytanie, kto „wbudował" cel w istoty żywe?

Maszyny, jakie budują zwolennicy cybernetyki, idą nawet krok dalej. Mamy już dziś maszyny, których „decyzja" w pewnych warunkach jest nieprzewidziana, które więc mają jak gdyby „wolną wolę". I te maszyny wielu filozofów cybernetyki uważa za „dowód", że wolna wola daje się doskonale wyjaśnić i na gruncie mechanistycznym.

W gruncie rzeczy jednak maszyny te nie są niczym nowym. Wszak „decyzja" ruletki, czy też jej nowoczesnego elektronowego odpowiednika, angielskiej „Ernie", jest również nie do przewidzenia. Z matematycznego punktu widzenia bowiem nie do przewidzenia jest wynik każdego układu, w którym ilość niewiadomych jest większa niż ilość równań. Oparty na tej zasadzie układ mechaniczny czy też elektryczny ma wiele możliwych położeń równowagi, czasem nawet całe ich obszary. Nie świadczy to jednak o tym, aby układ taki miał „wolną wolę".

Raczej na odwrót, wniosek, jaki z tych maszyn wyciągnąć należy, to obalenie dziewięciowiecznego przesądu, stanowiącego dziś jeszcze podstawową tezę komunizmu, jakoby nawet deterministyczne prawa przyrody (a wiemy, że i one nie odpowiadają obecnemu stanowi nauki) zmuszały — i to na gruncie czysto przyrodniczym — do wysnucia wniosku o zdeterminowaniu postępowania ludzkiego. A cóż dopiero, gdy do tego problemu podchodzi się na znacznie szerszym i bardziej prawidłowym gruncie filozofii nauk.

GRANICE ZASTOSOWAŃ CYBERNETYKI

Cybernetyka więc, jako podstawa naukowa urządzeń automatyzacji, jako narzędzie badawcze budowy i pracy układu nerwowego zwierząt, a nawet ludzi, może być bardzo cenną pomocą naukową. Może ona również być bardzo przydatna jako narzędzie pomocnicze w psychologii a nawet socjologii. Każda przecież organizacja ludzka, a więc zarówno drużyna piłki nożnej, jak parafia czy państwo, jest „układem docelowym", gdyż dąży do osiągnięcia pewnego celu wbrew trudnościom i przeszkodom na swej drodze. Niewątpliwie więc stosowanie zasad cybernetyki i do tych zespołów przez analogię może dać wiele pożytecznych wskazań i trafnych rozwiązań.

Ale to zastosowanie cybernetyki ma i swoje granice. Nie wolno bowiem zapominać, że człowiek to nie tylko ciało, ale i dusza, obdarzona najcenniejszym, ale i najtrudniejszym darem Bożym, wolną wolą. Zapoznanie tej prawdy, sprowadzenie złożonej istoty ludzkiej tylko do jednej z jej funkcyj (tak jak np. uczynił to marksizm, traktując człowieka jako wyłącznie „zjadacza chleba") musi zawsze zaprowadzić na manowce. A jeśli zastosuje się je w praktyce, przynosi olbrzymią moc nieszczęść i krzywdy ludzkiej.

Cybernetyka, młoda nauka, która tak tryumfalnym krokiem weszła na arenę myśli ludzkiej, może więc oddać ludzkości duże usługi, ale tylko pod warunkiem, że zrozumie swoje ograniczenia. Jeśli jednak przekroczy się granice jej stosowalności i uczyni się z niej klucz, mający rozwiązywać wszystkie problemy ludzkie, stanie się ona takim samym przekleństwem ludzkości, jak wszystkie inne dotąd pomysły, zapominające o tym, czym w swej istocie jest człowiek i jaki jest cel jego życia na ziemi.

Tadeusz Felsztyn

LISTY I UWAGI

PAMIĘCI CYPRIANA NORWIDA

W tym roku, w 75-tą rocznicę zgonu Cypriana Norwida, zawiązał się w Hotelu Lambert, w Paryżu, Komitet uczczenia jego pamięci.

Geniusze nie bywają zazwyczaj przez współczesnych rozumiani, bo wyprzedzają utarte światopoglądy i przyjęte systemy. Świadom był tego Norwid, kiedy pisał: „SYN MINIE PISMO, LECZ TY SPOMNISZ WNUKU".

Dzisiejsze pokolenie „wnuków" docenia już i wertuje skarby NORWIDA-ARTYSTY i NORWIDA-POETY. Należało by tylko udostępnić i rozpowszechniać zasób jego bogactwa, aby literatura i sztuka ojczysta mogły z niego czerpać natchnienie i odnajdywać nowe prądy.

Tymczasem NORWID-FILOZOF, NORWID-MYŚLICIEL błąka się nadal, zaledwie spostrzeżony, jak cień własny TUŁACZA-WYGNAŃCY, a stosunek jego do katolicyzmu, jego pojęcie wiary i patriotyzmu chyba z jego prochami w grobie na Montmorency dotychczas jeszcze spoczywają. A szkoda, bo kryją najcenniejsze skarby jego wszechstronnej twórczości, owoce głębokiej myśli, dojrzałe wskazania i znamienne przestrogi.

Jakże pełnią treści brzmi jego ocena bytu ludzkiego: „Gdy życia koniec szepcze do początku: „N i e s t a r g a m c i ę j a — n i e ! -- j a u - w y d a t n i ę !" A jakaż dojrzałość polityczna bije z jego pojęcia patriotyzmu, który, musi być siłą twórczą a nie siłą wypojedyńczenia i zeschnięcia... Jeżeli przeto energii jest 100 a inteligencji 3 i to jeszcze niczym nie uprawnionej społecznie, tedy zawsze energia wyskoczy i uniemożliwi wszelki plan i co lat kilkanaście poda pokolenie jedno na rzeź w jatkach, gdzie przypadkiem zabijani będą bezimienni bohaterowie".

Sam Norwid dochodził do twórczości po „samodzielnych bojach", których ślady jakby r y l c a w k r u s z c u albo d ł u t a w g ł a z i e znaczą jego prozę i wiersze.

Pozostaje on dla nas dziś jak te „r o z ł o ż o n e r ę c e d r o g o w s k a z u" do pracy rozumnej, solidarnej i wytrwałej i do tego „spół-uczucia", które nas czyni „przystępnymi do innych bytów".

KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI CYPRIANA NORWIDA urządzi nabożeństwo za spokój jego duszy w dniu 18 maja w Kościele Polskim w Paryżu i otwarcie IZBY NORWIDA z wystawą jego pamiątek w celi No 12 Zakładu św. Kazimierza w Paryżu, 119, rue du Chevaleret, w której przeżył 6 ostatnich lat i gdzie życie zakończył...

Proszę posiadaczy obrazów, rysunków i rękopisów, albo innych pamiątek Norwida, o łaskawe wypożyczenie na czas trwania obchodu. Proszę o przesyłanie na mój adres w Londynie: 20, St. Stephens' Close, N.W.8, albo na adres Ks. F. Stawarskiego: Instytut Polonais St. Casimir, 119, rue du Chevaleret, Paris 13-e.

Dary na urządzenie Izby Norwida, na wykonanie i wmurowanie medalu z brązu z jego popiersiem, będą z wdzięcznością przyjmowane na Konto: „AMIS DE L'ART POLONAIS", C. C. PARIS 15.230-65 z zaznaczeniem: NA FUNDUSZ NORWIDA, pod adresem AMIS DE L'ART POLONAIS, 11-bis Avenue de Ségur Paris 7-e.

Za Komitet Uczczenia
Pamięci Cypriana Norwida
Stefan Zamoyski

O „NIEMYCH"

(Z listu prywatnego). „...Z niezwykłym zainteresowaniem czytałem artykuł w ŻYCIU „W sprawie niemych". Pokrywa się z moimi, powierzchownymi wprawdzie i raczej intuicyjnymi spostrzeżeniami, którymi się tu dzieliłem po powrocie ze wszystkimi ciekawymi słuchaczami. Teraz daję wszystkim artykuł do przeczytania, porusza on bowiem kluczowe zagadnienie, problem, o który mnie tu najbardziej wypytywano po powrocie..."

Z. (Warszawa)

WYNIKI AKCJI POMOCY KS. MARIANOM W FAWLEY COURT

Ks. prob. S. Nowak z Checkendon nadesłał sprawozdanie komisji rewizyjnej (pp. C. Budziszewski, C. Czapliński, W. Donigiewicz, ks. J. Piątkowski i M. Przedrzymirski) z kontroli akcji **Komitetu Doraźnej Pomocy Gimnazjum Księży Marianów w Fawley Court.**

Komitet zebrał w 1957-58 — £ 768.10.2½; do pokrycia reszty długu hipotecznego na zakupionych dla Kolegium gruntach pozostaje £ 530.0.0.

Komisja rewizyjna wyraża Komitetowi „uznanie za dotychczasową działalność" i stwierdza, że „**akcja Komitetu zasługuje na pełne poparcie polskiego społeczeństwa**".

Ks. Nowak pisze:

„...Dotychczasowy sekretarz Komitetu, p. E. Łukasiński ustąpił... Sekretarzem obecnie jest p. Malcolm Morris... Korzystamy z tej okazji, by złożyć p. E. Łukasińskiemu **serdeczne podziękowanie za jego wytrwałą i owocną pracę w Komitecie...**"

„BIALI WYZYSKIWACZE"

Czytając artykuł Polonusa pt. „Bankructwo polityki kolonialnej", rumieniłem się, że jestem Europejczykiem i należę do rasy białej.

Z treści tego artykułu wynika jasno, że Europejczycy oprócz materialnego wyzysku ras kolorowych nic im pod żadnym względem korzystnego w czasach swego panowania nie przynieśli. Jednym słowem: gnębiciele, heroldowie ciemnoty, obojętni na zagadnienia religijne podbitych ras itd.

Podkreślając, że „w dawnych wiekach Chiny i Indie górowały nad Europą swoją techniką, niezwykłością wynalazków" itp., Polonus przemilcza, co te właśnie ludy dały Europie w czasach swej bezprzecznej przewagi.

Te „pokajania" Polonusa w imieniu Europy wydają mi się mocno „przesłodzone".

Czyż Polonus nie wie, ile było ofiar nie tylko materialnych, lecz i krwawych w postaci niezliczonych misjonarzy, którzy ponieśli śmierć męczeńską za szerzenie wiary chrześcijańskiej wśród ras kolorowych?

Polonus podkręcając wąsa, z dumą stwierdza, że Polacy nie należą do tych Europejczyków, których obciąża ekspansja kolonialna. Za daleko doprowadziłaby nas dyskusja na temat, czy jest to specjalny tytuł do naszej chwały...

Jeśli naszym misjonarzom nie udawało się w większych rozmiarach zaszczepić chrystianizmu u Chińczyków, Hindusów, Japończyków itd., to była to zapewne wina nie misjonarzy lub Europy, lecz indyferentyzmu pogan na prawdy wiary chrześcijańskiej.

Mieszkam od szeregu lat w Centralnej Afryce i widzę, nie na podstawie jakichś bałamutnych informacji, pochwyconych tu i ówdzie, lecz osobistej obserwacji, jak misjonarze, Europejczycy, ludzie z uniwersyteckim wykształceniem, poświęcają całą swą wiedzę, młode lata i wszelkie ambicje życiowe dla nawracania Murzynów na wiarę chrześcijańską i podniesienia ich stopy życiowej. Na rzecz misji katolickich w Centralnej Afryce płyną rocznie dziesiątki tysięcy dolarów, nie tylko od miejscowych białych, lecz i z różnych stron świata, właśnie od tych „wyzyskiwaczy kolonialnych": Eu-

ŻYCIE

Wydaje:
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się faktyczny koszt przesyłki lotniczej.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £ 1.5.0, dol. 3.00, fr.fr. 1000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. Pren. kwart, 60 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, 13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N. J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 4.80 krs. **Włochy: Mme Bulhak-Jelska,** via Salaria 300 C, Roma.

ropejczyków. Budowane są ich kosztem dla Murzynów kościoły, zakładane szkoły, sierocińce itd. itd.

Trzeba znać, umieć porównać i mieć nieco wyobraźni, jakby wyglądały kontynenty pozaeuropejskie bez pracy „białych wyzyskiwaczy". W Afryce Centralnej do czasu przybycia białych panował terror kacyków, o okrucieństwie których wobec ich poddanych nikt w Europie nie znający afrykańskich stosunków — nie może mieć najmniejszego pojęcia...

Kwestia, dlaczego marksizm w ciągu stosunkowo b. krótkiego czasu okazał się w Chinach i niektórych innych krajach pozaeuropejskich bardziej atrakcyjny niż chrystianizm, mimo jego kilkusetletniego wysiłku obróconego na akcję misyjną, stanowi odrębne zagadnienie...

Czesław Polechowicz
Płn. Rodezja)

„PO ANGIELSKU O POWSTANIU 1830"

Po przeczytaniu w ŻYCIU recenzji „Po angielsku o powstaniu 1830 r." nie mogę się powstrzymać od wyrażenia autorowi uznania. Podziwiam odwagę, z jaką potraktował świętę tabu — kult zamachów samobójczych, dokonanych przez naród polski. Mam na myśli przede wszystkim przymierze pruskie i oba powstania.

Podzielam całkowicie punkt widzenia recenzenta na powstanie 1830 r., chciałbym jednak zwrócić uwagę na szczegół, który budzi pewne zastrzeżenia. Giertych dziwi się, że autor angielski nie wspomina o pułku 4-tym. Z tego co sam o tym pułku pisze, wynikałoby, że czwartacy to alfa i omega całego naszego wojska. Na szczęście tak nie było. — Nic im nie ujmując, śmiało można powiedzieć, że pozostałe stare pułki nie ustępowały 4-temu. Zawdzięczał on wyjątkowo popularność temu, że był to pułk warszawski, a Warszawa była sercem powstania i tu ukuwano opinię i tworzono legendy.

Przeciwnik wystawił naszej starej piechocie piękne świadectwo. Oto rosyjski historyk wojny 1831, gen. Puzyrewskij, nie szczędzi najwyższych pochwał. Nazywa piechotę polską „atlicznoj" i „prewaschodnoj". Pochwały te dotyczą okresu do bitwy ostrołęckiej włącznie...

...Nikt inny, tylko ośmieszony cesarewicz Konstanty przyczynił się walnie do osiągnięcia tak wysokiej sprawności przez wojsko polskie, a w szczególności przez polską piechotę. Jakkolwiek przede wszystkim ona to okryła się sławą, ale i inne bronie mają też swoje piękne karty.

Z nowymi formacjami było różnie. Obok udanych, jak pułk 20-ty piechoty, pułki jazdy poznańskiej, wołyńskiej — zgoła marne, a nawet skandaliczne jak oba pułki jazdy kaliskiej.

...Cholera, dziesiątkująca wojsko rosyjskie, nie dała się we znaki naszemu. — Polskiej służbie sanitarnej udało się opanować tę epidemię.

...Chciałbym wyrazić życzenie oby wypowiedź Giertycha stała się początkiem rewizji niektórych naszych ustalonych opinii. O ile cudzoziemcy nie podzielają naszych przywidzeń, skarżymy się, że nas nie rozumieją. Nie będą nas rozumieć dopóki nie zdobędziemy się na sprawiedliwszą ocenę naszej historii, zwłaszcza porozbiorowej...

(Londyn) Adam Jarosiński

POPIERAJMY NASZE PISMA

...Jest to wielka szkoda, że ŻYCIE jako tygodnik przestało wychodzić, bo fakt ten należy zapisać po stronie strat naszego bilansu wychodźczego. Coś winy jest też i po naszej stronie, bo niestety za mało nasze polskie i katolickie wydawnictwa popieramy.

Mam nadzieję, że po roku ŻYCIE znowu będzie tygodnikiem.

Juliusz Grządziel (Detroit)

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734